

JONAS

JONASSON

ANDERS  
MORDERCA  
I PRZYJACIELE



ORAZ  
KILKORO  
WIERNYCH  
NIEPRZYJACIÓŁ

Książka autora bestsellerowego:

Stulotka,  
który wyskoczył  
przez  
okno  
i zniknął

w  
w  
ab  
two

**Jonas Jonasson**

**ANDERS MORDERCA I PRZYJACIELE  
(ORAZ KILKORO WIERNYCH NIEPRZYJACIÓŁ)**

przełożyła Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

**w**  
ydawnic  
**ab**  
two

Tytuł oryginału: *Mördar-Anders och hans vänner (samt en och annan ovän)*

Copyright © Jonas Jonasson 2015

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza  
Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Ptaszyńska-  
Sadowska, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

*To Ci się podobało, Tato.  
Dlatego to jest dla Ciebie.*

# Część 1

## Nietypowa działalność gospodarcza

### Rozdział 1

Ten, którego życie miało się wkrótce wypełnić śmiercią i przemocą, złodziejami i bandziorami, stał i śnił na jawie w recepcji jednego z najbardziej nędznych szwedzkich hoteli.

Jedyny wnuk handlarza koni Henrika Bergmana jak zawsze zrzucał wszystkie własne niepowodzenia na dziadka. Staruszek był w swojej branży najlepszy w całej południowej Szwecji, nigdy nie sprzedawał mniej niż siedem tysięcy sztuk rocznie, i to wszystkie pierwszej klasy.

Ale od 1955 roku zdradzieccy chłopci zaczęli wymieniać zimnokrwiste i gorącokrwiste rumaki dziadka na traktory w tempie, którego on nie potrafił pojąć. Siedem tysięcy transakcji stopniało nagle do siedmiuset, a potem do siedemdziesięciu i w końcu do raptem siedmiu. W ciągu pięciu lat wielomilionowy majątek rodzinny rozpląnął się w oparach spalin z diesla. Ojciec jeszcze nienarodzonego wnuka próbował uratować to, co w 1960 roku zostało do ocalenia, jeżdżąc po okolicznych wsiach, żeby prawić chłopom o przekleństwie mechanizacji. Przecież krążyło tyle plotek. Na przykład, że od ropy można dostać raka, jeśli się nią ktoś obleje, a takich nieszczęśników nie brakowało.

Tata dodawał jeszcze, że według badań diesel może powodować u mężczyzn bezpłodność. Nie powinien był jednak tego mówić, bo po pierwsze to nie była prawda, a po drugie coś takiego musiało brzmieć całkiem przyjemnie dla ledwie

wiązających koniec z końcem, ale wciąż jurnych chłopów mających od trojga do ośmiorga dzieci każdy. Kondom był kłopotliwy w użyciu, w przeciwieństwie do ciągników Massey Ferguson czy John Deere.

Dziadek umarł zrujnowany, a na dodatek od śmiertelnego kopnięcia swojego ostatniego konia. Załamany i pozbawiony koni syn przebranzował się, odbył jakiś tam kurs i po pewnym czasie dostał posadę w Facit AB, jednej z większych na świecie firm produkujących maszyny do pisania i maszyny liczące. W ten oto sposób udało mu się zostać okantowanym przez przyszłość nie jeden raz, ale dwa razy w życiu, ponieważ na rynku nagle pojawiły się elektroniczne urządzenia liczące. Na dodatek, jakby na ironię, w przeciwieństwie do produktów Facitu wielkości cegły modele japońskie mieściły się w wewnętrznej kieszeni marynarki. Maszyny Facitu natomiast nie kurczyły się (a przynajmniej nie wystarczająco szybko), za to sam koncern owszem, aż w końcu zredukował się prawie do zera.

Syn handlarza koni musiał pożegnać się z firmą. Aby zagłuszyć świadomość, że życie podwójnie go wykołowało, sięgnął po butelkę. Bezrobotny, zgorzkniały, wiecznie nieumyty i nigdy trzeźwy, niebawem stracił jakąkolwiek atrakcyjność dla swojej dwadzieścia lat młodszej żony, która do pewnego czasu jakoś to wytrzymała. W końcu jednak cierpliwa młoda kobieta pomyślała sobie, że błąd, jakim było poślubienie niewłaściwego mężczyzny, da się naprawić.

– Chcę się rozwieść – oznajmiła któregoś przedpołudnia małżonkowi, gdy ten krążył po ich mieszkaniu w zaplamionych białych slipach i czegoś szukał.

– Widziałś butelkę koniaku? – spytał.

– Nie. Ale chcę się rozwieść.

– Wczoraj wieczorem zostawiłem ją na szafce, musiałaś ją gdzieś schować.

– Możliwe, że odstawiłam ją do barku, kiedy sprzątałam kuchnię, nie pamiętam. Nie słyszysz? Powiedziałam, że chcę się rozwieść.

– Do barku? No jasne, od razu mogłem tam zajrzeć. Baran ze

mnie. Czyli się stąd wyniesiesz? I zabierzesz tego bachora, który wciąż tylko robi pod siebie?

Tak, zabrała ze sobą niemowlę. Jasnowłosego chłopca o ładnych niebieskich oczkach. Który dużo, dużo później miał zostać recepcjonistą.

Mama marzyła o tym, żeby uczyć języków, ale dziecko przyszło na świat akurat tuż przed egzaminami końcowymi na kursie. Pojechała do Sztokholmu razem z synkiem oraz z całym dobytkiem i podpisała papiery rozwodowe. Wróciła też do swojego panieńskiego nazwiska Persson, nie zastanawiając się nad konsekwencjami tego kroku dla chłopca, który miał już nadane imię Per (nie żeby nie można było nazywać się Per Persson czy choćby Jonas Jonasson, ale takie zestawienie brzmi monotannie).

W stolicy czekała na nią praca w służbie parkingowej. Tak więc mama Pera Perssona przemierzała ulicę za ulicą, niemal codziennie obsztorcowując nieprawidłowo parkujących mężczyzn, zwłaszcza tych, których stać było na zapłacenie mandatu, jakim ich właśnie ukarano. Marzenie o profesji nauczycielskiej, o szerzeniu wiedzy, który niemiecki przyimek rządzi biernikiem, a który celownikiem, wśród uczniów na ogół mających to gdzieś, ulotniło się niepostrzeżenie.

Gdy mama spędziła już niemal całą wieczność na wykonywaniu zajęcia, które miało być jedynie przejściowe, zdarzyło się, że jeden z mnóstwa zbesztanych zaniemówił, kiedy tłumacząc się, pod uniformem funkcjonariusza służby parkingowej odkrył kobietę. Od słowa do słowa, w końcu oboje znaleźli się na obiedzie w eleganckiej restauracji, gdzie przy kawie w towarzystwie czegoś mocniejszego mandat został podarty na dwoje. Kolejne słowo do kolejnego słowa i nieprawidłowo parkujący kierowca oświadczył się mamie Pera Perssona.

Adorator okazał się islandzkim bankierem zamierzającym powrócić do Reykjavíku. Obiecywał swej potencjalnej małżonce złote góry, jeśli tylko z nim pojedzie. Syn też miał być mile

widziany. Ale czasu upłynęło już tyle, że jasnowłosy chłopczyk zdążył stać się dorosły i mógł decydować o sobie sam. Liczył na bardziej świetlaną przyszłość w Szwecji, a ponieważ nie da się porównać tego, co nastąpiło potem, z tym, co mogło się wydarzyć, nie sposób ocenić, na ile pomylił się lub nie pomylił w swoich kalkulacjach.

Per Persson już jako szesnastolatek znalazł sobie pracę i wykonywał ją równoległe do nauki w liceum, której nie poświęcał się nadmiernie. Mamie nigdy nie opowiadał ze szczegółami, na czym polega jego zajęcie. Nie bez powodu.

- Dokąd się wybierasz, synku? – pytała na przykład.
- Do pracy, mammo.
- Tak późno?
- Tak, to działalność całodobowa.
- Co ty znowu robisz?
- Mówiłem ci już z tysiąc razy. Jestem asystentem w... branży rozrywkowej. Spotkania z ludźmi i tak dalej.
- Jak to asystentem? Co to znaczy?
- Muszę pędzić, mammo. Porozmawiamy kiedy indziej.

Per Persson wykręcił się jeszcze raz. To oczywiste, że niechętnie zdradzał szczegóły, na przykład takie, że jego pracodawca sprzedawał w średnio atrakcyjnym opakowaniu przygodną miłość w dużym, zrujnowanym żółtym drewnianym domu w Huddinge, na południe od Sztokholmu. Albo że lokal nosił nazwę Club Amore. Czy ze jego praca polegała na dbaniu o logistykę oraz na pełnieniu roli pilota i kontrolera. W praktyce oznaczało to, że każdy gość miał trafić do właściwego pomieszczenia, aby doświadczyć odpowiedniego rodzaju miłości przez odpowiednią liczbę minut. Chłopiec układał grafik, odmierzał czas wizyt z zegarkiem w ręce, nasłuchiwał pod drzwiami (puszczając wodze fantazji). A gdy coś wydawało się zmierzać w złym kierunku, wszczynał alarm.

Akurat kiedy mama Pera Perssona wyemigrowała, a on



zakończył swoją edukację w formalnym znaczeniu, jego pracodawca postanowił zmienić branżę. Club Amore zamienił się w pensjonat Cypel na Jeziorze. Choć nie leżał nad żadnym jeziorem, a więc tym bardziej na żadnym cyplu. Ale jak powiedział właściciel hoteliku: „W końcu to dziadostwo musi się jakoś nazywać”.

Czternaście pokoi. Dwieście dwadzieścia pięć koron za noc. Z toaletą i prysznicem. Świeża pościel i ręczniki raz w tygodniu, ale tylko wtedy, jeśli wyglądały na wystarczająco zużyte. Zmiana charakteru działalności z gniazdka miłości na trzeciorzędny hotel to nie było to, o czym marzył właściciel. Przede wszystkim zarabiał znacznie więcej, kiedy goście mieli towarzystwo w łóżku, a poza tym, gdy w grafiku dziewczyn powstawała jakaś luka, on sam mógł szybko skorzystać z usług którejś z nich.

Per Persson, udowodniwszy, że posiada talent logistyczny, otrzymał propozycję pracy jako recepcjonista, co nie było jeszcze najgorsze (choć wynagrodzenie jak najbardziej zasługiwało na taką ocenę). Miał meldować i wymeldowywać gości, pilnować, żeby płacili, doglądać rezerwacji i odwołań. Mógł być też w miarę uprzejmy, o ile nie wpływało to negatywnie na zyski.

Była to więc nowa działalność pod nowym szyldem, a zadanie Pera Perssona też było nie tylko odmienne, ale i dużo bardziej odpowiedzialne niż poprzednie. Co skłoniło go do udania się do szefa i przedłożenia mu pokornie sugestii mającej na celu skorygowanie wysokości jego pensji.

– W dół czy w górę? – spytał szef.

Per Persson odpowiedział, że wołałby w górę. Rozmowa nie przybrała obrotu, jakiego sobie życzył. Tak więc po chwili stał przed swoim chlebodawcą i miał nadzieję, że przynajmniej będzie mógł zatrzymać to, co posiadał do tej pory.

I tak się stało. Szef okazał się jednak na tyle wspaniałomyślny, że zaproponował:

– Wprowadź się do pokoju za recepcją, do cholery, to przynajmniej nie będziesz musiał płacić czynszu za mieszkanie po matce.

No cóż. Per Persson nie mógł odmówić mu racji, że jest to sposób na zaoszczędzenie paru setek. Ponieważ na dodatek pensję miał wypłacaną pod stołem, nic nie stało na przeszkodzie, by spróbował postarać się i o pomoc socjalną, i o zasiłek dla bezrobotnych.

I tak oto młody recepcjonista stał się jednością ze swoją pracą. Mieszkał i żył w recepcji. Minał rok, minęły dwa lata, minęło pięć lat, a chłopcu nie powiodło się szczególnie lepiej niż wcześniej jego ojcu i dziadkowi. Winę za to ponosił zmarły dziadek. Staruch był kilka razy milionerem. A teraz jego potomek z krwi i kości w trzecim pokoleniu tkwił za ladą recepcyjną i witał cuchnących gości hotelowych, którzy nazywali się Anders Morderca albo nosili inne odrażające przydomki.

Akurat Anders Morderca był jednym ze stałych mieszkańców pensjonatu Cypel na Jeziorze. Naprawdę nazywał się Johan Andersson i przesiedział za kratkami całe swoje dorosłe życie. Nigdy nie miał łatwości w znajdowaniu odpowiednich słów i sformułowań, dosyć wcześnie jednak zorientował się, że można również dowieść swojej racji, jeśli przyłoi się temu, kto się sprzeciwia, albo wygląda, jakby zamierzał to zrobić. A w razie potrzeby przyłoi się jeszcze raz.

Ten typ konwersacji z czasem doprowadził do tego, że młody Johan wylądował w złym towarzystwie. Pod wpływem nowych znajomości połączył swą dosyć krewką technikę argumentacji z wódką i prochami, i wtedy było już pozamiatane: wódka i prochy przyniosły mu dwanaście lat, kiedy sam skończył dwadzieścia, ponieważ nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób jego siekiera wylądowała w plecach głównego dystrybutora amfetaminy w okolicy.

Po ośmiu latach Anders Morderca znalazł się znowu na wolności i świętował swoje wyjście z takim przytupem, że nawet nie zdążył wytrzeźwieć, kiedy dostał czternaście kolejnych lat do poprzednich ośmiu. Tym razem w użyciu była śrutówka. Z bliskiej odległości. Prosto w twarz następcy

tamtego z siekierą w plecach. Wyjątkowo niemiły widok dla funkcjonariuszy wezwanych na miejsce, żeby posprzątaali.

Anders Morderca twierdził w sądzie, że wcale nie miał takiego zamiaru. Przynajmniej tak uważał. Nie za wiele pamiętał z przebiegu wydarzeń. Podobnie jak następnym razem, kiedy poderżnął gardło trzeciemu przedsiębiorcy z branży prochów, ponieważ tamten zarzucił mu, że jest w złym humorze. Mężczyzna z podciętym gardłem rzeczywiście się nie mylił, tyle że bez żadnego pożytku dla siebie.

W wieku pięćdziesięciu sześciu lat Anders Morderca znalazł się znowu na wolności. W przeciwieństwie do poprzednich razów teraz nie było mowy o tymczasowej wizycie, lecz o pobycie na stałe. Taki był plan. Wystarczyło tylko unikać alkoholu. I prochów. Oraz wszystkiego i wszystkich mających bliski związek z alkoholem i prochami.

Piwo nie wydawało się specjalnie groźne, najczęściej morderca czuł się po nim wesoły. Albo na wpół wesoły. Albo przynajmniej mu nie odbijało.

Wybrał się do pensjonatu Cypel na Jeziorze w nadziei, że miejsce to nadal oferuje przeżycia z gatunku tych, których deficyt odczuwa ktoś, kto przesiedział za kratkami dziesięć albo trzydzieści lat. Kiedy rozczarowanie tym, że już tak nie jest, minęło, postanowił się tam wmeldować. Ostatecznie musiał przecież gdzieś mieszkać, a dwie stowy za noc to jeszcze nie powód, żeby się pieklić, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, dokąd zwykle takie pieklenie prowadzi.

Jeszcze zanim pierwszy raz pokwitował odbiór klucza do pokoju, zdążył opowiedzieć historię swojego życia młodemu recepcjoniście, który akurat mu się napatoczył. Opowieść obejmowała dzieciństwo, mimo że Anders Morderca nie uważał, by było ono istotne dla tego, co nastąpiło później. Wczesne lata, ogólnie rzecz biorąc, mijaly na tym, że tata upijał się po pracy do nieprzytomności, aby móc to wszystko wytrzymać, w związku z czym mama zaczęła pić z tatą, żeby wytrzymać z nim. W końcu tata nie wytrzymał z mamą

i dawał temu wyraz, bijąc ją regularnie; i najczęściej nie przejmował się, że syn na wszystko patrzy.

Po wysłuchaniu całej opowieści recepcjonista nie miał odwagi zrobić nic innego, jak tylko powitać Andersa Mordercę przez podanie mu ręki oraz przedstawienie mu swojej osoby.

– Per Persson – rzekł.

– Johan Andersson – odparł morderca i obiecał, że w przyszłości będzie się starał mordować jak najmniej.

Następnie spytał recepcjonistę, czy nie znalazłaby się butelka pilznera. Po siedemnastu latach bez ani jednej kropli mogło zaschnąć w gardle.

Per Persson bynajmniej nie zamierzał rozpoczynać swojej znajomości z Andersem Mordercą od odmówienia mu piwa. Nalewając mu, dopytał się jednak, czy pan Andersson potrafi sobie wyobrazić, że powstrzyma się od alkoholu i prochów.

– Tak, spokojnie – powiedział Johan Andersson. – Ale mów mi Anders Morderca. Tak jak wszyscy.

## Rozdział 2

Należało cieszyć się z drobiazgów. Na przykład z tego, że mijały miesiące, a Anders Morderca nie zamordował ani recepcjonisty, ani nikogo innego w najbliższym otoczeniu hotelu. I że szef pozwolił Perowi Perssonowi zamykać recepcję w każdą niedzielę na kilka godzin. A jeżeli tylko pogoda – w odróżnieniu od całej reszty – sprzyjała recepcjoniście, wtedy korzystał z okazji i opuszczał hotel. Nie żeby się porządnie zabawić, bo na to nigdy nie starczało pieniędzy. Ale siedzenie na ławce w parku i rozmyślanie wciąż jeszcze było gratis.

I właśnie siedział sobie na niej, z czterema kanapkami z szynką i butelką soku malinowego, gdy zupełnie niespodziewanie ktoś go zagadnął:

– Co tam słyhać, mój synu?

Przed nim stała kobieta niewiele starsza od niego. Wyglądała na niedomytą i na wycieńczoną, ale dookoła jej szyi połyskiwała biała koloratka, także przybrudzona.

Per Persson nigdy nie przywiązywał wagi do religii, ale osoba duchowna to w końcu osoba duchowna, poza tym uważał, że ta kobieta zasługuje na taki sam szacunek jak mordercy, ćpuny i podobne szumowiny, z którymi miał do czynienia w pracy. A może nawet na większy.

– Dziękuję – odrzekł. – Bywało lepiej. Albo może i nie, kiedy tak się zastanowię. Można powiedzieć, że moje życie to wciąż ta sama udreka.

Co to, do cholery, za osobiste wycieczki, pomyślał. Ale może warto postawić sprawę jasno.

– To znaczy, co się tyczy mojego zdrowia i samopoczucia, nie mam na co narzekać i nie widzę powodu, by obciążać panią pastor swoimi problemami. Byleby tylko było w co zęby wbić, to reszta już jakoś się ułoży – powiedział i dał do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną, zająwszy się otwieraniem

pojemnika z kanapkami.

Kobieta nie odnotowała jednak tego sygnału, tylko odparła, że służenie jakkolwiek pomocą w żadnym razie nie byłoby dla niej obciążeniem, gdyby dzięki temu jego egzystencja stała się znośniejsza. Osobista modlitwa o łaskę bożą chyba by nie zaszkodziła?

Modlitwa o łaskę bożą? Per Persson zastanawiał się, jaki pożytek może przyjść z czegoś takiego zdaniem tej brudnej pastor. Czy ona myśli, że z nieba zacznie zaraz padać deszcz pieniędzy? Albo chleba czy kartofli? Chociaż... a niech tam. Nie należy odtrącać kogoś, kto pragnie jedynie dobra.

– Dziękuję, pani pastor. Jeśli pani uważa, że modlitwa skierowana do nieba może sprawić, że ulży mi w życiu, nie będę się przeciwstawiał.

Kobieta uśmiechnęła się i usadowiła na ławce obok korzystającego z wolnej niedzieli recepcjonisty. Następnie przystąpiła do wypełniania swoich zawodowych obowiązków.

– Boże, spójrz na tve dziecię... jak ci na imię?

– Mam na imię Per – odpowiedział Per Persson, zastanawiając się, co Panu Bogu po tej informacji.

– Boże, spójrz na tve dziecię, Pera, zobacz, jak on cierpi...

– To znaczy nie cierpię tak wprost.

Pastor trochę się zirytowała. Oznajmiła, że znowu musi zacząć od początku i że modlitwa przynosi największy pożytek, jeśli nie jest zbyt często przerywana.

Per Persson przeprosił i obiecał, że pozwoli jej pomodlić się do końca w ciszy i spokoju.

– Dziękuję – odparła, po czym zaczęła od nowa. – Boże, zwróć swe oczy na tve dziecię, które czuje, że mogłoby być lepiej, chociaż wprost nie cierpi. Panie, daj mu ufność, niechaj pokocha świat, a świat niech pokocha jego. Jezu, dźwigaj swój krzyż u jego boku, niechaj twoje królestwo przyjdzie i tak dalej.

I tak dalej? – pomyślał Per Persson, lecz nie ośmielił się odezwać.

– Bóg błogosławi cię, mój synu, mocą, siłą i... mocą. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Per Persson nie wiedział, jak powinna brzmieć modlitwa

osobista, ale to, co przed chwilą usłyszał, wyglądało mu na fuszerkę. Już miał na końcu języka, żeby to otwarcie powiedzieć, gdy pastor go uprzedziła:

– Dwadzieścia koron, poproszę.

Dwadzieścia koron? Za coś takiego?

– Mam pani zapłacić za modlitwę? – zdziwił się Per Persson.

Kobieta potaknęła ruchem głowy. Modlitwa o łaskę to nie jakaś tam paplanina i odklepywanie formuлки. Wymaga skupienia i oddania, zużywa siły – a nawet osoba duchowna musi przecież jakoś żyć na ziemskim padole, dopóki tu jest, a nie w niebie, gdzie jej miejsce.

Według Pera Perssona w odmówionej dwie minuty temu modlitwie nie było ani skupienia, ani oddania, poza tym miał spore wątpliwości, czy rzeczywiście niebo, a nie co innego czekać będzie tę kobietę, kiedy nadejdzie już pora.

– No to dziesięć koron – spróbowała jeszcze raz.

Opuszcza cenę coraz bardziej, prawie do zera? Per Persson przyjrzał się jej uważniej i zobaczył coś... innego? Coś... żalosego? Doszedł do wniosku, że ona jest raczej siostrą w niedoli niż oszustką.

– Ma pani ochotę na kanapkę? – spytał.

Twarz kobiety wyjaśniała.

– O, dzięki. Pan ci to wynagrodzi!

Per Persson odpowiedział, że patrząc historycznie, niemal wszystko przemawia za tym, że Pan jest zajęty czym innym niż nagradzanie właśnie jego. I że modlitwa, której przed chwilą musiał wysłuchać, raczej nic nie zmieni w tym względzie.

Wyglądało na to, że kobieta zamierza przejść do kontraktaku, lecz recepcjonista odpowiednio szybko podał jej swoje pudełko z kanapkami.

– Proszę – rzekł. – Niech pokarm uciszy mowę.

– Pan rządzi pokornymi w sprawiedliwości, ubogich uczy swej drogi<sup>1</sup>. Psalm dwudziesty piąty – powiedziała z pełnymi ustami.

– Niech tak się stanie – zakończył Per Persson.

---

<sup>1</sup> Wszystkie cytaty z Biblii zawarte w książce pochodzą z Biblii Tysiąclecia Online, Poznań 2003, Wydawnictwo Pallottinum (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rzeczywiście była pastorem. Przeżuwając jedną po drugiej cztery kanapki z szynką przyniesione przez recepcjonistę, opowiedziała, że miała własny zbor jeszcze do ubiegłej niedzieli, kiedy to przerwano jej w samym środku wygłaszane kazanie i przewodniczący rady kościelnej poprosił, by zeszła z ambony, spakowała swoje rzeczy i się oddaliła.

Per Persson uważał, że to karygodne. Czy w sferze niebiańskiej nie istnieje coś, co nazywa się ochroną zatrudnienia?

Owszem, istnieje, ale przewodniczący uważał, że ma swoje powody. A cały zbor przyznał mu rację. Włącznie z samą pastora. I co najmniej dwóch członków gminy rzuciło za nią śpiewnikami, gdy wychodziła.

– Jak się pan pewnie domyśla, istnieje też dłuższa wersja. Chce ją pan usłyszeć? Musi pan wiedzieć, że moje życie to nie była droga usłana różami.

Per Persson zastanowił się chwilę. Czy ciekawi go, czym, skoro nie różami, była usłana droga tej kobiety, czy wystarczy mu wymiar zgryzoty i strapienia, jaki nosił w sobie bez jej udziału?

– Nie jestem pewny, czy moja egzystencja stanie się jaśniejsza, jeśli posłucham o innych, którzy żyją w podobnych ciemnościach – rzekł. – Ale może pani zarysować samą kwintesencję, jeśli nie będzie to przydługawe.

Kwintesencję? Polegała ona na tym, że pastor przez siedem dni tułała się po okolicy, od niedzieli do niedzieli. Sypiała w piwnicach i Bóg wie gdzie jeszcze, jadła, co wpadło jej w ręce.

– Na przykład cztery kanapki z szynką na cztery dostępne – wtrącił Per Persson. – Ma pani ochotę popić mój jedyny posiłek moim ostatnim sokiem z malin?

Pastora nie odmówiła. A gdy już ugasiła pragnienie, powiedziała:

– Mówiąc szczerze, nie wierzę w Boga. A jeszcze mniej w Jezusa. To tata zmusił mnie, żebym poszła w jego ślady – to



znaczy w ślady taty, nie Jezusa – kiedy na domiar całego nieszczęścia nie urodził mu się ani jeden syn, tylko córka. Chociaż tata też został przymuszony przez dziadka. Kto wie, może oni obaj byli wysłannikami szatana, trudno powiedzieć. Tak czy inaczej, pastorowanie weszło do rodzinnej tradycji.

W kwestii bycia ofiarą w cieniu ojca lub dziadka Per Persson czuł z nią bezpośrednią wspólnotę. Powiedział, że gdyby dzieci mogły uniknąć wszystkich kretynizmów, którymi obciążają je poprzednie pokolenia, dałoby się jakoś w życiu wytrzymać.

Pastor powstrzymała się od zwrócenia mu uwagi na nieodzowność wcześniejszych pokoleń dla istnienia ich samych. Zamiast tego spytała Pera o drogę, która przywiodła go ku tej ławce w parku.

Ku ławce w parku, tak. I do ponurej recepcji hotelowej, w której mieszkał i pracował. I pił piwo z Andersem Mordercą.

– Z Andersem Mordercą? – powtórzyła za nim.

– Tak – potwierdził recepcjonista. – Mieszka w siódemce.

Per Persson uznał, że chyba może poświęcić kilka minut tej kobiecie, skoro już go spytała. Opowiedział zatem o dziadku, który przestał swoje miliony. O tacie, który po prostu się poddał. O mamie, która związała się z islandzkim bankierem i opuściła kraj. O tym, jak on sam wylądował w burdelu, mając szesnaście lat. Oraz o tym, że pracował teraz jako recepcjonista w hotelu, w który przekształcił się burdel.

– I kiedy w końcu uda mi się dostać dwadzieścia minut wolnego, i siadam sobie na ławce w parku w bezpiecznej odległości od wszystkich złodziei i bandytów, koło których muszę skakać na co dzień, wtedy pojawia się pastor, która nie wierzy w Boga, i najpierw próbuje wyłudzić ode mnie moje ostatnie pieniądze, a później zjada mi cały prowiant. Ale mogę jej oddać nawet życie, o ile dzięki jej modlitwie stary burdel zmieni się w Grand Hotel, kiedy tam wrócę.

Brudna pastor z okruciami chleba w kącikach ust wyglądała żałośnie. Powiedziała, że to mało prawdopodobne, aby modlitwa dała tak natychmiastowy rezultat, zwłaszcza że była

fuszerką, a jej adresat nie istnieje. Wyraziła skruchę, że zażądała zapłaty za źle wykonaną robotę, zwłaszcza w obliczu hojności recepcjonisty, którą okazał, częstując ją kanapkami.

– Opowiedz mi więcej o tym hotelu – poprosiła. – Nie da się w nim przypadkiem wynająć jakiegoś tańszego pokoiku, tak po znajomości? Przecież jesteśmy... kompanami?

– Kompanami? – zdziwił się Per Persson. – A kiedy dokładnie ja i pani zostaliśmy kompanami?

– Teraz – odpowiedziała pastor. – Przecież jeszcze nie jest za późno.

### Rozdział 3

Pastor dostała pokój numer osiem, przez ścianę z Andersem Mordercą. Ale w odróżnieniu od jej sąsiada, od którego Per Persson nigdy nie odważył się domagać zapłaty, miała uiścić należność za tydzień z góry. Według normalnej taryfy.

– Z góry? To są moje ostatnie pieniądze.

– Tym bardziej nie powinny zostać przetrwonione. A ja mogę odklepywać modlitwę za panią całkiem gratis i wtedy wyjdziemy na zero – zaproponował recepcjonista.

W tym momencie do hotelu wszedł mężczyzna w skórzanej kurtce, okularach przeciwsłonecznych i z kilkuniedniowym zarostem na twarzy. Wyglądał na karykaturę gangstera, którym prawdopodobnie był, i nie mówiąc dzień dobry, spytał od razu, gdzie znajdzie Johana Anderssona.

Recepcjonista, wyprężywszy się, odpowiedział, że nie każdemu udostępnia się informacje o tym, kto mieszka czy nie mieszka w pensjonacie Cypel na Jeziorze. Ambicją hotelu jest bowiem chronienie prywatności jego mieszkańców.

– Odpowiadaj na pytanie, chyba że wolisz, żebym ci oderznęła fiuta – rzucił mężczyzna w skórzanej kurtce. – Gdzie mieszka Anders Morderca?

– Pokój numer siedem – odparł Per Persson.

Groźny zniknął w głębi korytarza. Pastor, patrząc za nim, zastanawiała się, czy to początek kłopotów. Czy recepcjonista uważa, że ona jako osoba duchowna byłaby w stanie coś zaradzić?

Per Persson nic nie uważał, nie zdążył jednak tego powiedzieć, bo mężczyzna w skórzanej kurtce był już z powrotem.

– Morderca leży zapruty na swoim łóżku. Wiem, na co go stać, więc najlepiej na razie go tak zostawić. Zaopiekuj się tą kopertą

i daj mu ją, jak się już ocknie. Pozdrów go od hrabiego.

– Tylko tyle? – spytał Per Persson.

– Tak. Nie, powiedz jeszcze, że w kopercie jest pięć tysięcy, nie dziesięć, bo wykonał robotę tylko w połowie.

Mężczyzna w skórzanej kurtce wyszedł. Pięć tysięcy? Pięć, chociaż powinno być dziesięć? I teraz zadaniem recepcjonisty jest wyjaśnić tę różnicę potencjalnie najgroźniejszemu człowiekowi w Szwecji. Chyba że sceduje to na pastor, która przed chwilą oferowała swoje usługi.

– Anders Morderca – odezwała się. – Czyli on rzeczywiście istnieje? To nie była bajeczka?

– Zagubiona dusza – rzekł recepcjonista. – Potwornie zagubiona.

Ku jego zaskoczeniu pastor spytała nagle, czy ta potwornie zagubiona dusza jest na tyle zagubiona, że istnieje moralna przesłanka, aby ona wraz z recepcjonistą pożyczili sobie od niej tysiąckoronowy banknot i najedli się do syta w jakimś sympatycznym lokalu w okolicy?

Per Persson nie mógł się nadziwić, co z niej za osoba duchowna, skoro wychodzi z taką propozycją, uznał jednak, że pomysł jest nęcący. Chociaż z drugiej strony raczej nie bez powodu Anders Morderca nazywał się tak, jak się nazywał. Właściwie to istniały trzy powody, o ile recepcjonista dobrze pamiętał: siekiera w plecach, śrutówka prosto w twarz i poderżnięte gardło.

Kwestia stosowności pomysłu, by w tajemnicy pożyczyć pieniądze od mordercy, rozwiązała się sama, ponieważ rzeczony morderca właśnie się ocknął i ze zmierzwionymi włosami lał teraz do nich korytarzem.

– Pić mi się chce – powiedział. – Mam dostać dzisiaj pieniądze, ale jeszcze nie przyszły, a nie mam ani grosza, żeby kupić sobie piwo. Albo coś do jedzenia. Mógłbym pożyczyć z twojej kasy dwie stówki?

Niby pytanie, ale niezupełnie.

W tym momencie pastor wysunęła się o pół kroku do przodu.

– Dzień dobry – zaczęła. – Nazywam się Johanna Kjellander i wcześniej byłam pastorem zboru, a teraz jestem jedynie pastorem w rozumieniu ogólnym.

– Pastorzy to jedno wielkie gówno – rzekł Anders Morderca, nawet na nią nie spojrzawszy.

Konwersacja, jak wszystkim wiadomo, nie była jego mocną stroną. Zwrócił się jeszcze raz do recepcjonisty:

– Dostanę jakieś pieniądze czy nie?

– Trudno mi się zgodzić z tym, co pan powiedział przed chwilą – wtrąciła Johanna Kjellander. – Naturalnie zawsze znajdzie się ten czy ów, który błądzi, nawet w naszej branży; akurat tak się składa, że niestety jestem jedną z tych osób. Z przyjemnością porozmawiałabym z panem... panie Andersie Morderco, o tych sprawach. Ale może przy innej okazji? Bo teraz chodzi o kopertę z pięcioma tysiącami koron, która właśnie została dostarczona do recepcji przez pewnego hrabiego.

– Pięć tysięcy? – rzekł Anders Morderca. – Powinno być dziesięć! Co zrobiłaś z resztą, ty szatańska pastorzyco?

Jeszcze przed chwilą zaspany i nadal trochę wstawiony morderca wlepił pełen wściekłości wzrok w Johannę Kjellander. Per Persson, który nie życzył sobie zabójstwa osoby duchownej w swojej recepcji, uzupełnił szybko i nerwowo, że hrabia kazał poinformować, iż pięć tysięcy to częściowa zapłata, ponieważ robotę wykonano tylko w połowie. Recepcjonista i pastor u jego boku byli jedynie niewinnymi posłańcami wiadomości i Per Persson miał nadzieję, że Anders Morderca to zrozumie...

Ale Johanna Kjellander znowu zabrała głos. Ta „szatańska pastorzyca” ogromnie ją dotknęła.

– Wstydź się! – rzuciła tak stanowczym tonem, że niewiele brakowało, a Anders Morderca rzeczywiście oblałby się rumieńcem.

Powiedziała, że chyba powinno być dla niego jasne, iż ani jej samej, ani recepcjoniście nigdy nie przyszłaby do głowy myśl,

aby podwędzić mu pieniądze.

– Trzeba natomiast przyznać, że się nam nie przelewa, niestety. A skoro rozmowa zeszła na te tematy, skorzystam z okazji i spytam, czy pan Anders Morderca nie byłby skłonny wypożyczyć jednego z tych pięciu banknotów tysiackoronowych na dzień czy dwa? Albo jeszcze lepiej na tydzień.

Per Persson zdębiał. Najpierw pastor chciała odebrać z koperty pieniądze Andersa Mordercy bez jego wiedzy. Potem niemal doprowadziła go do tego, że zaczerwienił się ze wstydu, iż ośmielił się ją o coś takiego podejrzewać. A teraz jeszcze wdała się z nim, mordercą, w pertraktację na temat pożyczki. Czy ta kobieta nie ma w ogóle instynktu samozachowawczego? Czy nie pojmuje, że wystawia siebie i jego na śmiertelne niebezpieczeństwo? Powinien zaraz zatkać jej usta, zanim morderca wymyśli coś bardziej nieodwracalnego.

Ale przede wszystkim trzeba spróbować wyprostować to, co ona wykoncyrowała. Anders Morderca usiadł na stołku – niewykluczone, że pod wpływem osłupienia wywołanego faktem, że kobieta pastor, która w jego mniemaniu ukradła mu pieniądze, teraz na dodatek poprosiła, żeby pożyczył jej to, czego nie zdążyła gwizdnąć.

– Jeśli dobrze rozumiem, pan Anders Morderca czuje się oszukany na pięć tysięcy koron, czy tak? – odezwał się Per Persson, starając się, by jego głos brzmiał rzeczowo.

Anders Morderca skinął głową.

– Pragnę więc powtórzyć i podkreślić, że nie wziąłem ich ani ja, ani ta być może najbardziej osobliwa osoba duchowna w Szwecji. Ale jeśli jest cokolwiek, wszystko jedno co, co mógłbym zrobić, aby panu ulżyć, proszę tylko powiedzieć!

„Jeśli jest cokolwiek, co mógłbym zrobić...” to formułka, którą każda osoba pracująca w sektorze usług wypowiada chętnie, tyle że niekoniecznie szczerze. Ale Anders Morderca niestety chwycił recepcjonistę za słowo.

– Dziękuję – powiedział znużonym tonem. – Bądźcie tak

dobrzy i znajdźcie mi moje pięć tysięcy. To nie porachuję wam gnatów.

Per Persson bynajmniej nie marzył o szukaniu hrabiego, który groził mu zrobieniem czegoś nieprzyjemnego z jedną z najcenniejszych części jego ciała. Już myśl o samym powtórным spotkaniu tego człowieka była wystarczająco przerażająca. A co dopiero mówić o żądaniu od niego pieniędzy.

Recepcjonista poczuł się głęboko zaniepokojony, gdy usłyszał głos pastora:

– Oczywiście!

– Oczywiście? – powtórzył wystraszony.

– W porządku – powiedział Anders Morderca, słysząc dwa razy „oczywiście”.

– To przecież jasne, że panu Andersowi Mordercy trzeba pomóc – ciągnęła pastor. – My tutaj, w pensjonacie Cypel na Jeziorze, zawsze pozostajemy do usług naszych gości. Za godziwą opłatą jesteśmy gotowi na wszelkie sposoby ułatwiać życie zarówno mordercom, jak i złodziejom. Nasz Pan nie dzieli ludzi według tych kategorii. Albo może i dzieli, ale lepiej przejdźmy do rzeczy: czy na początek nie powinniśmy się dowiedzieć nieco więcej, o jakiej to „robocie” jest mowa i dlaczego uznano, że została wykonana tylko w połowie?

Per Persson wolałby w tym momencie znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Przed chwilą usłyszał na własne uszy, jak pastor powiedziała „My tutaj, w pensjonacie Cypel na Jeziorze”. Chociaż nie została jeszcze nawet zameldowana, nie mówiąc o opłaceniu należności, nie przeszkadzało jej to ani trochę, by wdać się w imieniu pensjonatu w ekonomiczne negocjacje z mordercą. Recepcjonista postanowił być jak najgorszego zdania o nowym gościu. Ponieważ jednak nie miał innego pomysłu, co zrobić, stał więc tam, gdzie stał, czyli pod ścianą przy recepcyjnej lodówce, i usiłował wyglądać najbardziej obojętnie, jak to możliwe. Kogoś, kto nie budzi żadnych emocji, nie trzeba zabijać, rozumował.

Anders Morderca był tak samo zbity z pantafelów jak on. Pastor w ciągu bardzo krótkiego czasu powiedziała tak dużo, że nie do końca nadążał (fakt, że była pastorem, też robił swoje). Zdaje się, że próbowała zaproponować jakąś formę współpracy. Takie rzeczy zwykle kiepsko się kończyły, ale co szkodzi posłuchać? Nie w każdej sytuacji trzeba zaczynać od łomotu, wręcz przeciwnie, zadziwiająco często lepiej zostawić ten etap na sam koniec.

Tak więc Anders Morderca opowiedział, na czym polegała praca, którą wykonał. Nie odebrał nikomu życia, jeżeli tak myśleli.

– Bo chyba trudno byłoby dokonać zabójstwa tylko w połowie? – wtrąciła pastor.

Anders Morderca wyjaśnił, że postanowił skończyć z mordowaniem, ponieważ cena jest za wysoka; jeśli zdarzyłoby mu się to jeszcze raz, wyszedłby na wolność dopiero około osiemdziesiątki. Musiał jednak przyznać, że ledwie zdążył wyjść z paki i znalazł sobie lokum, od razu zaczęły się pojawiać rozmaite propozycje i z prawej, i z lewej. Większość od ludzi, którzy za naprawdę wygórowane wynagrodzenie chcieli usunąć z drogi nieprzyjaciół i znajomych, czyli zamordować, a Anders Morderca już się do tego nie nadaje. Właściwie nigdy się nie nadawał. Po prostu jakoś się tak ułożyło, i tyle.

Oprócz propozycji różnych kontraktowych egzekucji zdarzały się też zlecenia z gatunku bardziej akceptowalnych, jak to ostatnie. Chodziło o złamanie obu rąk facetowi, który odkupił samochód od zleceniodawcy Andersa Mordercy i jego dawnego znajomego, hrabiego, zabrał auto, a potem tego samego wieczoru przegrał w blackjacka pieniądze przeznaczone na uregulowanie rachunku.

Pastor nie miała pojęcia, co to blackjack, bo jej oba dawne zbory nie oddawały się czemuś takiemu w czasie przeznaczonym na rekreację po nabożeństwie. Za to żywa była tradycja grania w bierki, całkiem sympatyczne zajęcie, od czasu do czasu. Pastor bardziej jednak była zainteresowana samym przebiegiem transakcji.

– Wziął samochód i nie zapłacił?



Anders Morderca objaśnił, jak działa praworzędność w nie do końca praworzędnych sztokholmskich kręgach. W tym konkretnym przypadku chodziło o dziewięcioletniego saaba, ale zasada od lat była niezmienna: jeden dzień albo kilka dni kredytu u hrabiego nigdy nie stanowiło problemu. Kłopot powstawał dopiero wtedy, jeśli pieniądze nie leżały na stole, kiedy mijał termin. Oczywiście był to przede wszystkim kłopot kredytobiorcy, nie kredytodawcy.

– Na przykład w postaci złamanej ręki?

– Tak, albo dwóch, jak mówiłem. Gdyby samochód był nowszy, dostałbym zlecenie też na żebra i twarz.

– Zamiast dwóch złamanych rąk jedna. Pomyliłeś się w rachunkach, czy co się stało?

– Podprowadziłem komuś rower i z kijem bejsbolowym na bagażniku pojechałem do tego złodzieja. Kiedy go dopadłem, akurat trzymał na jednej ręce nowo narodzoną córeczkę i prosił o litość, i takie tam. A ponieważ w gruncie rzeczy mam dobre serce, tak przynajmniej zawsze mówiła moja mama, złamałem mu tylko drugą rękę, za to w dwóch miejscach. I najpierw kazałem odłożyć niemowlę, żeby nie upadło, gdyby on zwałił się na podłogę w czasie, gdy robiłem swoje. No i zwałił się jak kłoda. Jestem dobry w wywijaniu bejsbolem. Kiedy teraz o tym myślę, to widzę, że przecież mogłem złamać mu obie ręce, jak już leżał na ziemi i jęczał. Nie zawsze myślę tak szybko, jak bym chciał. A jak dochodzą prochy i alkohol, wtedy nie myślę już wcale. Przynajmniej nie pamiętam.

Pastor zwróciła uwagę na jeden szczegół opowiadania.

– Ona naprawdę tak mówiła? Twoja mama? Że w gruncie rzeczy masz dobre serce?

Per Persson też to odnotował, trzymał się jednak swojej strategii i starał się wtopić w ścianę recepcji najbardziej, jak się dało, w miarę możliwości nie wydając żadnych odgłosów.

– Tak, tak powtarzała – potwierdził Anders Morderca. – Ale to było, jeszcze zanim wybiłem jej wszystkie zęby zaraz po tym, jak tata zapił się na śmierć. Potem nie mówiła już tak dużo, w każdym razie i tak nie dało się zrozumieć. Głupia starucha. Szlag by ją trafił.

Pastor miała w zanadrzu kilka rad, jak można rozwiązywać konflikty rodzinne bez wybijania sobie nawzajem zębów, każda rzecz jednak ma swój czas. Teraz chciała podsumować usłyszane informacje, aby się upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiała:

Czyli jego ostatni zleceniodawca domaga się pięćdziesięcioprocentowego rabatu za to, że Anders Morderca złamał jedną z obu rąk dwa razy, zamiast przetrącić obie po jednym razie?

Anders Morderca kiwnął głową. Te pięćdziesiąt procent to niby to samo co połowa ceny?

Tak, to samo, potwierdziła pastor. I dodała, że wygląda na to, iż hrabia znalazł się w wyjątkowo marnym położeniu. Mimo wszystko ona i recepcjonista są gotowi pomóc.

Ponieważ recepcjonista nie był skłonny się przeciwstawić, mogła ciągnąć dalej:

– Za prowizję wysokości dwudziestu procent odwiedzimy rzeczonoego hrabiego z zamiarem przekonania go do innego sposobu myślenia. Ale to jeszcze nic. Nasza współpraca zrobi się naprawdę interesująca dopiero w *fazie drugiej!*

Anders Morderca próbował przyswoić sobie to, co usłyszał. Dużo słów i jakiś dziwne procenty. Zanim jednak doszedł do pytania, co znaczy „faza druga”, pastor go uprzedziła.

Faza druga oznacza, że drobna działalność Andersa Mordercy zostanie rozwinięta pod kierownictwem recepcjonisty i jej. Dyskretne zabiegi piarowskie w celu poszerzenia kręgu klientów, konkretny cennik, aby nie tracić czasu na kogoś, kogo nie stać na płatność, i czytelna polityka etyczna.

Pastor zauważyła, że recepcjonista zrobił się na twarzy równie biały jak ściana, w którą się wciskał, a Anders Morderca stracił wątek. Postanowiła na krótką chwilę się zatrzymać, dzięki czemu jeden zaczerpnie trochę tlenu, a drugi nie zdąży wpaść na pomysł, by zacząć bić, zamiast próbować zrozumieć.

– Swoją drogą muszę pana pochwalić za dobre serce – rzekła potem. – To nadzwyczajne, że niemowlę uszło z tego bez

najmniejszej szramki! Królestwo Niebieskie należy do dzieci, mamy tego świadectwo już w Ewangelii Mateusza, w rozdziale dziewiętnastym.

– Naprawdę należy? Są takie znaki? – spytał Anders Morderca, zapominając, że jeszcze pół sekundy temu postanowił dołożyć przynajmniej temu, który nic nie mówi.

Pastor pokiwała nabożnie głową i zaniechała poinformowania swego rozmówcy, iż zaledwie kilka linijek dalej w tej samej ewangelii napisano, że nie należy zabijać, że trzeba kochać swego bliźniego jak siebie samego i – à propos wybitych zębów – czcić matką swą i ojca swego.

Wzbierająca w Andersie Mordercy furia opadła. Gdy Per Persson to spostrzegł, odważył się w końcu uwierzyć w dalsze życie (to znaczy w to, że zarówno on, jak i pastor przetrwają obecną rozmowę z gościem z pokoju numer siedem). Recepcjonista zaczął nie tylko oddychać, ale odzyskał też mowę i wniósł swój wkład do całości, z sukcesem wyjaśniając Andersowi Mordercy, co to jest dwadzieścia procent czegoś. Johan Andersson tłumaczył się, że z czasem stał się debeściakiem w liczeniu lat w pace, ale o procentach wiedział mniej więcej tyle, że około czterdziestu ma gorzałka, a czasami jeszcze więcej, jeżeli jest produkowana w różnych piwnicach bez nadzoru. W czasie któregoś z wcześniejszych policyjnych dochodzeń okazało się, że popił swoje prochy trzydziestoośmioprocentową kupną wódką i siedemdziesięcioprocentowym domowym bimbrem. Co prawda na policyjnych śledztwach nie zawsze można polegać, ale jeśli gliny miały wtedy rację, to nic dziwnego, że stało się, jak się stało – ze stuośmioprocentowym alkoholem we krwi i z prochami na dokładkę.

Zachęcona dobrym nastrojem Andersa Mordercy, który zdawał się utrwać, pastor obiecała, że obroty z ich wspólnej działalności szybko ulegną podwojeniu – co najmniej! – pod warunkiem że ona i recepcjonista będą mieli wolną rękę jako jego przedstawiciele.

Per Persson wykazał się bystrością i wyjął z recepcyjnej lodówki dwa piwa. Anders Morderca wychylił pierwsze, napoczął drugie i wtedy uznał, że zrozumiał wystarczająco dużo z tego, co mu wyjaśniano.

– No to co, psiamać? Jesteśmy dogadani.

Po czym w kilku pospiesznych łykach dopił i drugie piwo, beknął, ale zaraz przeprosił i podał dwa z pięciu tysiackoronowych banknotów, mówiąc: „to byłoby dwadzieścia procent, no nie!”. Trzy pozostałe wetknął sobie do kieszeni na piersi koszuli, poinformował, że pora na śniadanie połączone z lunchem w knajpie za rogiem i że dlatego nie ma już czasu na dalsze omawianie interesów.

– Powodzenia z hrabią! – powiedział jeszcze w drzwiach, zanim zniknął.

## Rozdział 4

Tak zwanego hrabiego nie dałoby się znaleźć w spisie arystokracji. Tak naprawdę nie dałoby się go znaleźć w żadnym spisie. Miał około siedmuset tysięcy koron długu wobec urzędu skarbowego, lecz niezależnie od tego, ile razy organ ten wysyłał upomnienia o zadłużeniu na ostatni adres podany przez hrabiego, czyli na Mabini Street w stolicy Filipin, Manili, nigdy w odpowiedzi nie nadeszły żadne pieniądze. Ani w ogóle cokolwiek. Urząd skarbowy nie mógł przecież wiedzieć, że adres był wybrany na chybił trafił, że pisma urzędowe trafiały do miejscowego handlarza ryb, który otwierał je i wykorzystywał do zawijania krewetek tygryskich i kałamarnic, podczas gdy w istocie hrabia mieszkał w Sztokholmie u swojej przyjaciółki zwanej hrabiną, wysoko cenionej dystrybutorce najrozmaitszych narkotyków. W jej imieniu prowadził na południowych przedmieściach stolicy pięć firm sprzedaży samochodów z drugiej ręki.

Wszedł do tej branży jeszcze w czasach analogowych, kiedy auta skręcało się i rozkręcało za pomocą klucza francuskiego i nie trzeba było mieć dyplomu uniwersyteckiego z informatyki. Mimo to lepiej od wielu innych poradził sobie z przestawieniem się na rzeczywistość cyfrową, i to do tego stopnia, że w ciągu kilku lat z jednej firmy zrobiło się pięć. Mętna woda wokół prowadzonych interesów pogłębiała finansową kontrowersję między hrabią a urzędem skarbowym – ku zadowoleniu, ale i ku pewnej irytacji pracowitego handlarza ryb po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Hrabia należał do ludzi dostrzegających w zmianach raczej szansę niż zagrożenie. W Europie i na świecie konstruowano samochody, które w sprzedaży kosztowały cały milion koron, ale wystarczyło zaledwie pięćdziesiąt dolarów, aby je ukraść, korzystając z elektroniki i pięciopunktowej instrukcji

z internetu. Hrabia już dawno wyspecjalizował się w lokalizowaniu zarejestrowanych w Szwecji bmw X5, potem partnerom w Gdańsku kazał przysłać dwóch ludzi, aby je podprowadzili i zabrali do Polski, a po nadaniu im nowego życiorysu hrabia importował auta z powrotem.

To dawało ćwierć miliona koron netto na jednym samochodzie. Ale potem BMW się obudziło i zaczęło instalować w każdym nowym i lepiej wyposażonym modelu lokalizatory. Mając za nic podstawowe zasady fair play, nikt z koncernu wcześniej nie pisał choćby słówka na ten temat i tak oto w magazynie przerzutowym w Ängelholm nagle pojawiła się policja i zgarnęła zarówno samochody, jak i Polaków.

Hrabia natomiast się wywinął. Bynajmniej nie dlatego, że był zameldowany u pewnego handlarza ryb w Manili, tylko dzięki temu, że złapani Polacy byli zbyt przywiązani do życia, by zacząć sypać.

Poza tym hrabia już wiele lat wcześniej wyrobił sobie markę dzięki eleganckiemu sposobowi grożenia klientom, którzy nie uiszczali swoich należności w porę. Mówił na przykład tak: „Będę niezmiernie wdzięczny, jeżeli pan Hansson zechce uregulować swoje pekuniarne zobowiązania wobec mnie w ciągu dwudziestu czterech godzin, albowiem w przeciwnym razie będę zmuszony porąbać go na kawałki”. Hansson, czy jak tam się klient nazywał, zawsze wolał zapłacić. Nikt nie chciał być porąbany na kawałki niezależnie od ich liczby. Wystarczyły już dwa, żeby było źle.

Z upływem lat hrabia (przy pomocy hrabiny) wyszkolił się w stylu mniej eleganckim. Którego dał przykład choćby w stosunku do recepcjonisty. Ale marka pozostawała marką.

Per Persson i Johanna Kjellander udali się do rzeczzonego hrabiego, aby w imieniu Andersa Mordercy domagać się zwrotu pięciu tysięcy koron. W razie powodzenia zyskiwali potencjalne źródło przyszłych dochodów w osobie mordercy spod numeru siedem. Jeśli nie... Nie, nie mogli się nie udać.

Co się tyczy podejścia do hrabiego, pastor zaproponowała, aby byli wobec niego równie twardzi jak on. Uległość nie działa w tych kręgach, rezonowała Johanna Kjellander.

Per Persson zaprotestował zdecydowanie. Jest recepcjonistą niepozbawionym pewnych zdolności w zakresie arkuszy kalkulacyjnych i logistyki, a nie żadnym oprychem. A jeżeli już miałby przedzierzgnąć się w kogoś takiego, to w żadnym razie nie chciałby zaczynać swojej praktyki od scysji z jednym z najwybitniejszych przedstawicieli tego sektora w całym regionie stołecznym. Swoją drogą jakie w ogóle doświadczenie ma pastor w obcowaniu z kręgami, o których mowa? Skąd pewność, że jeden serdeczny uścisk albo dwa nie byłyby właściwym wstępem?

Uścisk? Chyba nawet dziecko umiałoby wykoncypować, że nic nie osiągną, jeżeli pójdą do hrabiego i przeproszą go, że żyją.

– Zostaw mi prawnie kazania, a będzie dobrze – powiedziała pastor, gdy dotarli do biura hrabiego, otwartego także w niedzielę. – I nikogo nie ściskaj!

Per Persson co prawda pomyślał w tym momencie, że tylko on z nich dwojga ma narząd płciowy, który da się oberznąć, lecz w obliczu męstwa pani pastor skapitulował. Jego towarzyszka zachowywała się tak, jakby miała u swego boku Jezusa, a nie recepcjonistę. Mimo to chętnie by się dowiedział, co ona konkretnie ma na myśli, mówiąc, że muszą być tak twardzi jak hrabia, ale było już za późno na pytania.

Gdy rozległ się dźwięk dzwonka przy drzwiach, hrabia uniósł wzrok znad biurka. Do środka weszło dwoje osobników, których rozpoznał, lecz nie potrafił przypisać do niczego. W każdym razie na pewno nie byli z urzędu skarbowego, na co wskazywał kołnierzyk kobiety.

– Witam ponownie, panie hrabio, nazywam się Johanna Kjellander, jestem pastorem Kościoła szwedzkiego, jeszcze do niedawna kierowałam zbozem, pozostawmy to jednak na marginesie naszej rozmowy. Mężczyzna obok mnie to mój wieloletni przyjaciel i kolega...

W tej sekundzie Johanna Kjellander zdała sobie sprawę, że nie zna nazwiska recepcjonisty. Był dla niej miły na ławce w parku, trochę mniej wielkoduszny, gdy przyszło do pertraktacji w sprawie ceny za pokój, dosyć pasywny przy przekonywaniu Andersa Mordercy, ale mimo wszystko na tyle odważny, by jej teraz towarzyszyć i próbować wyciągnąć brakujące pięć tysięcy z łap hrabiego, przed którym właśnie stali. Chyba nawet wymienił swoje nazwisko, kiedy próbowała wycygnąć od niego dwie dziesiątki za modlitwę, wszystko jednak działało się zbyt szybko.

– Mój wieloletni przyjaciel i kolega...

– Per Persson – odpowiedział Per Persson.

– No właśnie – kontynuowała Johanna Kjellander. – Przyszliśmy tutaj jako reprezentanci...

– Czy to nie wam dałem parę godzin temu kopertę z pięcioma tysiącami w pensjonacie Cypel na Jeziorze?

Hrabia już nie miał wątpliwości. W końcu w południowym Sztokholmie nie spotyka się nie wiadomo ilu pastorów kobiet z brudną koloratką. A przynajmniej nie jednego dnia.

– Otóż to – odparła pastor. – Z pięcioma tysiącami. Brakuje jeszcze pięciu. Nasz zleceniodawca, Johan Andersson, poprosił nas, abyśmy przyszli je odebrać. I jednocześnie przekazuje, że taki sposób załatwienia sprawy będzie najlepszy dla wszystkich. W przeciwnym razie, według słów pana Anderssona, hrabia straci życie w niemiłych okolicznościach, a sam pan Andersson w konsekwencji prawdopodobnie trafi za kratki na lat dwadzieścia w uzupełnieniu do tych, które już odsiedział z identycznych powodów. Jak mówi Pismo: „Mąż prawy zmierza do życia, kto zaś goni za grzechem – do śmierci”. Księga Przysłów 11,19.

Hrabia się zamyślił. Ośmielają się tu przychodzić i mu grozić? Powinien zacisnąć tej pastor koloratkę na szyi i raz na zawsze odciąć dopływ tlenu. Z drugiej strony, według słów tej kobiety mogłoby to zmienić przydatnego idiotę Andersa Mordercę w zwyczajnego idiotę. I hrabia byłby wtedy zmuszony odebrać



mu życie, zanim tamten odebrałby jemu, a to z kolei by oznaczało, że najbardziej ceniony przez niego łamignat nie byłby już dostępny. A to, co jest (albo nie jest) napisane na ten temat w Biblii, też nie powinno mu być obojętne.

– Hmmm – wyrwało mu się.

Pastor podtrzymywała dialog, nie chciała bowiem, aby niepotrzebnie doszło do jakiegokolwiek blokady. Dlatego wyjaśniła, czym Anders Morderca się kierował, gdy złamał jedną i tę samą rękę w dwóch miejscach, zostawiając drugą w nienaruszonym stanie. Czyniąc tak, postępował w zgodzie z regułami etycznymi, które wypracował wspólnie ze swymi agentami, to znaczy z nią osobiście i przyjacielem Perem Janssonem u jej boku.

– Perem Perssonem – poprawił ją Per Persson.

A reguły te wykluczały, aby w toku wykonywanych czynności mogło stać się coś złego dziecku, do czego niechybnie by doszło, gdyby Anders Morderca nie zachował się tak przytomnie w nieoczekiwanej sytuacji. Albo jak mówi Pan w Drugiej Księdze Kronik 25,4: „Ojcowie nie poniosą śmierci za winy synów ani synowie za winy swych ojców. Każdy umrze za swój własny grzech”.

Hrabia widział, że pastor jest dobra w pleceniu andronów. Ciekawe, jak potraktować kwestię zasadniczą, a mianowicie to, że wymieniona ofiara jeździ sobie teraz po okolicy samochodem, za który, kurza stopa, nie zapłaciła, z jedną ręką w gipsie, a nie z dwiema.

– Przeanalizowaliśmy ten aspekt bardzo dokładnie – rzekła pastor, odnosząc się do niespodziewanie wyłuszczonej kwestii.

– I? – spytał hrabia.

– No cóż, mamy następującą propozycję – powiedziała w tej samej sekundzie, gdy przyszło jej do głowy rozwiązanie. – Wyplaci pan Andersowi Mordercy pięć tysięcy, które jest mu pan winien za poprzednie zlecenie. Biorąc pod uwagę branżę, w której pan działa, za jakiś czas z pewnością znowu będzie pan potrzebował pomocy. Jeśli tylko kierownictwo koncernu, czyli my, uzna, że dane zlecenie jest jego godne, w co raczej wierzymy, podejmiemy się realizacji zgodnie z obowiązującym

cennikiem oraz zajmiemy się powtórnie obiektem A. Tym razem zadbamy, aby w pobliżu nie było żadnych niemowląt, i złamiemy ręce jeszcze raz. Najpierw tę, która do tej pory zdąży się już zrosnąć, a potem drugą, która wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności poprzednim razem ocalała. I to bez żadnych dodatkowych kosztów!

Przedziwnie było pertraktować z osobą duchowną i z... kimkolwiek jest ten drugi... w takich sprawach, jednak to, co hrabia usłyszał, wydawało się całkiem do przyjęcia. Zapłacił więc pięć tysięcy, podał rękę pastor i temu drugiemu i obiecał się zgłosić, kiedy przyjdzie pora, by dać lekcję komukolwiek za cokolwiek.

– Chciałem też prosić pana Pera Janssona o wybaczenie za tamte groźby z fiutem – powiedział na pożegnanie.

– Nie ma za co – odrzekł Per Persson.

– Członek za członek... – rzuciła mimochodem pastor pod nosem, ale szybko się zmitygowała i zrezygnowała z dalszej części: „oko za oko, ząb za ząb”, zgodnie z Trzecią Księgą Mojżeszową.

– Co takiego? – spytał hrabia, domyśliwszy się, że właśnie znowu mu grożono, a grożenie hrabiemu dwa razy w ciągu kilku minut to co najmniej półtora raza za dużo.

– Nic, nic – odpowiedział szybko Per Persson i chwycił pastor pod rękę. – Po prostu moja mała Johanna pogubiła się w cytatach z Biblii. Już idziemy. Gorąco tutaj. Chodź, mój skarbie, tędy.

## Rozdział 5

Po drodze od hrabiego pastor i recepcjonista milczeli. Każde z nich przetrawiało własne myśli.

Recepcjonista czuł, że nadciąga nieszczęście. I pieniądze. I jeszcze więcej nieszczęścia. I pieniędzy.

Do nieszczęścia był przyzwyczajony. A większej ilości tego samego towaru chyba raczej się nie zauważa? Ale pieniądze w dużych ilościach nie widział nigdy poza koszmarami sennymi o dziadku. Mimo to musiał skonsultować się z pastorem. Żeby masakrować ludzi na zamówienie?

Johanna Kjellander zdawała się szukać dobrej odpowiedzi, lecz nie znalazła lepszej niż ta, że każdy, kto lęka się Pana, wie, jaką drogę powinien wybrać.

– Psalm dwudziesty piąty – dodała bez przekonania.

Recepcjonista odrzekł, że to jedna z najgłupszych rzeczy, jakie kiedykolwiek słyszał, i zaproponował, żeby zaczęła używać głowy, zamiast sypać cytatami z Biblii jak z rękawa. Zwłaszcza że ów rękaw należał do osoby, która nie wierzy ani w Boga, ani w Biblię. Oprócz tego według Pera Perssona dwa ostatnie cytaty w ogóle nie były trafne. Czy przez ten ostatni chciała powiedzieć, że ona i on są zesłani przez Boga, aby poprzez Andersa Mordercę naprowadzać ludzi o wątpliwej moralności na właściwą drogę? Dlaczego w takim razie Pan wybrał ją, niewierzącą w niego pastora, aby kierowała tą działalnością? Wspólnie z recepcjonistą, któremu ani razu w życiu nie przeszło przez głowę, aby choć otworzyć Biblię?

Pastora odpowiedziała lekko zdziwiona, że nawigowanie przez życie to wcale nie taka prosta sprawa. Ona na przykład od urodzenia niemal po dzień dzisiejszy tkwiła w okowach rodzinnej tradycji. Teraz znalazła się w nowej roli, weszła do zespołu zarządzającego bandziorem, ale czy to jest odpowiedni sposób zemsty na Bogu, którego nie ma, nie potrafi powiedzieć.

Lecz co szkodzi sprawdzić? Może w procesie sprawdzania wpadnie korona czy dwie. Przy okazji chciała podziękować Perowi Janssonowi czy też Perssonowi za przytomną interwencję w chwili, gdy jej biblijny autopilot wypuł przy hrabim wzmiankę o członku za członka w najmniej odpowiednim momencie.

– Nie ma za co – bąknął recepcjonista nie bez dumy.

Reszty nie skomentował. Wyglądało na to, że chyba jednak istnieją punkty wspólne między pastora a recepcjonistą.

Wrócili do hotelu. Per Persson podał pastora klucz do pokoju numer osiem, mówiąc, że cenę za pokój mogą ustalić innym razem. Jak na jedną niedzielę dużo się wydarzyło i miał ochotę wcześniej zakończyć dzień.

Pastora podziękowała w sposób najbardziej ziemski, na jaki ją było stać.

– Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję za dzisiaj. Zobaczymy się jutro, jak przypuszczam. Dobrej nocy, Per. Dobranoc.

\* \* \*

Wieczorem tego samego dnia, w którym najpierw spotkał kobietę pastora, potem hrabiego, a następnie został konsultantem mordercy znanego mu aż nazbyt dobrze, Per Persson leżał na materacu w pokoiku na tyłach recepcji i gapił się w sufit.

Przetrącenie komuś od czasu do czasu ręki to jeszcze nie koniec świata, zwłaszcza gdy dotyczy to ludzi, którzy nie zasłużyli na nic innego, a jednocześnie zabieg taki wzbogaci zarówno egzekutora, jak i zespół zarządzający.

Pastora była chyba najdziwniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkał. Mógł to śmiało powiedzieć, mimo że przez lata widział wielu różnych cudaków w pensjonacie Cypel na Jeziorze – hotelu zapomnianym przez Boga.

Tyle że ona umiała sobie radzić i robiła to w ekonomicznie sensowny sposób (choć swoją modlitwę na ławce w parku mogła przygotować trochę lepiej; nie przeszłoby jej wtedy koło

nosa dwadzieścia koron).

Coś mi się zdaje, że powinienem się ciebie trzymać, Johanno Kjellander – powiedział sobie w duchu. – I chyba tak zrobię. Bo czujesz z daleka pieniądze. A pieniądze ładnie pachną.

Wyłączył lampkę bez abażuru stojącą przy materacu i zasnął w zaledwie kilka minut.

Dawno już nie spał tak dobrze.

## Rozdział 6

W firmie zajmującej się masakrowaniem ludzi jest więcej spraw do omówienia, niż można by sądzić. Struktura zysków była następująca: osiemdziesiąt procent dla Andersa Mordercy i dwadzieścia procent dla recepcjonisty i pastor do podziału. Należało jednak uwzględnić także koszty uzyskania przychodu. Wykonawca zleceń będzie na przykład potrzebował nowych ubrań roboczych, jeżeli posiadane przez niego zostaną pokrwawione i nie dadzą się już uratować. To nie podlegało dyskusji. Anders Morderca przekonywał ponadto, że wydatki na piwo, które konsumował przed każdą operacją, powinny być dzielone między wszystkie strony. Uważał, że nie da się nikogo porządnie poturbować na trzeźwo. Recepcjonista i pastor odpowiedzieli, że z całą pewnością się da, potrzeba tylko trochę praktyki, której Andersowi Mordercy brak. Przyjęto zatem stanowisko, że w dniu, w którym czekała go akcja, musi ograniczyć konsumpcję.

Negocjacje dotyczące piwa Anders Morderca przegrał, natomiast zyskał poparcie zespołu w kwestii transportu. Zgodnie bowiem uznano, że nie przystoi, aby jeździł środkami komunikacji publicznej albo wsiadał na skradziony rower z kijem bejsbolowym na bagażniku. Postanowiono jednogłośnie, że spółka pokryje koszty przejazdu taksówką. Recepcjonista wynegocjował stałą cenę u Taxi-Torstena, dawnego stałego klienta Clubu Amore. Dziewczyny nazywały go Taxi-Dorszem i dlatego recepcjonista go zapamiętał. Per Persson wybrał się zatem do dawnego amatora płatnego seksu i wypalił prosto z mostu:

– Ile byś chciał za bycie prywatnym szoferem na terenie wielkiego Sztokholmu przez godzinę albo dwie w jedno albo w dwa popołudnia?

– Sześć tysięcy za każdy kurs – rzucił Taxi-Torsten.

- Dostaniesz dziewięćset.
- Zgoda!
- I masz trzymać gębę na kłódkę, niezależnie od tego, co zobaczysz albo usłyszysz.
- Przecież powiedziałem, że umowa stoi.

Zespół działał z powodzeniem. Co poniedziałek spotykał się na naradzie roboczej. Pierwotny cennik modyfikowano na bieżąco na podstawie relacji Andersa Mordercy, który przedstawiał trudności występujące przy wykonywaniu różnych rodzajów zleceń. Ceny uzależniano także od zamawianych kombinacji. Na przykład złamanie prawej nogi kosztowało piętnaście tysięcy koron i tyle samo żądano za złamanie lewej ręki. Ale już koszt kombinacji prawa noga plus lewa ręka wynosił nie trzydzieści tysięcy, tylko czterdzieści. A to w wyniku sugestywnych opisów Andersa Mordercy, że osobnik, któremu właśnie przetrącono bejsbolem prawą nogę, tak miota się i ciska po podłodze, że ni cholery nie można się dostać do jego lewej ręki. Zwłaszcza że egzekutor zleceń od początku miał problem z odróżnianiem prawej strony od lewej (podobnie jak zła od dobra).

Przestrzegano też norm etycznych. Pierwsza i najważniejsza brzmiała: dziecko nigdy nie może doznać uszczerbku, ani bezpośrednio, ani pośrednio, na przykład nie powinno widzieć, jak mama czy (najczęściej) tata dostaje łomot.

Druga zasada mówiła, że zadane obrażenia powinny być w jak największym stopniu uleczalne w miarę upływu czasu, innymi słowy ten, który odpokutował za swoje przestępstwo, nie powinien kuśtykać przez resztę życia. Oznaczało to na przykład ogromną ostrożność, jeśli chodzi o kolana, bo zmiażdżona rzepka jest trudna czy wręcz niemożliwa do odtworzenia. Odcięty palec natomiast mógł się zdarzyć. Dwa również. Na dłoń. Ale nie więcej.

Najbardziej popularne były złamania nóg i rąk za pomocą kija bejsbolowego. Ale niekiedy klient życzył sobie, aby to twarz delikwenta dobitnie informowała, że nie dopełnił tego, co do

niego należało, i wtedy wchodziły w rachubę pięści i kastety, a w konsekwencji złamania kości szczęki, nosa oraz kości policzkowych, a także sińce i pęknięte łuki brwiowe (ten ostatni uszczerbek na urodzie najczęściej automatycznie następował sam).

Per Persson i Johanna Kjellander przekonywali się nawzajem, że każdy, kto dostawał po łbie za ich pośrednictwem, zapracował sobie na to. Zamawiający musiał przecież gruntownie uzasadnić swój wniosek. Jako jedyny spotkał się dotychczas z odmową narkoman uzależniony od heroiny wypuszczony niedawno z zakładu, który podczas psychoterapii zrozumiał, że wszystkiemu była winna jego obecnie dziewięćdziesięciodwuletnia przedszkolanka. Anders Morderca uważał co prawda, że coś w tym może być, ale Per Persson i Johanna Kjellander uznali, że dowody są zbyt słabe. Heroinista wyniósł się, nie uzyskawszy pomocy. Na dodatek dwa dni później babcia zmarła na zapalenie płuc, niweczając tym samym wszelką możliwość zemsty.

\* \* \*

Podział obowiązków polegał na tym, że Per Persson, który i tak stał przecież w recepcji, odbierał na bieżąco zamówienia, informował o cenie i obiecywał przekazać w ciągu dwudziestu czterech godzin wiadomość zwrotną. Następnie zwoływał Johannę Kjellander i Andersa Mordercę na spotkanie kierownictwa. Ten drugi pojawiał się na zebraniach jedynie od czasu do czasu, ale dowolne zamówienie mogło zostać zaakceptowane stosunkiem głosów dwa do zera.

Po uregulowaniu ustalonej kwoty zlecenie było realizowane zgodnie z zamówieniem zwykle w ciągu kilku dni, najdalej w ciągu tygodnia. Oprócz tego, że niekiedy lewą stronę pomyłono z prawą lub odwrotnie, klient nigdy nie miał powodu uskarżać się na jakość wykonania.

– Lewa ręka to ta, na której nosisz zegarek – próbowała objaśnić pastor.

– Zegarek? – powtórzył Anders Morderca, który od pierwszego popełnionego przez siebie morderstwa nauczył się



liczyć czas raczej w latach i dziesięcioleciach niż w godzinach i minutach.

- Albo ta, w której trzymasz widelec, kiedy jesz.
- W pierdłu zawsze jadłem łyżką.

## Rozdział 7

Wszystko byłoby dobrze w pensjonacie Cypel na Jeziorze, gdyby nie to, że interesy nie nabrały specjalnego rozpędu. Wieść o perfekcjonizmie Andersa Mordercy nie rozeszła się wystarczająco szybko w odpowiednich kręgach.

Jedyną osobą w zespole, której nie przeszkadzała praca tylko przez godzinę tygodniowo, był sam główny bohater. Anders Morderca bowiem co prawda przetestował na sobie wszystkie rodzaje nałogów, ale na pewno nie można go było posądzić o pracoholizm.

Recepcjonista i pastor debatowali wytrwale nad najlepszymi działaniami marketingowymi służącymi spopularyzowaniu jego umiejętności. Rozmowy toczyły się tak pomyślnie, że w pewien piątkowy wieczór pastor zaproponowała, aby zwieńczyli je butelką wina w pokoiku recepcjonisty (na którego wyposażenie składało się jedno krzesło, szafa i materac na podłodze). Pomysł był nęcący, lecz Per Persson nadto dobrze pamiętał ich pierwsze spotkanie, kiedy Johanna Kjellander próbowała go okantować. Na podzielenie się z nią butelką wina był nawet gotów się zgodzić, uważał jednak, że lepiej będzie kontynuować naradę w tym samym miejscu, a potem każdy pójdzie w swoją stronę.

Pastor poczuła się mocno zawiedziona. Recepcjonista miał w sobie coś posepnego i jednocześnie uroczego. W żadnym razie nie powinna była wystawiać mu rachunku za modlitwę wtedy, na ławce w parku. Teraz psuło jej to szyki, gdy ku własnemu zdziwieniu szukała odrobiny miłości.

Ale winem jak najbardziej się podzielili i może to była jego zasługa, że zgodzili się na to, iż *wzbudzenie zainteresowania mediów* to z pewnością ryzykowna, ale skuteczna metoda

osiągnięcia wyznaczonego celu. Postanowiono, że morderca powinien udzielić odpowiedniemu szwedzkiemu środkowi przekazu wywiadu na wyłączność, który poświadczyłby jego niezwykle talent.

Recepcjonista przystąpił do czytania gazet porannych i popołudniowych, tygodników i magazynów, oglądał różne programy na rozmaitych kanałach telewizyjnych, słuchał też radia – i w końcu zdecydował, że najlepszy i najbardziej bezpośredni efekt przyniesie publikacja w jednym z dwóch ogólnokrajowych tabloidów. Ostateczny wybór padł na „Expressen”, ponieważ z racji nazwy wydawał się szybszy niż „Aftonbladet”.

W tym samym czasie pastor wyjaśniała Andersowi Mordercy, jaki jest cel tego wszystkiego, i cierpliwie ćwiczyła z nim przed przyszłym wywiadem. Faszerowała go informacjami, z jakim przekazem chcą dotrzeć do odbiorców, co musi powiedzieć, a czego w żadnym wypadku powiedzieć mu nie wolno. Koniec końców z tekstu powinno wynikać, że jest:

- 1) na sprzedaż,
- 2) niebezpieczny,
- 3) szalony.

– Niebezpieczny i szalony... to chyba da się załatwić – powiedział Anders Morderca, ale raczej nie w pełni przekonany.

– Masz predyspozycje – dodała mu otuchy pastor.

Gdy przygotowano już wszystko, recepcjonista skontaktował się z szefową działu wiadomości wybranej gazety i oznajmił, że może zaoferować ekskluzywny wywiad z seryjnym mordercą Johanem Anderssonem, bardziej znanym jako Anders Morderca.

Szefowa działu wiadomości nie słyszała dotąd o żadnym seryjnym mordercy o takim nazwisku, czuła jednak, że to może być dobry nagłówek na pierwszą stronę gazety. Anders Morderca. Spytała, czy może dowiedzieć się czegoś więcej.

Oczywiście, oświadczył Per Persson: otóż rzecz ma się tak, że

Johan Andersson przesiedział za kratkami całe swoje dorosłe życie za zabójstwa. Określanie go seryjnym mordercą jest być może nieco naciągane, ale ile zwłok ukrywał w szafie poza ofiarami, za które został skazany, Per Persson nie śmiał nawet zgadywać.

Tak czy inaczej ta żywa maszynka do zabijania, czyli Johan Andersson, jest obecnie na wolności i za pośrednictwem swego przyjaciela Pera Perssona chciałby przekazać, że chętnie spotkałby się z kimś z „Expressen”, aby opowiedzieć, czy stał się lepszym człowiekiem. Czy też nie.

– Czy też nie? – powtórzyła szefowa redakcji wiadomości.

Gazecie wystarczyło kilka minut, by ogarnąć posępną historię Johana Anderssona. O Andersie Mordercy nigdy wcześniej nie wspomniano w żadnych mediach, toteż recepcjonista był przygotowany do obszerniejszej argumentacji, chciał też wyjaśnić, że nazwisko to narodziło się i utrwaliło podczas ostatniej odsiadki, ale jego niepokój okazał się całkiem nieuzasadniony. „Expressen” uznał, że skoro ktoś nazywa się Anders Morderca, to nim jest i już. Przecież to nie lada gratka! Gazeta miała na haczyku całkowicie własnego seryjnego mordercę. A to coś nieporównanie lepszego niż jakiś tam pierwszy lepszy wakacyjny zabójca.

Reporter i fotograf spotkali się z Andersem Mordercą i jego przyjaciółmi w lekko odszykowanej na tę okazję recepcji pensjonatu Cypel na Jeziorze już następnego dnia. Przyjaciele od razu wzięli dziennikarza na stronę i oznajmili mu, że o nich w żadnym wypadku nie może być wzmianki w tekście, bo mogłoby to narazić ich życie na niebezpieczeństwo. Czy reporter to aprobuje?

Młody i wyraźnie zdenerwowany dziennikarz musiał się przez chwilę zastanowić. Nie godzi się bowiem, aby osoby postronne dyktowały warunki prasie. Z drugiej strony właściwym bohaterem wywiadu był Johan Andersson. W tym kontekście

wyłączenie źródeł informacji brzmiało sensownie. Bardziej kłopotliwe było żądanie ograniczenia się wyłącznie do zdjęć, zakaz nagrań dźwiękowych czy ujęć dla telewizji internetowej. Recepcjonista także w tym miejscu odwołał się do argumentu bezpieczeństwa zarówno swojego, jak i pastor, przytaczając jeszcze mroczniejsze przyczyny. Reporter i fotograf zaszepili się, ale zaakceptowali warunki.

Anders Morderca opowiedział szczegółowo, w jaki sposób przez lata odbierał ludziom życie. Zgodnie z przyjętą strategią piarowską nie wspominał jednak o wpływie alkoholu i prochów, wyliczył natomiast, co może wytrącić go z równowagi i sprawić, że powróci do przemocy.

– Nienawidzę niesprawiedliwości – powiedział przedstawicielowi gazety, bo pamiętał wskazówki pastor.

– Chyba jak większość – rzekł wciąż zdenerwowany dziennikarz. – Ma pan na myśli jakiś konkretny rodzaj niesprawiedliwości?

Anders Morderca przerabiał to wszystko z pastor, teraz jednak miał w głowie pustkę. Może wypił o jedno piwo za mało do śniadania? Albo o jedno za dużo? Na pierwszą z wymienionych sytuacji dałoby się jeszcze zaradzić, na drugą raczej nie. Strzelił palcami i kazał recepcjoniście przynieść pilznera z lodówki. Następnie otworzył go i przez piętnaście sekund trzymał w ręce, a kiedy minęło pół minuty, butelka była pusta.

– Na czym to stanęliśmy? – spytał, oblizując piankę z górnej wargi.

– Mówiliśmy o niesprawiedliwości – powiedział dziennikarz, który nigdy dotąd nie widział, aby ktoś opróżnił butelkę piwa w takim tempie.

– Racja, racja, no więc to jest coś, czego nienawidzę, czy tak?

– Rozumiem... ale konkretnie?

Podczas ćwiczeń i przygotowań pastor nauczyła się, że rozum mordercy chadza własnymi drogami. I prawdopodobnie teraz wybrał się samowolnie na spacer.

Pastor bynajmniej się nie myliła. Anders Morderca za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, czego to miał

nienawidzić. Ostatnie piwo jakoś zamąciło mu w głowie. Wydawało mu się, że kiedy tak tu siedzi, mógłby pokochać cały świat. Ale przecież nie wolno mu tego powiedzieć. Czyli pozostawała improwizacja.

– No więc nienawidzę... biedy. I okropnych chorób. One zawsze dopadają tych dobrych.

– Tak pan uważa?

– Tak, dobrzy dostają raka albo coś w tym rodzaju. Nigdy źli. Tego nienawidzę. I nienawidzę też tych, co wyciskają zwykłych ludzi jak cytrynę.

– Kogo ma pan konkretnie na myśli?

No właśnie, kogo Anders Morderca miał na myśli? O czym w ogóle teraz myślał? Że jest mu potwornie trudno przypomnieć sobie, co miał powiedzieć. Jak choćby ta sprawa z zabijaniem. Czy powinien twierdzić, że już nie zabija, czy odwrotnie?

– Ja już nie zabijam – usłyszał własny głos. – Albo może zabijam. Wszyscy, którzy są na mojej liście nienawiści, powinni mieć się na baczności.

Lista nienawiści? – powtórzył w duchu zdziwiony. Co to jest? Czy dziennikarz przypadkiem nie zada zaraz pytania, kto...

– Lista nienawiści? – odezwał się reporter. – Kto na niej jest?

Psiamać! Kręciło mu się w głowie, raz szybciej, raz wolniej. Musi zebrać myśli. Jak to tam miało być? Miał wyjść na... narwanego i niebezpiecznego. I co jeszcze?

Pastor i recepcjonista nie wznosili modłów do wyższych mocy, żeby ich morderca się pozbierał, uważali bowiem, że mają zbyt kiepskie relacje z odnośnymi mocami. Po prostu stali, przyglądali się i nie tracili nadziei. Nie tracili nadziei, że Anders Morderca jakimś cudem spadnie na cztery łapy.

Ponad ramieniem reportera „Expressen” Anders Morderca widział przez okno neon Szwedzkiej Agencji Nieruchomości na budynku jakieś sto metrów dalej, po drugiej stronie ulicy. Po sąsiedzku znajdowała się niewielka podmiejska filia Handelsbanken. Prawie nie dało jej się dojrzeć z miejsca, na

którym siedział, mimo to wiedział, że ona tam jest, bo przecież nieraz stał na przystanku przed bankiem i palił papierosa, czekając na autobus, który miał go zawieźć ku następnemu draństwu.

Z braku wystarczających zasobów we własnej głowie Anders Morderca postanowił zainspirować się tym, co miał przed oczami. Firma pośrednictwa, bank, przystanek autobusowy, palacze...

Nigdy nie miał karabinu czy rewolweru, ale strzelać z biodra potrafił:

– Kto jest na liście? Jest pan pewny, że chce pan wiedzieć? – spytał, zniżając głos. Mówił trochę wolniej.

Dziennikarz potaknął z poważną miną.

– Nie lubię maklerów – rzekł Anders Morderca. – I bankowców. Tych, co palą. I jeżdżą tam i z powrotem, na przykład do pracy...

W ten sposób ujął wszystko, co widział i czego się domyślał za oknem.

– Jeżdżą tam i z powrotem? – Reporter zbaraniał.

– Tak, zna pan jakichś?

– Nie, to znaczy... dlaczego nienawidzi pan dojeżdżających do pracy?

Andersowi Mordercy udało się wczuć w rolę samego siebie i nie zmarnować tego, co powiedział przed chwilą. Jeszcze bardziej zniżył głos. I dodał znacznie wolniej:

– A pan ich lubi?

Reporter „Expressen” teraz wystraszył się nie na żarty. Zapewnił, że nie przepada za dojeżdżającymi komunikacją miejską i że zarówno on, jak i jego dziewczyna jeżdżą do pracy rowerem oraz że w gruncie rzeczy nie zastanawiał się szczególnie, jaki powinien mieć do nich stosunek.

– Rowerzystów też nie lubię – oznajmił Anders Morderca. – Ale ci z autobusów są gorsi. I personel szpitalny. Ogrodnicy.

Wyraźnie nabierał wiatru w żagle. Pastor doszła zatem do wniosku, że lepiej będzie mu przerwać, zanim dziennikarz i fotograf się zorientują, że on się z nich nabija, ewentualnie, że nie ma pojęcia, o czym mówi, albo jedno i drugie.

– Musicie wybaczyć, ale obawiam się, że Anders Morderca, to znaczy Johan, powinien udać się na swój popołudniowy odpoczynek w towarzystwie jednej żółtej i jednej niebieskiej tabletki. To ważne, inaczej pod wieczór może dojść do czegoś straszego – oznajmiła Johanna Kjellander.

Wywiad nie przebiegł tak, jak planowano, ale przy odrobinie szczęścia mimo wszystko przedsięwzięcie mogło się udać. Pastor tylko pluła sobie w brodę, że nie zostało wyraźnie powiedziane to, co najważniejsze, i co ćwiczyła ze dwadzieścia razy ze swoim mordercą. Samo ogłoszenie – by tak rzec.

I wtedy zdarzył się cud. Przypomniał sobie! Kiedy fotograf siedział za kierownicą służbowego samochodu, a dziennikarz jedną nogą był już w środku, Anders Morderca oznajmił:

– Wie pan, gdzie mnie znaleźć, jakby trzeba było przetrącić komuś rzepkę kolanową. Nie jestem drogi. Ale skuteczny.

Dziennikarz otworzył szeroko oczy, podziękował za informację, włożył drugą nogę do samochodu, potarł prawą dłońią swoje nienaruszone kolano, zatrzasnął drzwi i zwrócił się do fotografa:

– Jedziemy.

\* \* \*

Nagłówek na pierwszej stronie w „Expressen” następnego dnia brzmiał:

Najniebezpieczniejszy człowiek Szwecji?

ANDERS MORDERCA

W ekskluzywnym wywiadzie:

„CHCĘ ZNOWU ZABIJAĆ”

Nie był to wierny cytat, ale kiedy ktoś nie potrafi wysławić się w taki sposób, aby jego wypowiedź zrobiła wrażenie na stronie tytułowej, gazecie nie pozostaje nic innego, jak po prostu napisać to, co osoba udzielająca wywiadu miała na myśli, zamiast tego, co powiedziała. Coś takiego nazywa się



dziennikarstwem kreatywnym.

Na czterech stronach „Expressen” czytelnicy mogli się dowiedzieć, jak odrażającym człowiekiem jest Anders Morderca. I poznać wszelkie nikczemności, jakich dopuścił się w przeszłości, ale przede wszystkim przeczytać o jego domniemanych cechach psychopatycznych i o pogardzie dla wszystkich, począwszy od agentów nieruchomości oraz personelu szpitalnego... na pasażerach komunikacji miejskiej skończywszy.

„Nienawiść, jaką Anders Morderca pała do znacznej części ludzkości, zdaje się nie mieć granic. W rezultacie okazuje się, że nikt, naprawdę nikt, nie może czuć się bezpieczny. Usługi tego osobnika są bowiem na sprzedaż. Reporterowi gazety zaproponował na przykład, że za stosownym wynagrodzeniem zmiażdży komu trzeba rzepkę kolanową”.

Główny artykuł poświęcony spotkaniu odważnego dziennikarza ze wspomnianym mordercą redakcja uzupełniła rozmową z psychiatrą, który połowę swego wywodu poświęcił na podkreślanie, że może się wypowiadać jedynie w sposób ogólny, w drugiej zaś oznajmił jednoznacznie, że nie można zamknąć Andersa Mordercy, ponieważ z medycznego punktu widzenia nie jest on w sposób udokumentowany niebezpieczny dla siebie czy dla innych. Oczywiście dopuścił się przestępstw, lecz w sensie prawnym już je odpokutował. Samo *mówienie* o tym, jakich dalszych nieprawości może się dopuścić w przyszłości, to jeszcze za mało.

Z wywodu psychiatry redakcja wyciągnęła wniosek, że społeczeństwo ma związane ręce, dopóki Anders Morderca nie uderzy ponownie. A to prawdopodobnie była tylko kwestia czasu.

Na zakończenie dołączono emocjonalny felieton jednej z najbardziej znanych twarzy gazety. Zaczynał się on następująco:

„Jestem matką. Jeżdżę komunikacją miejską. Boję się”.

Po sensacji wywołanej przez „Expressen” prośby o wywiad zaczęły napływać ze wszystkich stron Szwecji, Skandynawii i Europy. Recepcjonista odpowiedział pozytywnie jedynie kilku zagranicznym dziennikom („Bild Zeitung”, „Corriere della Sera”, „The Telegraph”, „El Periódico” i „Le Monde”) i żadnym innym. Pytania nadsyłane w językach angielskim, hiszpańskim lub francuskim przechodziły przez utalentowaną lingwistycznie pastor, która nie zwracała sobie głowy powtarzaniem tego, co Anders Morderca powiedział, tylko przekazywała to, co powinien był powiedzieć. Postawienie go przed kamerą telewizyjną czy oddanie na pastwę dziennikarza, który rozumiałby, co wydobywa się z jego ust, nie wchodziło już w rachubę. Sesja, którą owo trio odbyło ze szwedzkim „Expressen”, nie mogła się więcej powtórzyć. Skazując natomiast pozostałe media skandynawskie na zapożyczanie cytatów na przykład z „Le Monde” (formułowanych przez mordercę, następnie modyfikowanych i udoskonalanych przez pastor), osiągnęli swój cel.

– Nie można ci odmówić talentu do piaru. – Johanna Kjellander skomplementowała Pera Perssona.

– Gdyby nie twoje zdolności językowe, nigdy by się nam nie udało – zrewanżował się Per Persson.

## Rozdział 8

Ten, który jako Anders Morderca stał się znany całemu społeczeństwu i połowie kontynentu, budził się codziennie około jedenastej przed południem. Ubierał się, jeżeli idąc spać, się rozebrał, i szedł na śniadanie składające się z kanapek z żółtym serem i piwa.

Następnie wracał do siebie i gdzieś bliżej trzeciej zaczynał być naprawdę głodny. Wówczas udawał się do pobliskiej knajpy na szwedzkie domowe jedzenie oraz kolejne piwa.

Oczywiście jeśli nie był to dzień pracy, a te po publikacjach w mediach zdarzały się coraz częściej. Przedsięwzięcie, które prowadził razem z recepcjonistą i pastorem, nie mogłoby rozwijać się lepiej. Robota była w poniedziałki, środy i piątki; na więcej Anders Morderca nie miał ochoty. Tak naprawdę to w ogóle nie chciało mu się pracować, zwłaszcza że liczba zmiażdżonych rzepek przekroczyła wszelkie oczekiwania. Akurat taką usługę zdarzyło mu się zaproponować w gazecie, a większości klientów zamawiających różne ciężkie uszkodzenia ciała chyba brakowało fantazji, by wymyślić coś własnego.

Morderca starał się wykonywać zlecenia bezpośrednio po domowym jedzeniu, a przed porządnym ożłopaniem się pod wieczór. Razem z jazdą taksówką tam i z powrotem zazwyczaj udawało mu się uporać ze wszystkim w ciągu godziny. Ważne było zachowanie odpowiedniego poziomu podgazowania. Jeżeli wypił za dużo piw przed robotą, sprawy wymykały się spod kontroli. Kilka piw więcej groziło niebezpieczeństwem, że sprawy wymkną się spod kontroli w jeszcze bardziej dramatyczny sposób. Jednak nie tak dramatycznie, jak by się mogło wydarzyć, gdyby dodał do menu wódkę i prochy. Zero wódki i prochów – tak brzmiała mantra pięćdziesięciosześcioletka. Wizja osiemnastu miesięcy odsiadki była jeszcze do zniesienia. Ale nie kolejnych osiemnastu lat.

Czas między śniadaniem o jedenastej a lunchem o trzeciej był najlepszy, jeśli pastor albo recepcjonista mieli coś do przekazania swojemu partnerowi. Do tej pory bowiem Anders Morderca zwykle zdążał już się uporać z uciążliwym kacem, a stan wskazujący na bieżące spożycie jeszcze nie przekroczył dopuszczalnej normy.

Do spotkań mogło dochodzić spontanicznie, ale nadal obowiązywał też stały termin, czyli poniedziałki, godzina jedenasta trzydzieści, w niewielkim holu hotelowym, w kącie ze stołem i trzema krzesłami. Anders Morderca pojawiał się przynajmniej na tych poniedziałkowych posiedzeniach, chyba że poprzedniej nocy zasnął w jakimś obcym miejscu w mieście i nie zdążył dojść do siebie na czas.

Przebieg spotkań był niezmienny. Recepcjonista serwował Andersowi Mordercy piwo, a sobie i pastor przygotowywał po filiżance kawy. Potem następowała rozmowa na temat ostatnio zrealizowanych zamówień, przyszłych aktywności, sytuacji ekonomicznej i tym podobne.

Jedyny istotny kłopot w ich działalności polegał na tym, że morderca, mimo przeróżnych dobrych rad, zbyt rzadko rozróżniał stronę prawą od lewej w odniesieniu do przetrącanych kończyn. Pastor podsuwała mu wciąż nowe wskazówki, na przykład taką, że prawa ręka to ta, którą się podaje na powitanie. Morderca odpowiadał na to, że nie ma raczej w zwyczaju podawać ręki. Bo jeśli atmosfera jest dobra, to woli stuknąć się kuflem, a jeśli jest zła, wtedy obie ręce ma zajęte.

Wówczas pastor wpadła na pomysł, że mogliby narysować duże L na lewej pięści Andersa Mordercy, i dzięki temu problem byłby chyba w końcu rozwiązany. Morderca pokiwiał głową z aprobatą, uważał jednak, że dla pewności przydałoby się jeszcze P na drugiej ręce.

Pomysł okazał się z jednej strony świetny, a z drugiej – głupi. Bo to, co dla Andersa Mordercy jest L, dla tego, kto miał pecha stać naprzeciwko niego, było P. Dlatego nie działało się dobrze,

dopóki lewa pięść mordercy nie została oznaczona literą P i odwrotnie.

Recepcjonista z zadowoleniem konstatował, że krąg klientów się poszerza, że zażalenia od zleceniodawców niemal ustały, gdy lewa i prawa pięść zamieniły się miejscami, oraz że zamówienia przychodziły również z Niemiec, Francji, Hiszpanii i Anglii. Ale nie z Włoch, gdzie najwidoczniej dawano sobie radę na własną rękę.

Nasuwało się pytanie, czy należy rozbudować firmę i czy nie nadeszła pora na zatrudnienie nowych pracowników. Czy Anders Morderca nie miałby przypadkiem odpowiedniego kandydata, takiego, który potrafiłby łamać nogi i ręce, ale znałby granice? Oczywiście przy założeniu, że on sam obstaje przy swojej decyzji, by nie pracować więcej niż jedna czy dwie godziny trzy razy w tygodniu.

Anders Morderca od razu dostrzegł krytyczny podtekst tej wypowiedzi i odrzekł, że on, prawdopodobnie w przeciwieństwie do recepcjonisty i pastora, nie jest zainteresowany uzbieraniem góry pieniędzy i że ma dość rozumu, by docenić także wartość sensownie spędzanego czasu wolnego. Praca trzy razy w tygodniu zupełnie mu wystarcza i stanowczo nie chce, żeby jakiś gówniarz chodził i wymachiwał rękami, i ośmieszał jego imię, podczas gdy on sam będzie odpoczywał.

A co się tyczy wszystkich tych krajów, które przed chwilą wymienili, ma do powiedzenia tylko jedno: Nigdy w życiu! Anders Morderca nie jest źle nastawiony do cudzoziemców, nic z tych rzeczy, uważa, że wszyscy ludzie mają taką samą wartość, ale zależy mu na tym, żeby móc powiedzieć cześć czy dzień dobry i jakoś przedstawić się temu, którego za chwilę będzie musiał unieszkodliwić. To chyba jest minimum, jakiego można oczekiwać od bliźniego.

– To się nazywa szacunek – powiedział Anders Morderca ostro. – Ale wy pewnie nie słyszeliście o czymś takim?

Recepcjonista nie skomentował stanowiska mordercy

w kwestii miary szacunku sprowadzającej się do wymiany uprzejmych formułek z człowiekiem, który kilka sekund później będzie w połowie martwy. Zamiast tego odpowiedział ironicznie, że domyśla się, iż Anders Morderca nie zbiera góry pieniędzy. Bo właśnie wczoraj wieczorem w jego ulubionej knajpie wyleciała przez okno szafa grająca, tylko dlatego, że grała złą muzykę.

– Ile kosztował ten sensownie spędzony czas wolny? Dwadzieścia pięć tysięcy? Trzydzieści? – spytał Per Persson, czując pewną satysfakcję, że odważył się to powiedzieć.

Anders Morderca wymamrotał, że trzydzieści jest bliższe prawdy i że to nie była najrozsądniejsza rzecz, jaką zrobił w życiu.

– Ale co to za ludzie, co wpychają kasę do maszyny, żeby posłuchać Julio Iglesiasa?

## Rozdział 9

Per Persson uważał, że został okpiony przez życie. Uznawał to za niekwestionowaną prawdę. Ponieważ nie wierzył w żadną siłę wyższą, a także dlatego, że jego dziadek nie żył od dawna, nie mógł skierować swojej frustracji przeciwko nikomu ani niczemu konkretnemu. Toteż stojąc za ladą w recepcji, już za młodu postanowił nie znosić całego świata, wszystkiego, co się nań składa, włącznie z siedmioma miliardami jego mieszkańców. Nie widział żadnego bezpośredniego powodu, by wyłączyć z tego Johannę Kjellander, pastor, która rozpoczęła ich znajomość od próby wyłudzenia od niego pieniędzy. Ale w jej smutnym losie było coś, co przypominało jego dramat. Zanim więc ich pierwszy wspólny dzień dobiegł końca, zdążyli podzielić się ze sobą chlebem (a ściślej, pastor zjadła wszystkie kanapki recepcjonisty) oraz stali się współnikami w utrzymywaniu bandziora.

Podskórne pokrewieństwo między nimi istniało od pierwszego dnia, chociaż recepcjonista nie potrafił dostrzec tego tak szybko jak pastor. Może potrzebował więcej czasu.

Po mniej więcej roku działalności pastor i recepcjonista zarobili wspólnie około siedmiuset tysięcy koron, podczas gdy morderca czterokrotnie więcej. Chociaż pierwsi z wymienionych nie odmawiali sobie teraz niczego i jadali oraz pili do syta w przerwach w pracy, to jednak została im jeszcze połowa sumy, skrzętnie ukryta w dwóch pudełkach po butach w recepcyjnym pokoiku.

Nieco kanciastego i pozbawionego fantazji Pera Perssona uzupełniała brawurowa i kreatywna Johanna Kjellander. I vice versa. Ona ceniła jego zdystansowane podejście do rzeczywistości, które w dużej mierze podzielała. On z kolei,

choć nie kochał nikogo włącznie z sobą samym, nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że istnieje jeszcze na matce Ziemi ktoś, kto rozumie, że reszta ludzkości jest nic niewarta.

Po wyprawie na Södermalm, gdzie oboje świętowali otrzymanie zaliczki z racji ich setnej umowy (nawiasem mówiąc, był to wyjątkowo lukratywny kontrakt obejmujący złamanie obu nóg i obu rąk oraz przetrącenie dowolnej liczby żeber i przefasonowanie twarzy), zgrany duet wrócił do hotelu. Nastrój był tego rodzaju, że Per Persson ośmielił się spytać, czy Johanna pamięta, że kilka miesięcy temu wystąpiła z propozycją, aby zakończyli wieczór w jego pokoiku.

Pastor pamiętała zarówno to, jak i odmowną odpowiedź recepcjonisty.

– Czy byłoby możliwe, abyś zadała to pytanie jeszcze raz, tu i teraz?

Johanna Kjellander uśmiechnęła się, po czym spytała z kolei, czy możliwe jest uzyskanie odpowiedzi na próbę. Żadna kobieta nie chciałaby usłyszeć nie dwa razy z rzędu.

– Nie – powiedział Per Persson.

– To znaczy? – dociekała Johanna Kjellander.

– Nie usłyszysz odmowy, jeśli spytasz jeszcze raz.

Sesja na materacu dwojga chyba najbardziej zgorzkniałych ludzi w kraju okazała się po prostu uroczą. Już po wszystkim pastor wygłosiła krótkie i po raz pierwszy szczere kazanie na temat wiary, nadziei i miłości, wspominając, że według apostoła Pawła spośród tych trzech rzeczy najważniejsza jest miłość.

– Wygląda na to, że wiedział, co mówi – rzekł recepcjonista, kompletnie oszołomiony tym, że można czuć to, co on czuje, cokolwiek to jest.

– Hm – mruknęła pastor i po chwili rzekła: – Paweł wyprodukował także całkiem sporo głupot. Na przykład, że kobieta została stworzona dla mężczyzny, że powinna milczeć, kiedy nikt nie prosi jej o zabranie głosu, i że mężczyźni nie powinni współżyć z mężczyznami.

Recepcjonista pominął kwestię, kto jest stworzony dla kogo, za to powiedział, że przypomina sobie tylko jeden przypadek,



najwyżej dwa, kiedy pastor zrobiła najlepiej, milcząc, zamiast mówić. Co się zaś tyczy tego, kto z kim ma współżyć, on zdecydowanie przedkłada pastor kobietę nad znanego im obojgu mordercę mężczyznę, nie potrafi jednak zrozumieć, co ma z tym wspólnego Paweł.

– Jeśli o mnie chodzi, wolałabym kochać się ze stojakiem na rowery niż z Andersem Mordercą – przyznała pastor. – Co do reszty zgadzam się z tobą.

Kiedy recepcjonista spytał, co mówi Biblia na temat seksualnej relacji między kobietą a stojakiem na rowery, Johanna zwróciła uwagę, że w czasach świętego Pawła rower nie został jeszcze wynaleziony, a więc prawdopodobnie tym bardziej stojak. W tej sytuacji żadne z nich nie miało już nic do dodania. Zaczęli zatem kolejną sesję.

\* \* \*

Przez pewien czas rzeczywiście wszystko zmierzało we właściwym kierunku. Pastor i recepcjonista radośnie i szczęśliwie dzielili ze sobą wrodzoną awersję do świata, obejmującą wszystkich ludzi zamieszkujących Ziemię. Brzemie stało się o połowę lżejsze, ponieważ dzięki temu każde z nich dźwigało na barkach tylko trzy i pół miliarda ludzi zamiast siedmiu. Plus (zapewne) poważną liczbę już nieżyjących osobników. Wśród nich: dziadka recepcjonisty, gałąź rodzinną Johanny i – oczywiście! – Mateusza, Marka, Łukasza, Jana oraz całą resztę, niezależnie od tego, jak się nazywali w książce, która prześladowała (niezmiennie) Johannę Kjellander.

W okresie, gdy świeżo zakochani zarobili siedemset tysięcy koron, Anders Morderca, zgodnie z umową, otrzymał dwa przecinek osiem miliona. Ponieważ jednak dzięki swoim zamówieniom potrafił sam przez pół nocy utrzymać całą knajpę, nigdy nie miał więcej oszczędności niż parę nędznych tysięcy. Rozpuszczał pieniądze mniej więcej w takim samym tempie, w jakim je inkasował. A jeżeli raz czy drugi się zdarzyło, że ich stosik był wart uwagi, wtedy w knajpie robiło

się wyjątkowo żywo, podobnie jak kiedyś, gdy szafa grająca wylądowała za oknem.

Następnego dnia właściciel lokalu nieco nieśmiało zapytał swego speszonego stałego gościa:

- Nie mogłeś po prostu wyciągnąć wtyczki z kontaktu?
- Fakt – przyznał Anders Morderca. To była sensowna alternatywa.

Incydenty tego rodzaju w gruncie rzeczy całkiem odpowiadały recepcjoniście i pastor, bo dopóki Anders Morderca nie robił tego co oni, a mianowicie nie wypełniał kartonów po butach pieniędzmi, zawsze będzie miał potrzebę wymierzania sprawiedliwości na zlecenie tych, których stać było na zaprowadzanie jej w sposób zdefiniowany przez nich samych.

Lecz recepcjonista i pastor nie mieli świadomości, że w ciągu ostatniego roku w Andersie Mordercy narastało poczucie beznadziejności ludzkiej egzystencji. Nawiasem mówiąc, on sam też o tym nie wiedział, ponieważ przez całe życie porozumiewał się z innymi za pomocą pięści, a rozmowa tego typu z samym sobą nie była łatwa. Dlatego zaczął szukać ucieczki w alkoholu coraz wcześniej w ciągu dnia i z jeszcze większym zapamiętaniem niż dawniej.

I to pomagało. Ale rodziło konieczność ciągłego uzupełniania. Na dodatek sytuacji nie poprawiał fakt, że pastor i recepcjonista zaczęli być jak papużki nierozłączki i wciąż byli uśmiechnięci. Co ich, psiamać, tak cieszy? Że to tylko kwestia czasu, kiedy wróci tam, gdzie jego miejsce?

A może by tak skrócić swoją mękę, przyspieszyć proces, zatłuc pierwszego lepszego bęcwała i przenieść się do paki na dwadzieścia, trzydzieści lat, chociaż właśnie tego do tej pory starał się uniknąć. Takie rozwiązanie miałoby jednak tę zaletę, że pastor i recepcjonista już pewnie by się tak nie szczerzyli, kiedy on wyszedłby z odsiadki. Świeżo zakochani rzadko zachowują świeżość dwa dziesięciolecia później.

Zdarzyło się pewnego przedpołudnia, że w ramach nieoczekiwanej i nieporadnej próby zrozumienia Anders Morderca zadał sobie pytanie, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. Do czego na przykład zmierzała historia z grającą szafą.

Jasne, że mógł wyciągnąć wtyczkę. Wtedy Julio Iglesias by zamilkł, za to zaczęłyby się piekić wielbiciele Hiszpana. Czterech facetów i cztery kobiety przy jednym stole; w najlepszym razie wystarczyłoby przysolić najbardziej zajadłemu z facetów, w najgorszym musiałby unieszkodliwić całą ósemkę. Przy drobnym pechu jeden z nich już by się nie podniósł, a wtedy Andersa Mordercę czekałoby dwadzieścia nowych lat w pace, plus minus dziesięć.

Inne wyjście to pozwolić temu bufonowatemu towarzystwu wybierać muzykę, jaką chcieli. Ale może teraz dla nikogo nie ulega już wątpliwości, że granicę stanowi Julio Iglesias?

Podniesienie szafy grającej i ciśnięcie jej przez okno (wskutek czego wieczór skończył się i dla niego, i dla wszystkich pozostałych) dla Andersa Mordercy było sposobem na to, by jego destrukcyjne ja mogło zapanować nad potwornie destrukcyjnym ja. I udało się. Sporo to kosztowało, ale – co najważniejsze – dzięki temu obudził się we własnym łóżku, a nie w policyjnym areszcie przed transportem do miejsca bardziej stałego.

Szafa grająca uratowała mu życie. Albo on uratował je sam, mając za broń szafę grającą. Czy to znaczy, że droga z powrotem do więzienia nie jest wcale taka nieuchronna, jak zaczynał mu mówić głos wewnętrzny? A może istnieje życie bez przemocy i w związku z tym bez latających szaf grających?

Gdzie w takim razie je znaleźć i dokąd takie życie prowadzi?

Myślał. Otworzył pierwsze piwo tego dnia. I zaraz drugie. I zapomniał, o czym myślał, ale węzeł w żołądku zniknął, więc trzeba za to wypić!

Piwo to woda życia. A trzecie z kolei prawie zawsze było najlepsze.

Holahop!

Pomyślał za to.

## Rozdział 10

Nadarzyła się w końcu okazja, aby zespół rozliczył się z hrabią. Ofiarą był tym razem klient, który wziął na próbną jazdę lexusa RX 450h na weekend, i pech chciał, że mu go skradziono.

Tak mówił.

W rzeczywistości ukrył auto u swojej siostry w Dalarnie, która zamiast się najpierw zastanowić, od razu zrobiła sobie zdjęcie za kierownicą i wrzuciła je na Facebooka. Ponieważ świat jest mały i wszyscy się znają, nie minęło wiele godzin, a informacja ta dotarła do hrabiego. Zanim nieuczciwy klient zdążył się zorientować, że został zdemaskowany, miał przemeblowaną twarz i wybite wszystkie posiadane jeszcze zęby. Ze względu na wiek samochodu i potencjalną cenę (innymi słowy: auto było nowe i drogie) ucierpiała także rzepka i jedna z kości piszczelowych.

Była to robota rutynowa, jedna z wielu, ale zgodnie z umową sprzed dziewiętnastu miesięcy w cenę wchodziły także dwie złamane ręce gościa, który marnie grał w blackjacka i któremu w połowie się upiekło dzięki niemowlęciu.

Również to zlecenie Anders Morderca wykonał z największą precyzją (z dwiema rękami było zawsze łatwiej niż z jedną, bo nie musiał wybierać właściwej). I na tym rzecz by się skończyła, gdyby nie przypomniały mu się miłe słowa, które pastor powiedziała za pierwszym razem, kiedy się spotkali. Zdaje się, że bąknęła coś, jaki z niego szlachetny człowiek, że oszczędził małe dziecko.

Pastor odsyłała do Biblii przy każdej okazji. A może w tej książce jest więcej podobnych rzeczy, przecież gruba jest jak cholera. Opowieści, które sprawiają, że... zaczniesz się czuć lepiej? Stanie się kimś innym? Od czasu do czasu krążyło mu po głowie coś takiego, ale dotychczas zawsze starał się to zapisać.

Jutro porozmawia z pastorem, niech mu opowie. Jutro, nie dzisiaj. Najpierw knajpa. Dochodziło już wpół do piątej.

A może?

A jakby tak wstąpić po drodze do recepcji? I najpierw zażądać, żeby wyjaśniła mu to i owo o tym i owym. I dopiero potem zalać tego wiecznego robaka, który zżerał mu wnętrze. Poza tym to przecież pastor będzie mówić, on nie musi się wiele odzywać, wystarczy, że będzie słuchał. Czyli spokojnie dałoby się jednocześnie pić.

\* \* \*

- Posłuchaj no, pastorzyco, muszę z tobą pogadać.
- Co tam? Chcesz pożyczyć pieniędzy?
- Nie.
- Skończyło się piwo w lodówce?
- Nie, właśnie sprawdziłem.
- No to czego chcesz?
- Powiedziałem: pogadać.
- A o czym?
- Jak to jest z tym Bogiem, Jezusem, Biblią i w ogóle.
- Co takiego? – zdziwiła się pastor. Jakby już przeczuwała, że nadciąga nieszczęście.

I tak zaczęła się pierwsza rozmowa teologiczna między pastorem a mordercą. Na wstępie Anders Morderca powiedział, że domyśla się, że ona wie prawie wszystko o sprawach religii, ale może wytłumaczyłaby mu od samego początku.

– Od początku? Aha. No więc powiada się, że na początku Bóg stworzył niebo i ziemię i że było to jakieś sześć tysięcy lat temu, ale są tacy, którzy uważają, że...

– Nie, do cholery, nie od tego początku. Jak to zaczęło się dla ciebie?

Pastor była mile zaskoczona, zamiast zachować czujność. Ona i recepcjonista już jakiś czas temu przyjęli zgodnie, że będą

żyć pogardę dla wszystkiego i wszystkich razem i z osobna, ale nigdy tak naprawdę nie opowiedzieli sobie swoich historii, tak szczegółowo. Gdy nadarzała się okazja, oddawali się przede wszystkim błogim rzeczom, a nie analizowaniu goryczy i jej powodów.

Tymczasem – jak się okazuje – Anders Morderca chodził i deliberował po swojemu. To była potencjalna katastrofa, bo jeśli on teraz zacznie czytać książki i nadstawiać drugi policzek, podczas gdy jego zadanie polega na miażdżeniu kości szczęki i nosa w poniedziałki, środy i piątki... no właśnie, co zostanie wtedy z całej koncepcji biznesu?

Być może postronny obserwator uznałby, że pastor powinna była pojąć to od pierwszej sekundy i od razu zaalarmować swojego recepcjonistę. Nie znalazł się jednak na miejscu żaden postronny obserwator, a pastor była tylko człowiekiem (oraz dosyć wątpliwym pośrednikiem między ludźmi a Bogiem). Jeżeli ktoś chciał posłuchać o jej życiu, nawet gdy tym kimś był na wpół nieobliczalny zabijaka i morderca – nie mogła mu odmówić. No nie mogła.

Zaprosiła zatem Andersa Mordercę na opowieść o sobie, opowieść, którą do tej pory słyszała jedynie jej poduszka i nikt poza tym. Zdawała sobie sprawę, że od mordercy doczeka się takiego samego intelektualnego rezonansu jak od poduszki z Ikei, wszystko to jednak przesłaniała radość, że jest ktoś, kto chce jej wysłuchać.

– No więc tak, na początku mój tata urządził mi piekło na Ziemi – rozpoczęła.

Została przymuszona do tej, a nie innej profesji przez swego ojca, oczywiściego przeciwnika kobiet w roli pastora. Był nim nie dlatego, że to zaprzeczało woli Pana Boga – ta kwestia podlegała dyskusji – ale z powodu przekonania, że miejsce kobiety jest w kuchni, a od czasu do czasu, na życzenie małżonka, także w alkowie.

Jaki zatem miał zamiar Gustav Kjellander? W rodzie Kjellanderów profesja pastora przechodziła z ojca na syna od kilku stuleci. Lecz nie miało to nic wspólnego z wiarą czy powołaniem. Najważniejsze było podtrzymanie tradycji

i umocnienie statusu. Dlatego argument córki, która otwarcie przyznała, że wątpi w istnienie Boga, nic nie zmienił. Zgodnie z wolą ojca Johanna musi zostać pastorem – w przeciwnym razie on osobiście się postara, żeby diabli ją wzięli.

Johanna Kjellander zastanawiała się przez wiele lat, jak to możliwe, że zrobiła to, co jej kazał. Wciąż tego nie rozumie, ale jak daleko sięga pamięcią, ojciec zawsze miał nad nią władzę. Pierwsze, co pamięta z dzieciństwa, to groźba, że będzie musiała zabić swojego królika. Jeżeli nie będzie chodzić spać o odpowiedniej porze, jeśli nie będzie po sobie sprzątać, jeśli nie będzie osiągać dobrych wyników w szkole... Stracenie królika miało być wyrazem miłosierdzia, bo zwierzę potrzebuje odpowiedzialnego właściciela, dającego dobry przykład, a nie kogoś takiego jak ona.

Pamiętała też posiłki: jak tata przechylał się nad stołem, chwycił jej talerz, wstawał, szedł do wiadra na śmieci – i wyrzucał jej obiad razem z talerzem i całą resztą. Bo siedziała nie tak jak trzeba przy stole. Nieuważnie słuchała. Źle się zachowywała. Albo po prostu była do niczego.

Johanna Kjellander zadała sobie teraz w duchu pytanie, ile mogło być tych talerzy w ciągu roku. Pięćdziesiąt?

Anders Morderca słuchał w skupieniu, bo nigdy nie wiadomo, kiedy padnie coś, co warto by sobie przyswoić. Opowiadanie o jej ojcu nie należało jednak do takich rzeczy; dla niego od razu stało się jasne, że dziadowi należał się solidny łomot i potem pewnie wszystko by się poprawiło. Jeśli nie, to w razie potrzeby dostałby jeszcze raz.

W końcu Anders Morderca musiał powiedzieć to na głos, żeby przerwać uzalanie się pastor. Gadała już całą wieczność, a dotarła dopiero do swoich siedemnastych urodzin, kiedy ojciec splunął na nią i rzekł: „Panie Boże, jak bardzo musisz mnie nienawidzić, skoro dałeś mi córkę, skoro dałeś mi tę córkę. Zaprawdę ukarałeś mnie dotkliwie, Panie”. Tata raczej nie wierzył w Boga bardziej niż ona, ale wierzył w metodę, która polegała na dręczeniu innych za pomocą Boga.

– Milutki z niego pastor, nie ma co. Może dałabyś mi jego adres, tobym tam pojechał z bejsbolem i przemówił mu do

rozumu. Nauczyłbym go przyzwoitości. To co, i prawą, i lewą? Nogi czy ręce? – Niech sama wybierze.

– Dziękuję za ofertę – odparła pastor – ale już za późno. Tata zmarł prawie dwa lata temu, w czwartą niedzielę po uroczystości Trójcy Świętej. Kiedy dotarła do mnie ta wiadomość, wchodziłam właśnie na ambonę, aby głosić wybaczenie, a nie osądzać. Lecz stało się inaczej. Stałam tam i podziękowałam szatanowi, że zabrał mojego ojca. Można powiedzieć, że nie zostało to dobrze odebrane, nie pamiętam wszystkiego, ale chyba mówiąc o nim, użyłam określenia odpowiadającego żeńskiemu organowi płciowemu...

– Pizda?

– Nie zagłębiajmy się w detale. Tak czy owak przerwano mi, ściągnięto mnie z ambony i pokazano, gdzie są drzwi. Chociaż oczywiście sama wiedziałam.

Anders Morderca był naprawdę bardzo ciekaw, co to mógł być za wyraz, musiał jednak zadowolić się informacją, że słownictwo użyte przez pastor wywołało takie wzburzenie, że dwie z najpobożniejszych owieczek zboru cisnęły za nią śpiewnikami.

– To musiało być...

– Spokojnie! – rzekła pastor i kontynuowała: – Odeszłam stamtąd i błąkałam się bez celu aż do Niedzieli Palmowej, kiedy to na ławce w parku poznałam naszego wspólnego przyjaciela Pera Perssona. A potem spotkałam ciebie. I tak oto teraz siedzimy tu razem.

– No tak, faktycznie – zgodził się Anders Morderca. – A czy możemy wreszcie przejść do tego, co Biblia mówi o różnych rzeczach i sprawach, żeby ta rozmowa jakoś posuwała się do przodu?

– Ale to przecież ty chciałeś... chciałeś, żebym opowiedziała o swoim...

– No tak, tak, ale nie od razu całą powieść.



## Rozdział 11

Nieprzeparła potrzeba podzielenia się z kimś – kimkolwiek! – najważniejszymi przeżyciami z okresu swojego dorastania skłoniła Johannę Kjellander do tego, aby zwrócić uwagę Andersowi Mordercy, że to on przyszedł do niej i teraz niech się dostosuje. Mówiąc krótko: niech siedzi cicho, dopóki ona nie skończy.

Anders Morderca nie należał do ludzi, którzy dawaliby sobą dyrygować, ale że pastor postawiła przed nim butelkę pilznera, mimo wszystko pozwolił jej kontynuować.

- Dziękuję – bąknął.
- Cicho, powiedziałam!

Johanna była maltretowana już od pierwszego dnia swego życia na wszelkie możliwe sposoby poza fizycznym. Ważyła trzy kilogramy i sto czterdzieści gramów, gdy ojciec pierwszy i ostatni raz dotknął swojej córki. Wziął ją na ręce, trzymał mocniej, niż to było konieczne, uniósł wyżej i syknął jej do ucha:

- Skąd ty się tu wzięłaś? Nie chcę cię. Słyszysz? Nie chcę cię.
- Gustav, jak możesz? – wtrąciła wycieńczona matka Johannny.

– Co mogę, a czego nie, to moja sprawa i nikomu nic do tego, rozumiesz? Już nigdy się do mnie nie zbliżaj – rzekł Gustav Kjellander do swej żony, po czym odłożył niemowlę.

Zona zrozumiała i posłuchała. W ciągu następnych szesnastu lat nigdy nie zbliżyła się do męża. Za to kiedy nie mogła już dać sobie rady, weszła do morza.

Gdy dwa dni później ciało zaginionej żony wypłynęło na brzeg, Gustav wpadł w furję. Jak wspomniano, nigdy nie używał przemocy, ale Johanna widziała po jego twarzy, że

w tamtym momencie byłby w stanie zakatować matkę, gdyby nie była już martwa.

– Zaraz będę musiał się wysrać – przerwał Anders Morderca.  
– Długo jeszcze?

– Już ci mówiłam, że masz trzymać gębę na kłódkę, kiedy opowiadam – rzuciła pastor. – Z tyłkiem masz zrobić to samo, jak już nie dasz rady wytrzymać, ale nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie skończę.

Anders Morderca nigdy nie widział jej tak stanowczej. Szczerze mówiąc, nie spieszyło mu się jeszcze tak bardzo do kibla, tylko był już umęczony. Westchnął więc ciężko i słuchał dalej.

Trzy lata po śmierci mamy Johanna opuściła dom, aby pójść na studia wyższe. Za pośrednictwem listów i rozmów telefonicznych ojciec nadal sprawował nad nią władzę.

Pastorem nie zostaje się ot tak. Johanna musiała uzyskać mnóstwo akademickich zaliczeń: z teologii, egzegetyki, hermeneutyki, pedagogiki religii i innych dyscyplin, aby dopuszczono ją do końcowego egzaminu w instytucie pastoralnym w Uppsali.

Im córka była bliżej urzeczywistnienia pragnienia ojca, tym on stawał się bardziej zirytowany sytuacją. Przecież Johanna była i zawsze pozostanie kobietą, czyli w gruncie rzeczy nie jest godna, by kontynuować rodzinną tradycję. Gustav Kjellander czuł się rozdarty między zadośćuczynieniem wymogowi kilkusetletniego dziedzictwa a zdradą wobec przodków, ponieważ miał córkę, a nie syna. Współczuł sam sobie, jednocześnie nienawidząc na równi Boga i córki, świadom tego, że Bóg (o ile istniał) i córka (o ile się odważyła) żywili do niego równie głęboką nienawiść.

Jedyny bunt, na jaki Johanna się zdobyła, nie był nawet wart tej nazwy. Cały swój intelektualny potencjał skupiła na tym, by gardzić Bogiem, nie wierzyć w Jezusa i zdemaskować wszystkie historie z Biblii. Deprecjonując czystą ewangelicką, protestancką naukę, pomniejszała zarazem znaczenie swojego ojca. Nie przyznając się nikomu, że jest aktywną niewierzącą, mogła wszakże pewnego deszczowego czerwcowego dnia

otrzymać święcenia. Zresztą dzień był nie tylko deszczowy, ale i wietrzny, prawie sztormowy. Temperatura wynosiła cztery stopnie – w czerwcu! Może nawet trochę padał grad?

Johanna obruszyła się w duchu. Jeżeli taka pogoda w dzień święceń na pastora była formą protestu Boga przeciwko wyborowi profesji, którego dokonała, to nie na wiele go stać.

Gdy deszcz i grad ustały, spakowała walizkę i wróciła w rodzinne strony, do Sörmlandu. Najpierw do zboru oddalonego o rzut kamieniem od ojca, ale też znajdującego się pod jego zarządem. Cztery lata później przejęła zgodnie z planem obowiązki proboszcza w zborze od wieków podlegającym Kjellanderom. Tata przeszedł na emeryturę i choć zamierzał nadal czuwać nad wszystkim, dostał raka żołądka, który – kto by pomyślał – jednak go zwyciężył! To, czego nie udało się przez całe życie dokonać Bogu (o ile w ogóle próbował), załatwił za niego rak w ciągu zaledwie trzech miesięcy. Spontanicznie i bez owijania w bawełnę córka prosto z ambony odesłała ojca do piekieł. A gdy na dodatek użyła nazwy żeńskiego organu płciowego, by opisać mężczyznę, który przez trzydzieści trzy lata stanowił uosobienie zboru, przebrała miarkę.

– Nie możesz w końcu jasno powiedzieć, czy to była pizda, czy nie? – odezwał się Anders Morderca.

Pastor obrzuciła go spojrzeniem, które mówiło: Czy nie kazałam ci trzymać gęby na kłódkę?

Eksperyment z kobietą jako proboszczem zboru dobiegł końca. Ojciec nie żył, córka była wolna. I bezrobotna. A po tygodniu wałęsania się po okolicy także brudna i głodna.

Ale o cztery kanapki z szynką i jedną butelkę soku malinowego później miała już dach nad głową i nowe zajęcie. Praca agentki opłacała się całkiem nieźle od samego początku, a potem przez dwa lata jeszcze lepiej. I na dodatek Johanna spotkała na swojej drodze miłość! Mówiąc krótko, większość spraw układała się znośnie. Gdyby tylko morderca naprzeciwko niej nie domagał się, żeby porozmawiali o Biblii.

– No właśnie, Biblia – wtrącił Anders Morderca. – Jak już przestaniesz biadolić, to może przejdziemy do rzeczy?

Pastor poczuła się urażona brakiem zainteresowania jej opowieścią i losem. I tym, że wbrew regułom w ogóle się odezwał.

- Chcesz jeszcze jedno piwo? – spytała.
- No pewnie, wreszcie!
- To nie dostaniesz.

## Rozdział 12

Jednym z głównych argumentów aktywnego ateizmu świeżo upieczonej absolwentki teologii Johanny Kjellander był fakt, że cztery Ewangelie bezspornie zostały napisane długo po śmierci Jezusa. Jeżeli istniał człowiek, który umiał chodzić po wodzie, który stwarzał jedzenie z niczego, sprawiał, że paralitycy wstawali i szli, który uwalniał opętanych i zmuszał złe duchy, by weszły w świnie, i który nawet zmartwychwstał i wędrował dalej, chociaż przez trzy doby nie żył – jeżeli istniał taki mężczyzna (ewentualnie kobieta), to dlaczego trzeba było jednego, dwóch albo więcej pokoleń, zanim ktoś pomyślał o tym, aby spisać wszystko, czym on się zajmował?

– A skąd niby mam to wiedzieć? – rzucił Anders Morderca. – On naprawdę umiał tak zrobić, żeby paralitycy chodzili? Opowiedz więcej!

Pastor zauważyła, że do mordercy bardziej przemawiają cuda niż wątpliwości, ale się nie poddała. Objasniała dalej, że dwóch z czterech ewangelistów podczas pisania korzystało z pism trzeciego. Nic więc dziwnego, że wszystkie świadectwa są takie podobne. Ale ostatni, Jan, wymyślił całą masę nowych rzeczy mniej więcej sto lat po ukrzyżowaniu Jezusa. Nagle zaczęto twierdzić, że Jezus jest drogą, prawdą i życiem, że jest światłem świata i chlebem życia, i wszystkim pomiędzy.

– Drogą, prawdą i życiem – powtórzył Anders Morderca z pewną nabożnością w głosie. – I światłem świata!

Pastor tłumaczyła dalej, że fragmenty Ewangelii świętego Jana nie są napisane przez niego. Mniej więcej w czwartym wieku znalazł się ktoś, kto wymyślił nowe części, na przykład tę słynną scenę, kiedy Jezus mówi, że ten, kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Ten, kto to wymyślił, kimkolwiek był, chciał chyba powiedzieć, że nikt nie jest bez grzechu, bo nigdy nikt nie rzuciłby kamieniem, ale pytanie

polega na tym, co ta historia robi w Biblii.

– Czwarty wiek! Wyobrażasz sobie? – ciągnęła pastor. – To jeszcze gorzej, niż gdybym ja dzisiaj zasiadła do pisania i zaczęła wymyślać, jak to właściwie było w czasie rewolucji francuskiej, kto co wtedy powiedział, a potem historycy z całego świata by to czytali, kiwali głowami i ze wszystkim się zgadzali!

– Taaak – odezwał się Anders Morderca, nie słuchając niczego poza tym, co go interesowało. – Jezus ma rzecz jasną rację. No bo kto tak naprawdę jest bez grzechu?

– Ale ja chciałam przez to powiedzieć...

Anders Morderca wstał w środku jej zdania. Knajpa wzywała.

– Spotkamy się w środę o tej samej porze, okej? – rzucił.

– W środę raczej nie mogę.

– Dobra. Na razie.

## Rozdział 13

Spotkania pastor i mordercy odbywały się coraz częściej. Na początku Johanna Kjellander nie widziała powodu, aby poinformować o nich swojego recepcjonistę, a po upływie jakiegoś czasu nie zrobiła tego, bo już nie miała odwagi. Czyniła wszystko, aby sprawy nie potoczyły się w kierunku, w którym zdawały się zmierzać. Anders Morderca zaczął dawać wyraz niezadowoleniu z samego siebie, mówił, że chciałby, aby pastor i Bóg wskazali mu drogę, którą powinien podążać, by stać się lepszym człowiekiem. Kiedy Johanna Kjellander napomknęła, że nie ma na to ani czasu, ani siły, zagroził jej odmową wykonywania pracy albo pobiciem.

– Tylko trochę, żebym zaczął – dodał łagodząco. – Przecież jesteśmy kumplami. A w Biblii jest napisane...

– Dobra, już dobra.

Teraz nie pozostawało nic innego, jak wciągnąć Pana Boga w bagno, w nadziei, że ta droga skłoni Andersa Mordercę do mniej szlachetnych myśli.

Odwołując się do Księgi Hioba, pastor oznajmiła, że zasadnicze podobieństwo między Andersem Mordercą a Bogiem polega na tym, że obaj zabijają ludzi, ale że on w odróżnieniu od Boga oszczędza dzieci.

– Pewnego razu zabił naraz dziesięcioro, aby udowodnić szatanowi, że ich ojciec mimo wszystko nie straci wiary.

– Dziesięcioro dzieci? A co na to ich matka?

– Mimo że jej rola w życiu sprowadzała się do tego, żeby milczeć i słuchać, mówi się, że została upokorzona. Ale w końcu Bóg podarował wiernemu ojcu dziesięcioro nowych dzieci. Przypuszczam, że to ta krnąbrna matka je urodziła albo że przyszły pocztą. Nic nie jest napisane na ten temat.

Anders Morderca milczał przez kilka sekund. Szukał w pamięci adekwatnego modelu wyjaśniającego, nawet jeśli nie

nazywał tak tego w myślach. Pastor widziała, że nim wstrząsnęła. Czyli istniała nadzieja!

Były morderca wymamrotał najpierw, że Pan jednak podarował dziesiątkę nowych dzieci... to chyba dobrze? Na co pastor odpowiedziała, że Bóg raczej nie nadaje się do tego, żeby być wzorem do naśladowania, jeśli nie potrafił zrozumieć, że dzieci to nie opony letnie w samochodzie i nie można ich tak po prostu wymieniać na inne.

Opony letnie? W czasach Hioba? Ale Anders Morderca znalazł w tym momencie lepszą ucieczkę do przodu.

– Co to było za słowo, którego użyłaś parę dni temu, jak cię zwymyślałem, że popisujesz się trudnymi wyrazami?

Ojoj! Pastor domyślała się, do czego on zmierza.

– Nie pamiętam – skłamała.

– Powiedziałaś, że drogi pana są... niezbadane.

– Powinnam była nazwać go nieobliczalnym albo dotkniętym ciężkimi zaburzeniami osobowości, przepraszam.

– I potem mówiłaś, że mądrość Boga jest nieskończona i niepojęta dla człowieka, tak czy nie?

– Nie, to znaczy owszem, ale powiedziałam, że ludzie mają zwyczaj chować się za takimi sformułowaniami, kiedy trzeba wyjaśnić coś niewyjaśnialnego. Jak na przykład niezdolność Boga do zauważenia różnicy między dziesiątką dzieci a czterema letnimi oponami.

Anders Morderca nadal słyszał tylko to, co chciał usłyszeć. Po czym argumentował:

– Pamiętam modlitwę, której nauczyła mnie mama, jak byłem mały, no wiesz, ta wariatka z wybitymi zębami. Na samym początku nie była jeszcze taka zła, dopóki wódka nie zwyciężyła. Jak to szło? „Panie, który miłujesz dzieci swe, zawsze w opiece mnie miej...”.

– No i?

– Co „no i?”? Chyba sama słyszysz. Bóg kocha dzieci. Wszyscy jesteśmy jego dziećmi, zresztą nie dalej jak wczoraj przeczytałem coś takiego, jak siedziałem w kiblu i...

Pastor przerwała mu w połowie zdania. Nie musiała słuchać dalszego ciągu. Anders Morderca wycygał już od niej



egzemplarz Nowego Testamentu i położył go na stolku w toalecie na pierwszym piętrze. Prawdopodobnie otworzył akurat na Ewangelii świętego Jana. Niech się dzieje, co chce, lecz chyba nie pozostała jej już żadna amunicja poza teologicznym pytaniem podstawowym, czyli jak to możliwe, że świat wygląda, jak wygląda, jeżeli Bóg jest i dobry, i wszechmocny. Kontrargument był równie wyświechtany jak wszystkie pozostałe, ale może Anders Morderca nie zastanawiał się nad tym wcześniej, istnieje więc szansa, że...

Nagle jej wywód został przerwany. Anders Morderca wstał i powiedział, co powiedział.

Tym samym katastrofa stała się faktem.

– Nie zamierzam już nikogo masakrować. Ani pić. Od tej pory składam swoje życie w ręce Jezusa. Chcę zapłaty za ostatnią robotę, tę z wczoraj, i oddam pieniądze na Czerwony Krzyż. A potem, jak się to mówi, nasze drogi się rozejdą.

– Ale... nie możesz tego zrobić – zaprotestowała pastor. – Nie wolno ci...

– Nie wolno mi? Powtarzam: nie zamierzam nikogo więcej masakrować. Chociaż jestem pewny, że Jezus nie miałby nic przeciwko dwom wyjątkom: ciebie i recepcjonisty.

## Rozdział 14

Zapadł wieczór, a potem nastał ranek, a pastor prawie wcale nie spała. Kiedy słońce zaczęło przedzierać się przez żaluzje, doszła do wniosku, że nie ma innego wyboru, jak obudzić recepcjonistę i przyznać się: przez pomyłkę doprowadziła do tego, że Anders Morderca spotkał Jezusa, a Jezus z kolei doprowadził do tego, że Anders Morderca postanowił skończyć zarówno z alkoholem, jak i z masakrowaniem ludzi za opłatą.

I to w trybie natychmiastowym.

Jedynymi ludźmi na Ziemi, którym potrafiłby jeszcze przyłożyć, są od tej chwili oni dwoje. Jeżeli nie przystaną na jego żądania.

– Żądania? – zdziwił się wciąż zaspany recepcjonista.

– Jesteśmy mu winni trzydzieści dwa tysiące, a on chce je dostać, żeby dać na Czerwony Krzyż.

Recepcjonista usiadł na łóżku. Czuł, że jest autentycznie zły na kogoś, tylko nie wiedział na kogo. Dziadek, pastor, Anders Morderca i Jezus byli najbliżej pod ręką. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że to bezproduktywny gniew. Lepiej już wstać, zjeść śniadanie, stanąć w swojej parszywej recepcji i pomyśleć logicznie, co z tym fantem zrobić.

Tak więc firma przemocą wymierzająca sprawiedliwość nie miała już nikogo, kto by mógł ją wymierzać, a tym samym żadnych spodziewanych wpływów. Rewanż na dziadku dokona się sam, w sposób naturalny – o ile Anders Moderca nie zmieni punktu widzenia. Teraz najważniejsze to odciągnąć go od Boga, Jezusa i Biblii, całego tego tria, które miało na niego tak zły wpływ, i z powrotem przekonać go do alkoholu, knajp i solidnej zabawy.

Per Persson zdążył przedstawić pastor swoje przemyślenia tuż przed tym, jak były morderca pojawił się na dole – co najmniej dwie godziny wcześniej niż kiedykolwiek dotąd.

Na pewno niełatwo jest przejść z dnia na dzień od alkoholizmu do moralnego absolutyzmu. Recepcjonista czuł, że w Andersie Mordercy trwa wewnętrzna walka, chociaż Jezus nadal podtrzymywał swoje wymagania. Skłoniło to Pera Perssona do ukucia równie pospiesznego co chytrego planu. Pospieszne i chytre plany były zazwyczaj specjalnością pastor, dlatego recepcjonista poczuł się wyjątkowo dumny, gdy wkrótce się okazało, że jego pomysł wypalił.

– Rozumiem, że jak zwykle kanapka z serem, ale dla kogoś idącego w ślady Jezusa bardziej odpowiednia będzie chyba komunia, czyli spełnienie ofiary wina zamiast piwa?

Anders Morderca rozumiał sam początek zdania, ale reszty już nie. Nigdy nie widział kościoła od środka, a co to jest komunia, nie miał na szczęście bladego pojęcia.

– Domyślam się, że wystarczy pół butelki, przecież mamy dopiero przedpołudnie – rzekł Per Persson, stawiając trochę czerwonego wina obok zapakowanej w folię kanapki.

– Ale ja nie piję alkoholu.

– Wiem, wiem, że nie wchodzi w rachubę nic innego poza winem z ofiary chleba i wina. Czyli krew Jezusa. Czy mam zdjąć folię z ciała Jezusowego?

– Folię z czego?

Pastor szybko zorientowała się w planie recepcjonisty i natychmiast pospieszyła mu z pomocą.

– Jeszcze nie zdążyliśmy dojść do tego miejsca w naszym zgłębianiu Biblii. Ale widzę, że Anders Morderca podchodzi do swojej wiary poważnie i nie zamierza zaniedbywać przyjmowania ciała i krwi Jezusa. A to staje się coraz powszechniejsze w naszym zsekularyzowanym świecie.

Anders Morderca nie wiedział, co to takiego ten zsekularyzowany świat, nie pojmował związku między Jezusem a zwykłym sikaczem, ale zdawał się rozumieć, że w imię miłości Jezusa najwyraźniej może wychylić pół flaszki wina do kanapki z serem. To fantastycznie, bo coś w jego wnętrzu wprost krzyczało za łykiem jakiegoś procentowego napoju. Postanowienie, aby pożegnać się całkiem z piwem i w ogóle, było bardzo pochopne.

– No tak, nikt nie jest doskonały – powiedział – a szczególnie my, nowi w wierze. Czyli teraz, kiedy podążam za Jezusem, nie mam już wyboru. A ponieważ ja i on spotkaliśmy się już wczoraj wieczorem, to znaczy, że mam pół flaszki do nadrobienia.

No i tak to wyglądało. Drobnym sukcesem w samym środku wielkiej katastrofy. Anders Morderca był teraz przekonany, że ktoś, kto szczerze oddał się Jezusowi, czyni najlepiej, jeśli zaczyna od spełnienia ofiary wina przed południem i po południu, potem przechodzi do bardziej konkretnej wieczerzy pańskiej i kończy dzień, oddając cześć Panu jeszcze długo w nocy. Trzydzieści dwa tysiące, które zamierzał podarować na Czerwony Krzyż, zatrzymał, aby móc inwestować w krew Jezusa.

Ale w następstwie takiego obrotu spraw doszło do zaległości w realizacji zamówień. Cztery zlecenia leżały i czekały, wszystkie przyjęte tuż przed tym, jak Anders Morderca i Jezus wpadli na siebie, a kiedy odzywali się nowi klienci, recepcjonista odpowiadał coraz bardziej wymijająco. Mówił: „nie mamy żadnych wolnych terminów” albo „mamy przejściowe zakłócenia w dostawach”. Ale na dłuższą metę nie dało się tak funkcjonować. Czy to znaczy, że pora zawiesić działalność? Ostatecznie w pudełkach po butach leży całkiem sporo pieniędzy i na pewno nie należą się temu parszywemu, odmawiającemu wykonywania obowiązków mordercy, tylko recepcjoniście i jego dosyć ukochanej pastor.

Dosyć ukochana się z nim zgodziła, ponieważ niestety nic nie wskazywało na poprawę, to znaczy na utratę wiary w Boga przez Andersa Mordercę. W takiej sytuacji pastor nie widziała powodu, aby ona i recepcjonista nadal mieli się z nim zadawać. Jeśli o nią chodzi, morderca i Jezus mogli sobie kroczyć dalej ramię w ramię, nawet nad skraj przepaści, jeśli akurat zdarzyłaby się taka na ich drodze.

Bez pensjonatu Cypel na Jeziorze też jakoś przeżyje, oznajmiła, zaraz jednak dodała, że w gruncie rzeczy

przyzwyczała się do towarzystwa Pera Janssona. We dwoje tworzyli zgodny front przeciwko reszcie i chętnie dzieliłaby z nim zarówno kartony po butach, jak i resztę życia aż po wieczne czasy, gdyby mu to odpowiadało.

Było coś wyjątkowego w tej kobiecie, która podobnie jak on sam nie rozumiała do końca, jaki jest cel życiowej walki, ale z którą właśnie dlatego dobrze walczyło się razem, na wszelki wypadek przeciwko wszystkim i wszystkiemu. Dlatego Per Persson też chciał iść dalej wybraną drogą, pod warunkiem jednak, że Johanna Kjellander wreszcie się nauczy, jak on się nazywa.

## Rozdział 15

W kartonach po butach w pokoiku przy recepcji znajdowało się około sześciuset tysięcy koron do podziału między pastor a recepcjonistę. To był ich zaoszczędzony kapitał.

Do tego dochodziło sto tysięcy koron zapłaconych za jeszcze niewykonane zlecenia. Ale tę kwotę powinni oddać, ponieważ nic nie wskazywało na to, aby Anders Morderca i Jezus mieli się poprzytykać. Zwrotu trzydziestu plus trzydziestu plus czterdziestu tysięcy koron trzem sztokholmskim gangsterom całą gębą czy półgangsterom recepcjonista jednak nie przewidywał. Częściowo dlatego, że oznaczałoby to o sto tysięcy mniej w kasie, a częściowo także z tej przyczyny, że klienci spodziewali się konkretnego efektu za swoje pieniądze, a nie ich zwrotu bez procentu. Usposobienie klienteli nie należało, ogólnie rzecz biorąc, do najbardziej ugodowych; trudno było spodziewać się wyrozumiałości i łagodności. Istniało spore ryzyko, że recepcjonistę i pastor spotkałyby nieprzyjemności, gdyby oświadczyli, że Anders Morderca zaprzestał masakrowania ludzi.

– Może posłać im pocztą pieniądze razem z wyjaśnieniem, a potem zniknąć im z oczu? – zastanawiał się na głos recepcjonista. – Nikt nie wie, jak się nazywamy, a śladów po sobie raczej nie zostawimy specjalnie dużo, chyba sami byśmy się nie znaleźli, gdybyśmy zaczęli szukać.

Pastor w milczeniu wysłuchała słów recepcjonisty. Per Persson rozumiał, że potrzebowała czasu, by się zastanowić, ostatecznie chodziło o wyprowadzenie z równowagi w taki czy inny sposób trzech zbirów. Recepcjonista kontynuował:

– Można też sobie wyobrazić, że zostawimy pieniądze dla siebie, i jest całkiem możliwe, że ich radary nas nie wytropią. Ja zawsze pracowałem na czarno i o ile mi wiadomo, nigdzie nie jestem zarejestrowany. Twoje nazwisko też nie zdążyło

dostać się do żadnego protokołu, zanim z gościa hotelowego przedzierzgnęłaś się w bizneswoman i moją partnerkę. Za to jak nazywa się nasz gość spod siódemki, wie cały świat, ale przecież nie zabierzemy ze sobą świeżo nawróconego. Będzie zatem miał przyjemność wyjaśnić tym trzem, że Jezus zgłosił weto przeciwko prowadzonej przez niego działalności, a jego dotychczasowi koledzy wynieśli się, nie informując o zmianie adresu. I że w całym tym pośpiechu zdarzyło im się zabrać pieniądze klientów.

Pastor nadal się nie odzywała.

– Źle kombinuję? – spytał recepcjonista.

Pastor pokręciła głową.

– Nie – rzekła – nie kombinujesz źle. Myślę, że nawet dobrze, tyle że trochę defensywnie. Jeśli już chcemy okantować facetów, których nikt o zdrowych zmysłach nie odważy się okpić, to dlaczego nie okantować ich porządnie? Tak jak to tylko możliwe. I nawet jeszcze trochę bardziej. Sto tysięcy jest okej, ale chyba zgodzisz się ze mną, że... na przykład... dziesięć milionów brzmi lepiej?

Pastor posłała recepcjoniście uśmiech Mony Lizy, na co on uśmiechnął się do niej niepewnie. Minęły co najmniej dwa lata od momentu, kiedy podeszła do niego w parku z zamiarem naciągnięcia go na dwadzieścia koron za kiepską modlitwę. W rezultacie najpierw stali się nieprzyjaciółmi, potem partnerami, następnie przyjaciółmi i stopniowo parą zakochanych. A teraz mieli razem wyruszyć w świat. To brzmiało dobrze. Właśnie to brzmiało dobrze. Ale co z resztą (dziadkiem, mamą, tatą, milionami i złodziejami), co z tym wszystkim?

Dziesięć milionów to sto razy więcej niż sto tysięcy.

O ile większe jest ryzyko? I co według niej mają wspólnie zrobić z tymi pieniędzmi, oprócz tego, że w najlepszym razie będą mogli się kochać w luksusie zamiast w biedzie?

Recepcjonista nie zdążył zadać tego pytania, ponieważ w korytarzu pojawił się Anders Morderca, nucąc coś pod nosem.

– Niech Pan będzie z wami – powiedział tak łagodnym tonem,

że recepcjonista aż się zirytował.

Na szczęście mógł w tej chwili wręczyć mu rachunek, który właśnie przygotował jako zemstę za całokształt.

– Przez dwa lata i trzydzieści sześć tygodni pan Andersson nie regulował rachunku – oznajmił. – Dwieście dwadzieścia pięć koron za noc. To daje, licząc oględnie, dwieście dwadzieścia tysięcy koron.

Za starych dobrych czasów ten, kto w ten sposób żądał zapłaty za nocleg, sporo ryzykował, ale dziś już nie.

– Drogi, uroczy panie recepcjonisto – odezwał się Anders Morderca. – Przecież nie może pan służyć Bogu i mamonie jednocześnie.

– Faktycznie, w takim razie zacznę od mamony – odpowiedział Per Persson – a potem zobaczymy, czy starczy nam czasu na resztę.

– Tak trzymaj – wtrąciła pastor.

– A czy nie byłoby lepiej, gdybyś zaczął od podania mi kanapki? – spytał Anders Morderca. – Pamiętaj, że masz kochać bliźniego swego jak siebie samego, a jeszcze niczym dzisiaj się nie posiłem. Jak to się mówi: nie przyjąłem ciała Jezusa.

Pastor była zła na dawnego mordercę, dobrze jednak znała swoją Biblię.

– Błogosławieni wy, którzy teraz głodujecie; Łukasz 6,21 – rzuciła.

– Ojej – zareagował recepcjonista. – Nie będę zatem stał panu na drodze do świętości. Odmówienie kanapki to minimum, jakie mogę uczynić dla pańskiego dobra. Czy jest coś jeszcze, czego mógłbym panu odmówić, i w ten sposób przysłużyć się panu? Poza tym życzę miłego dnia.

Anders Morderca prychnął, zrozumiał jednak, że nie dostanie nic na ząb, jeśli nie pójdzie do knajpy. A ponieważ był głodny, ruszył tam od razu, mamrocząc jeszcze, że Pan patrzy na wszystkie nasze uczynki i że pastor oraz recepcjonista powinni się zastanowić nad zmianą swojej postawy, dopóki nie jest za późno.



I tak oto pastor i recepcjonista znowu zostali sami. Johanna Kjellander mogła teraz wyjaśnić, co wymyśliła.

– Zamiast mówić, że ten półgłówek, który właśnie poszedł, stał się religijny, rozpowszechnimy informację o czymś wręcz odwrotnym: że Anders Morderca jest teraz okrutniejszy niż kiedykolwiek, że nie ma już żadnych hamulców. Przez pewien czas nabieramy maksymalnie dużo zleceń: na zabójstwa, miażdżenie rzepek, wydlubywanie oczu, do wyboru, do koloru, byle tylko było drogo. A potem damy drapaką.

– To znaczy... znikniemy? Nie wydlubując nikomu oczu?

– Nikomu, jedynie w mejlach! Bo po pierwsze, my takich rzeczy nie robimy, a po drugie, nie mamy nikogo, kto by to za nas wykonał.

Recepcjonista obliczał. Jak długo mogliby przyjmować zlecenia, nie realizując ich? Przez dwa, trzy tygodnie? Plus jeden albo dwa dodatkowe, z wytłumaczeniem, że Anders Morderca zachorował i że przepraszamy za zwłokę. Czyli w sumie przez cztery tygodnie. Jeśli będą naprawdę operatywni, powinni dostać zamówienia na sześć, siedem morderstw, na dwa razy tyle zaawansowanych okaleczeń i cztery razy tyle bardziej tradycyjnych uszkodzeń.

– Mówisz dziesięć milionów? – rzekł recepcjonista, który odpowiadał za finanse i negocjacje. – A ja powiedziałbym nawet: około dwunastu.

Na jednej szali dziesięć, dwanaście milionów, na drugiej rozjuszony podziemny światek wielkiego Sztokholmu.

Z jednej strony recepcjonista i pastor przepadliby jak kamień w wodę – nikt nie wiedział, kim są ani jak się nazywają. Z drugiej strony gangsterzy nigdy nie przestaliby ich szukać.

– No i co ty na to? – spytała pastor.

Recepcjonista, dbając o odpowiednie napięcie dramatyczne, milczał przez kilka sekund, po czym naśladując uśmiech Mony Lizy, którym niedawno obdarzyła go pastor, oznajmił, że jedyna szansa, aby mogli się dowiedzieć, czy powinni pozwolić

sobie na zrobienie tego, co właśnie zamierzają, to zrobienie tego.

– Czyli wchodzimy w to?

– Wchodzimy – potwierdził Per Persson. – Niech Bóg nas ma w swojej opiece.

– Słucham?

– Żartowałem.

## Rozdział 16

Czternaście przecinek cztery miliona koron później recepcjonista i pastor spakowali swoje duże, świeżo zakupione walizki, żółtą i czerwoną, aby zgodnie z planem opuścić miasto na stałe.

Nowa, znacznie brutalniejsza oferta firmy została fantastycznie przyjęta przez rynek. Pastor i recepcjonista nie mogli się nadziwić, że aż tyle ludzi chciało zapłacić za usunięcie kogoś ze swojej drogi. Ostatni klient, zaledwie sprzed kilku dni, drobnej postury mężczyzna, opowiedział o swoim sąsiedzie, który zbudował wybieg dla kur cztery i dwie dziesiąte metra od granicy działki, a nie cztery i pół metra, jak nakazują przepisy. I kiedy ów drobny zwrócił uwagę sąsiadowi, tamten zachował się arogancko i zaczął robić miny do jego żony. Drobny był zdecydowanie zbyt drobny, by sam nauczyć sąsiada, czym jest sprawiedliwość, zresztą nawet gdyby zrobił to ktoś inny w jego imieniu, i tak doczekałby się rewanzu, jak tylko sąsiad wróciłby do formy. Dlatego jedynym wyjściem było usunięcie go raz na zawsze.

– Z powodu wybiegu dla kur? – dopytał recepcjonista. – Dlaczego nie pójdzie pan do gminy i nie złoży skargi? W końcu przepis jest przepisem.

– Byłem, ale okazało się, że siatka używana do takich zagród nie jest liczona jako płot, i dlatego on ma prawo.

– I za coś takiego ma umrzeć?

– On robił miny do mojej żony – podkreślił drobny.

Pastor zauważyła, że recepcjonista chyba zapomniał, że ów potencjalnie arogancki sąsiad z wybiegiem dla kur mimo wszystko nie straci życia, a jedynym skutkiem całej awantury będzie to, że skromnej postury mężczyzna pozostanie z uszczuplonymi zasobami finansowymi. Dlatego wtrąciła się szybko i zmieniła temat:

– A skąd pan się dowiedział o Andersie Mordercy i jego usługach?

– Jakiś czas temu mnóstwo pisano o nim w gazetach, zapamiętałem to sobie, bo ten mój sąsiad nie pierwszy raz tak się zachowuje. A kiedy sprawa stała się pilna, wystarczyło tylko się rozpytać w... odrobinę podejrzanych miejscach...

Jego wersja brzmiała wiarygodnie. Pastor poinformowała, że w tym przypadku wymierzenie sprawiedliwości będzie kosztować osiemset tysięcy koron.

Drobny skinął głową z zadowoleniem. To oszczędności jego całego życia, ale cel był tego wart.

– Będziecie mieli pieniądze w środę. Może być?

Tak, jak najbardziej. Wyjazd został zaplanowany na czwartek, który właśnie nadszedł. Pastor i recepcjonista wiedzieli o swojej wspólnej przyszłości jedynie tyle, że jest sfinansowana, że jej początek przypada właśnie dzisiejszego dnia oraz że wyklucza obecność jakichkolwiek nowo nawróconych byłych morderców.

– Wybieracie się gdzieś? – spytał Anders Morderca w drodze do wyjścia, aby przyjąć gdzieś ciało i (przede wszystkim) krew Jezusa.

Ostatnio udawał się zawsze do centralnych części stolicy, zmieniał knajpy tak często, jak potrzebował, bo na obrzeżach miasta nie było już takich miejsc, gdzie mógłby szerzyć słowo Boże, nie spotykając się w odpowiedzi z nieadekwatną reakcją. W jego stałym lokalu za rogiem dowiedziano się już, że morderca przestał być niebezpieczny, w związku z czym nie bano się go i kazano mu się wynosić, gdy tylko zaczynał nalegać, aby mógł czytać na głos Pismo Święte w czasie, gdy w telewizji Arsenal grał z Manchesterem.

Zza lady recepcji było widać za otwartymi drzwiami pokoiku walizki, ale na szczęście nie stopy pieniędzy przygotowane do zapakowania.

– Coś jeszcze? – odezwał się recepcjonista, który uważał, że nie musi zdawać relacji odmawiającemu wykonywania

obowiązków mordercy.

Poza tym jeszcze tylko kilka godzin, a potem nie będzie musiał go już w ogóle oglądać.

– Nie, nic poza tym. Jedźcie w pokoju – rzekł Anders Morderca, postanawiając sprawdzić którąś z knajp na Södermalm. Piwo na pewno lało się wszędzie strumieniami, ale on był przekonany, że kieliszek czerwonego wina też uda się tam dostać.

Usiadł w Wojaku Szwejku przy Östgötagatan i zamówił dwa kieliszki cabernet sauvignon. Kelnerka wróciła prawie natychmiast z winem na tacy i postawiła jeden kieliszek przed Andersem Mordercą, który wychylił go od razu, podczas gdy kobieta zastanawiała się, gdzie ma postawić drugi. Morderca wymienił pusty kieliszek na pełny, po czym zamówił jeszcze trzeci i czwarty, „skoro panienska już do mnie przyszła”.

Krew Jezusa mieszała się z krwią Andersa Mordercy, wypełniając go chrześcijańskim spokojem. Gdy rozejrzał się po lokalu, spotkał wzrok obcego mężczyzny. Zaraz, zaraz... gość wydał mu się dziwnie znajomy. Miał około czterdziestki, trzymał kufel w dłoni. Tak, to jest przecież jeden z chłopaków z paki z czasów ostatniej odsiadki – ostatnia odsiadka! – byli w tej samej grupie terapeutycznej. To przecież jemu nigdy nie zamykała się gęba. Gustavsson albo Olofsson czy jakoś tak.

– Anders Morderca! Kopę lat! – powiedział Gustavsson czy Olofsson.

– Witaj, witaj! Gustavsson, tak?

– Olofsson. Mogę się przysiąść?

Jasne, że mógł, niezależnie od tego jak się nazywał, bo Anders Morderca dostrzegł w nim natychmiast obiekt do nawrócenia.

– Ja podążam teraz śladem Jezusa – zaczął przyjaźnie.

Nie takiej reakcji się spodziewał – Olofsson wybuchnął śmiechem, a kiedy Anders Morderca dalej miał poważną minę, śmiał się jeszcze głośniej.

– O mamusiu! Okej, żarty na bok! – rzucił wreszcie kolega, wypił potężny łyk piwa i nagle spochmurniał.

Anders Morderca właśnie miał spytać, co w tym takiego zabawnego, gdy Olofsson zniżył głos i powiedział:

– Wiem, że masz załatwić Byka.

– Co?

– Spoko, nic nikomu nie powiem, przecież to mój własny brachu zamówił tę robotę. Zajebicie, że mu się dostanie. Pieprzona świnia! Pamiętasz, co zrobił mojej siorze?

Byk był wielkim, tumanowatym gangsterem wśród gangsterów, bez przerwy trafiał za kratki, był ogromny i zwalisty i dlatego uważał, że może przyłoić każdemu, kto szkodzi jego interesom. Zgodnie z tą logiką któregoś razu rzucił się nawet na własną dziewczynę. Zresztą ona też nie należała do najpotulniejszych owieczek Pana, pracowała jako opiekunka staruszków i wyspecjalizowała się w dorabianiu kluczy do ich mieszkań, żeby przekazywać je swoim braciom. Bracia oczekiwali jakiś czas, potem jechali gdzie trzeba i opróżniali dom ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Jeśli staruszkowie byli na miejscu, bracia napędzali im takiego stracha, że biedaczyska robili w gacie.

Ale Byk uważał, że klucze powinny trafiać w jego ręce, i dlatego najpierw zmasakrował swoją dziewczynę, a potem jednego z jej braci. Drugi siedział w tej chwili naprzeciwko Andersa Mordercy w sztokholmskiej knajpie i dziękował mu za...?

– Jak to załatwić Byka? Nikogo nie zamierzam załatwiać. Przecież ci powiedziałem, że podążam za Jezusem.

– Za kim?

– Za Jezusem, do cholery. Nawróciłem się.

Olofsson spojrział na Andersa Mordercę.

– A gdzie osiemset patoli mojego brata? Przecież dostałeś już kasę.

Anders Morderca poprosił Olofssona, żeby się uspokoił. Ktoś, kto idzie śladem Jezusa, nie morduje na boku swoich bliźnich na zlecenie, nic z tych rzeczy. Olofsson powinien szukać forsy brata gdzie indziej.

Gdzie indziej niż w kieszeni, do której na bank trafiła kasa? Olofsson nie był tchórzem. Podniósł się z krzesła i zrobił krok

w stronę tego padalca, który zamierzał naciągnąć jego brata na prawie milion. Czy ten sukinsyn przypadkiem nie pił też wina?

Sekundę później Olofsson leżał jak długi na podłodze. Choć Anders Morderca był głęboko nawrócony, nie potrafił jeszcze nadstawić drugiego policzka. Ani pierwszego. Zamiast tego odparował atak Olofssona lewą ręką (a może to była prawa?) i załatwił go prawym sierpowym (albo lewym). Z tym nadstawianiem policzków będzie musiał jeszcze poćwiczyć.

Kelnerka przysłała z dwoma nowymi kieliszkami wina, zobaczyła Olofssona i spytała, co się stało. Anders Morderca wyjaśnił, że jego przyjaciel odrobinę za dużo wypił, ale że na pewno zaraz się ocknie, a zanim padł, obiecał, że zapłaci za nich obu.

Mówiąc to, wychylił jeden z kieliszków stojących na tacy kelnerki i dodał, że drugi przyda się koledze, kiedy już oprzytomnieje. Następnie ominął Olofssona, podziękował i wyszedł. Zmierzał do pewnego wyjątkowego pensjonatu na południowych obrzeżach Sztokholmu, gdzie właśnie w tym momencie pakowano walizki, czerwoną i żółtą, aby przypuszczalnie jeszcze tego samego dnia wyjechać.

– Razem z kasą? – wymamrotał pod nosem Anders Morderca.

Bez dwóch zdań nie był szybki w myśleniu. Nie można też powiedzieć, by miał szczególny dar wymowy.

Ale głupi nie był.

## Rozdział 17

Jeszcze godzina i już nigdy nie musieliby oglądać prymitywnego mordercy. Ale Anders Morderca spotkał w knajpie niewłaściwą osobę i wyciągnął prawidłowe wnioski. Dlatego teraz stał pośrodku pokoiku, nad żółtą i czerwoną walizką; uniósł ich wieka i zobaczył same banknoty.

– Ile? – rzucił tylko.

– Czternaście milionów i czterysta tysięcy – rzekł recepcjonista poddańczym tonem.

Pastor próbowała uratować zarówno życie, jak i sytuację.

– Cztery przecinek osiem miliona jest oczywiście twoje. Możesz zostawić to sobie, oddać na Czerwony Krzyż czy podarować Armii Zbawienia albo komu chcesz. Dla nas najważniejsze, żebyś nie został z pustymi rękami. Należy ci się jedna trzecia. I tyle dostaniesz. Absolutnie!

– Naprawdę? – upewnił się Anders Morderca.

„Naprawdę?” to jedyne, na co stać było jego mózg w tej chwili. Kiedyś wszystko wydawało się o wiele prostsze, nie musiał tak główkować. Wtedy wystarczyłoby tylko:

- 1) spuścić porządny łomot recepcjoniście i pastor,
- 2) wziąć walizki z pieniędzmi,
- 3) wyjechać.

Ale teraz rzeczą bardziej błogosławioną było dawanie niż branie, bo prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogaty wstąpi do Królestwa Bożego. I dlatego nie należy pożądać ani jednego, ani drugiego.

Chociaż, zaraz... nie, wszystko ma swoje granice. I w tym momencie usłyszał, jak Jezus przemawia do niego: „Uwolnij się od tej dwójki faryzeuszy, którzy wykorzystują cię już tyle czasu. Zabierz wszystkie ich pieniądze i gdzieś indziej zacznij od nowa”.

Dokładnie tak powiedział Jezus i Anders Morderca powtórzył



jego słowa recepcjoniście i pastor.

Na co recepcjonista zaczął się poważnie bać; poczuł, że zaraz będzie musiał paść na kolana i skomleć, aby darowano mu życie. Tymczasem pastor przede wszystkim nie mogła oprzeć się ciekawości.

– Naprawdę Jezus do ciebie przemówił? I pomyśleć, że przez wszystkie lata mojej służby i pośrednictwa między niebem a ziemią nie powiedział do mnie ani jednego słowa.

– A nie myślisz, że to dlatego, że jesteś krętaczką? – rzekł Anders Morderca.

– Owszem, całkiem niewykluczone – zgodziła się pastor. – Jeśli przeżyję najbliższe minuty, spróbuję go posłuchać. Ale mam jeszcze krótkie pytanie, zanim przystąpisz do pozbycia się nas.

– Tak?

– Co według słów Jezusa powinieneś zrobić potem?

– Już mówiłem: wziąć pieniądze i zniknąć.

– Oczywiście, tak, tak. Ale dokładniej? Na dobrą sprawę każdy w tym kraju wie, kim jesteś, nie uważasz? Rozpoznają cię wszędzie. A po piętach depczą ci prawie wszystkie bez wyjątku elementy półkryminalne i kryminalne z całego Sztokholmu. Powiedziałeś o tym Jezusowi?

Anders Morderca stał bez słowa. Stał tak jeszcze przez chwilę.

Pastor podejrzewała, że głupek próbuje na nowo nawiązać kontakt, ale zdaje się, że odpowiedź nie nadchodziła. Nie powinien jednak w żadnym razie brać tego do siebie, bo może to tylko Jezus się nie wyrabia. Przecież ma tyle na głowie: musi wypełnić sieci rybami, tchnąć życie w zmarłych synów wdów, przywrócić wzrok ślepemu, wypędzić złe duchy z mężczyzn, którzy nie mogli mówić... Więcej materiału dowodowego można znaleźć u Łukasza 5 i u Mateusza 9, jeśli Anders Morderca jej nie wierzy.

Recepcjonista kręcił się niespokojnie. Czy to naprawdę odpowiedni moment na prowokację?

Ale Anders Morderca nie znał się na prowokacjach. Przecież ona ma rację! Jezus pewnie przez cały czas ma ręce pełne roboty. Dlatego on ze swoją sprawą musi poradzić sobie sam.

Albo poprosić kogoś innego o wskazówkę. Na przykład tę przekłętą pastor.

– Masz jakiś pomysł? – rzucił posepnie.

– Pytasz mnie czy Jezusa? – chciała wiedzieć pastor, odnotowując jednocześnie gniewne spojrzenie recepcjonisty: Nie posuwaj się za daleko!

– Ciebie, psiamać – odparł Anders Morderca.

Dziesięć minut później pastor wyciągnęła z niego, co wydarzyło się w Wojaku Szwejku, jak bohaterski morderca powalił groźnego brata Olofssona na podłogę („najpierw odparowałem lewą, potem przyłożyłem prosto prawą pięścią i po wszystkim”) i jaki wyciągnął wniosek z dialogu, który poprzedził zwalenie z nóg przeciwnika – mianowicie, że pastor i recepcjonista zamierzają wycyckać swojego kumpla.

– Byłego kumpla – próbował się bronić recepcjonista. – Wszystko tak naprawdę zaczęło się od tego, że odmówiłeś pracy.

– Bo spotkałem Jezusa! Czy to, kurwa, tak trudno ogarnąć? I dlatego wpakowaliście mnie w to gówno!

Pastor weszła mu w słowo i zapobiegła kłótni, na którą nie było czasu. Zgadzała się z jego ujęciem stanu rzeczy, choć słownictwo pozostawiała nieco do życzenia. Teraz jednak należało patrzeć w przyszłość i działać błyskawicznie, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy kompan Andersa Mordercy zdecyduje się wstać z podłogi, napakować się furią i ruszyć. Prawdopodobnie prosto do swojego brata, żeby opowiedzieć mu to i owo.

– Spytałeś chwilę temu, czy mam pomysł, co powinniśmy zrobić dalej. Odpowiedź brzmi „tak!”.

Najlepiej, aby oddalili się razem. Zadaniem pastor i recepcjonisty było uchronienie Andersa Mordercy przed ujawnieniem, wraz ze wszystkim, co to mogło oznaczać. Pieniądze schowane w walizkach powinni podzielić tak jak brat z bratem i siostra z siostrą, co znaczy, że każdemu przypadnie trochę ponad pięć milionów, jeśli doda się pieniądze pastor

i recepcjonisty, uzbierane przez nich uczciwiej (nie jakoś szczególnie uczciwiej, ale zawsze trochę).

Dokąd konkretnie mieli się udać, sami nie wiedzieli, ale dzień wcześniej recepcjonista był u starego znajomego Andersa Mordercy, hrabiego, i kupił niedużego kampera, w którym przez jakiś czas pomieszczą się wszyscy troje, mimo że w zamyśle był on przeznaczony jedynie dla dwojga.

– Kamper? – spytał Anders Morderca. – Ile za niego dałeś?

– Niewiele – odpowiedział recepcjonista.

Per Persson dostał samochód, a w zamian obiecał, że najdalej w najbliższy piątek Anders Morderca przyjdzie za niego zapłacić i jednocześnie opowie o szczegółach realizacji zleconego podwójnego morderstwa.

– Zleconego podwójnego morderstwa?

– No tak, zleconego, opłaconego, niewykonanego. Chodziło o głównego konkurenta hrabiego w branży samochodowej i gościa od prochów z branży hrabiny. Przypuszczalnie oboje chcą mieć większą swobodę działania i uznali, że coś takiego jest warte nawet miliona sześciuset tysięcy.

– Milion sześćset... I teraz macie tę kasę w żółtej walizce?

– Tak, albo w czerwonej.

– A hrabia i hrabina nie doczekają się morderstwa?

– No nie, chyba że Jezus zacznie nalegać, żebyś wrócił do służby, nie widzimy jednak żadnych podstaw, by mieć na to nadzieję. Dostaną natomiast ukradzionego im kampera. Istnieje ryzyko, że ci dwoje są chyba najbardziej wkurzonymi na nas klientami, a do nich dołączy pewna liczba tylko trochę mniej wkurzonych. Dlatego powinniśmy chyba już ruszyć w naszą podróż ku celowi, którego nie znamy.

Niełatwo było nazywać się akurat w tym momencie Johanem Anderssonem. A sytuacji wcale nie poprawiał fakt, że większości był on raczej znany jako Anders Morderca, że był świeżo nawrócony i że jego jedynymi przyjaciółmi na Ziemi wydawali się zajadli nieprzyjaciele, którzy teraz mieli zamieszkać razem z nim w kamperze zamiast być ukatrupieni.

Jezus milczał dalej jak Ściana Płaczu, podczas gdy pastor i recepcjonista wciąż gadali. Mimo wszystko Anders Morderca nie widział innego rozsądnego wyjścia.

– A co byś powiedział na pół butelki krwi Jezusa dla wzmocnienia przed podróżą? – próbował go skusić recepcjonista.

Anders Morderca zastanowił się.

– Niech będzie. W taki dzień jak dzisiaj może być nawet cała butelka. Chodźcie już, jedziemy.

## Rozdział 18

Pensjonariusz zakładów karnych Olofsson, który w knajpie na Södermalm został znokautowany przez świeżo nawróconego kolegę z paki, ocknął się już po kilku minutach. Był brutalny wobec przybyłego właśnie personelu ambulansu, przeklinał biedną kelnerkę, która domagała się zapłacenia rachunku, cisnął ostatnim kieliszkiem cabernet sauvignon o ścianę, po czym oddalił się chwiejnym krokiem. W niecałe pół godziny dotarł do domu swojego brata Olofssona (w kręgach stałych bywalców mamra przyjęło się na ogół pomijać imiona). Gdy tylko młodszy brat naświetlił sytuację starszemu bratu, Olofsson i Olofsson ruszyli do pensjonatu Cypel na Jeziorze, aby wymierzyć sprawiedliwość.

Hotel wydawał się opuszczony. W recepcji stała para zdezorientowanych gości, zadając sobie pytanie, gdzie podziwia się recepcjonista, ponieważ nie mogli dostać kluczy do swoich pokoi. Inny gość nie mógł się zameldować co najmniej od dziesięciu minut. Powiedział Olofssonowi i Olofssonowi, że co chwila uderzał w dzwonek na ladzie, ale na próżno, a kiedy zadzwonił na hotelowy numer ze swojej komórki, okazało się, że firmowy telefon leży i brzęczy w recepcji.

– Panowie też mają tu rezerwację? – spytał mężczyzna.

– Nie – odpowiedział Olofsson.

– Nie mamy – odpowiedział Olofsson.

Po czym bracia wyszli, wzięli z samochodu kanister z benzyną, udali się na tył budynku i go podpalili.

Żeby zaznaczyć.

Nie wiadomo co.

Nietrudno było o coś takiego, kiedy bracia działali w parze. Olofsson był niemal równie temperamentny jak jego brat.

Godzinę później pełniący dyżur oficer z jednostki straży pożarnej w Huddinge uznał, że nie ma potrzeby wzywać posiłków. Cały budynek był objęty ogniem i nie do uratowania, ponieważ jednak nie wiał wiatr, ogólne warunki nie stwarzały zagrożenia dla domów w pobliżu. Pozostawało zatem tylko czekać, aby hotel spalił się do końca. W obecnej sytuacji nie było stuprocentowej pewności, lecz według informacji świadków nikt w środku nie spłonął, a nieruchomość podpalili z użyciem benzyny dwaj nieznani mężczyźni. W sensie prawnym było to równoznaczne ze wznieceniem pożaru z zamiarem pozbawienia życia.

Ponieważ nie stwierdzono ofiar, wartość informacji na temat zdarzenia byłaby w wymiarze ogólnokrajowym znikoma, gdyby nie to, że pewien czujny szef nocnej zmiany w redakcji gazety „Expressen” przypomniał sobie wywiad przeprowadzony z jakimś Andersem Mordercą. Od tamtej pory minęły ze trzy lata, ale tak się składało, że morderca mieszkał wtedy właśnie w tym hotelu. Być może rezydował w nim do dzisiaj? Po pospiesznej, ale dobrej robocie dziennikarskiej sformułowano wielkie nagłówki do porannego wydania:

Wojna w podziemnym świecie:  
ANDERS MORDERCA  
uciekł  
Z POŻARU, W KTÓRYM MIAŁ ZGINAĆ

Całe dwie rozkładówki tekstu pełnego ostrzeżeń przed śmiertelnie groźnym Andersem Mordercą, uzupełnionych spekulacjami na temat przyczyn domniemanej próby zabójstwa. Zwracano także uwagę, że morderca, który nie spłonął, musi znajdować się gdzieś indziej i szukać nowego miejsca, gdzie mógłby się zaszyć. Może akurat blisko ciebie?

Wystraszony naród to naród kupujący także wieczorną gazetę.

To, że pensjonat Cypel na Jeziorze spalił się doszczętnie, zdaniem recepcjonisty siedzącego za kierownicą kampera było z dwóch względów pomyślne i z jednego powodu niepomyślne. Pastor i Anders Morderca poprosili go, aby rozwinął swą tezę.

No więc po pierwsze fakt, że właściciel hotelu, stary król porno i potworny skąpiec, stracił swoje główne źródło dochodów, to świetna wiadomość! O ile recepcjonista sobie przypominał, jego chlebodawca uważał też, że to niemęskie, aby wydawać wiele tysięcy koron rocznie na ubezpieczenie nieruchomości. Czyli obiekt nie był ubezpieczony od pożaru i to czyniło całą sprawę jeszcze sympatyczniejszą.

– Niemęskie? – zdziwiła się pastor.

– Różnica między męskością a czystą głupotą bywa czasami cienka jak włos.

– A w obecnej sytuacji jak byś to nazwał?

Recepcjonista odpowiedział szczerze, że obecny rozwój sytuacji pozwala stwierdzić, iż w pojedynku zwyciężyła głupota, chociaż długo na prowadzeniu była męskość.

Pastor zrezygnowała z dalszego zagłębiania się w kwestię rozsądku i braku rozsądku. Poprosiła natomiast swego recepcjonistę, aby kontynuował poprzedni wątek.

Otóż pomyślne było również to, że wszystkie odciski palców, wszelkie ewentualnie zapomniane rzeczy osobiste, które mogłyby pomóc zidentyfikować jego i pastor, też poszły z dymem. Oboje byli bardziej anonimowi niż kiedykolwiek do tej pory.

Anders Morderca natomiast – wprost przeciwnie. Wszystkie gazety powtórzyły za „Expressen” materiał o śmiertelnie niebezpiecznym przestępcy, wzbogacając go przybliżonymi portretami. Nie było szans, aby morderca mógł opuścić samochód, nie narzuciwszy sobie na głowę co najmniej koca. Nie istniała też szansa, aby mógł go opuścić nawet z kocem, bo można sobie wyobrazić, jaką zaraz wzbudziłby sensację. Mówiąc krótko: Andersowi Mordercy nie wolno było wysiąść z kampera.

Następnego dnia gazety znów zapełniły się informacjami na temat najbardziej ekscytującego w ostatnich dniach człowieka Szwecji. Plotki o tym, czego się dopuścił, rozeszły się tak szeroko, że całkiem spora liczba drobnych kryminalistów zadzwoniła pod numer kontaktowy w redakcji, żeby zarobić tysiąka napiwku:

– Ten skurczybyk miał spuścić, kurwa, łomot paru gościom i wziął kasę z góry, a potem nie wykonał, kurwa, roboty i spieprzył z całym, kurwa, szmałem. Łatwe pieniądze, no nie? Ale według ciebie ile mu zostało, kurwa, życia?



## Rozdział 19

Nazwanie tego podróży w nieznane byłoby może nadużyciem, lecz faktem jest, że jeździe kamperem w kierunku południowym nie przyświecała żadna głębsza myśl. Główny cel to byle dalej od Sztokholmu. A drugi: być ciągle w ruchu. Po dwóch dniach znaleźli się w Växjö w Smålandzie i krążąc na oślep, próbowali dotrzeć do centralnej części miasta, aby znaleźć ewentualnie jakąś burgerownię i zjeść wczesny lunch.

Nagłówki gazet wystawionych przed kioskami i sklepami krzyczały z daleka, że śmiertelnie niebezpieczny i prawdopodobnie zdesperowany morderca może znajdować się w pobliżu. Ten, kto publikuje setki tysięcy tego rodzaju tytułów w całym kraju, gdzieś w końcu trafi, na przykład w Växjö.

Pastor i recepcjonista nie mieli dopracowanej wizji ich wspólnej przyszłości. Wizja przybliżona zaś nie obejmowała sytuacji mieszkaniowej, na którą miałyby się składać wspólna egzystencja w kamperze podłego sortu z nieprzewidywalnym, świeżo nawróconym, wciąż pijanym mordercą ściganym przez znaczną część przestępczego elementu całego narodu.

Wielkie nagłówki i pierwsze strony z ogromnymi zdjęciami groźnie spoglądającego Andersa Mordercy na każdym rogu w Växjö skłoniły pastor do wymamrotania pod nosem, że chyba jeszcze trochę potrwa, zanim nadarzy się okazja, aby mogli się poprzytulać na osobności.

– E tam – odezwał się Anders Morderca. – Możecie się obściskiwać, ja mogę zasłonić uszy.

– I oczy – powiedziała pastor.

– Oczy też? To nie będę mógł...

W tym momencie kamper minął coś, co skierowało myśli Andersa Mordercy w inną stronę. Kazał recepcjonście zawrócić, ponieważ było to...

– Dobre miejsce do jedzenia? – spytał recepcjonista.

– Nie, pieprzyć jedzenie. Zawróć! Albo zrób kółko i przejedź jeszcze raz! – polecił Anders Morderca.

Recepcjonista wzruszył ramionami i zrobił, co mu kazano. Po chwili morderca upewnił się, że dobrze widział – zauważył sklepik prowadzony przez Czerwony Krzyż. Dochodził kwadrans po dziesiątej, Anders Morderca był w swoim najlepszym humorze i dodatkowo lirycznie nastrojony romantyczną rozmową sprzed chwili.

– Pięć milionów jest moje, tak? To teraz niech któreś z was pójdzie do tego sklepiku i da im pięćset tysięcy koron w imię Jezusa.

– Oszalałeś? – odparowała pastor, choć znała odpowiedź.

– To, że bogaty darowuje pieniądze biednemu, to ma być szaleństwo? I coś takiego mówi pastor? Przecież jeszcze parę dni temu sama mówiłaś w hotelu, że moje pieniądze mogą iść na Czerwony Krzyż albo na Armię Zbawienia, jak mi się tak spodoba.

Pastor wyjaśniła, że wtedy próbowała ratować się z jednej sytuacji, a teraz chodzi o ratowanie się z zupełnie innej. I dlatego koncepcje mogą być różne. W tej chwili jest najważniejsze, aby za wszelką cenę ochronić nieznaną nikomu tożsamość jej i recepcjonisty.

– Chyba rozumiesz, że nie możemy tam wejść i powiedzieć tak po prostu „Dzień dobry, macie tu trochę pieniędzy”. Przecież w środku mogą być kamery monitoringu albo ktoś na przykład robi zdjęcie komórką czy zadzwoni na policję, która znajdzie wtedy nas i nasz samochód. Jest cała masa powodów i gdybyś tylko dał mi jeszcze parę sekund...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, Anders Morderca bowiem otworzył żółtą walizkę, chwycił dwa duże pliki banknotów, zatrzasnął walizkę z powrotem, otworzył boczne drzwi kampera i wysiadł.

– Zaraz wracam – rzucił.

Wystarczyło kilka długich kroków i już był w sklepie. Recepcjonista i pastor odnieśli wrażenie, że za szybko wystawową zaczął się jakiś zamęt, lecz niełatwo było dojrzeć... Czy ktoś podniósł ręce do góry? Wybuchł hałas, który

dochodził aż na ulicę, coś się rozbiło...

Pół minuty później drzwi sklepu otworzyły się i wyszedł z nich Anders Morderca, ale nikt poza tym. Następnie wyjątkowo sprężyście jak na swój wiek wskoczył do samochodu, zamknął drzwi i zaproponował, aby recepcjonista ruszył, jeśli to możliwe – jak najszybciej.

Per Persson, klnąc pod nosem, skręcił w lewo, skręcił w prawo, znowu w lewo, przejechał prosto przez rondo i przez kolejne rondo, i jeszcze przez jedno rondo (tak to wygląda w Växjö), odbił w drugą w prawo i minął czwarte i piąte rondo, pruł prosto przed siebie, aż wreszcie zostawił miasto z tyłu, a potem skręcił w lewo w leśną drogę i znowu w lewo, i jeszcze raz w lewo.

I tam się zatrzymał, na polanie pozornie pustego smålandzkiego lasu. Sądząc po tym, co widział w lusterku wstecznym podczas jazdy, nikt ich nie ścigał. Mimo to recepcjonista wciąż był wściekły.

– Może zagłosujemy, jak kretyński był ten pomysł, w skali od jednego do dziesięciu? – rzucił.

– Ile pieniędzy mogło być w tamtych paczkach? – spytała pastor.

– Nie wiem – odpowiedział Anders Morderca. – Ale zdaję się na Jezusa, że wybrał za mnie odpowiednią sumę.

– Jezus? – odezwał się rozsierdzony recepcjonista. – Skoro umie przemieniać wodę w wino, to może umiałby też wyczarować pieniądze zamiast podprowadzać je nam. Przekaż mu ode mnie...

– Spokojnie, spokojnie – rzekła pastor. – Zdaje się, że wszystko dobrze się skończyło. Ale zgadzam się z tobą, że hipotetycznie najbardziej ześwirowany były morderca świata mógł od początku do końca zachować się inaczej. Opowiedz nam teraz, co się wydarzyło w sklepie.

– Hipotetycznie? – spytał Anders Morderca.

Nie lubił, kiedy czegoś nie rozumiał, dał jednak temu spokój, zaintrygowany nieznaną mu dotąd informacją, jakoby Jezus robił wino z wody. Ciekawe, czy on kiedykolwiek zajdzie tak daleko w swojej wierze?

## Rozdział 20

Po nieszczęściu ze sklepikiem Czerwonego Krzyża nie mieli wyjścia i musieli objechać od zachodu jezioro Helgasjön, a następnie kontynuować podróż na południe, nie zbliżając się zaledwie do tego samego miasta po raz drugi. Wczesny lunch składał się w tej sytuacji z kiełbaski i piure ziemniaczanego z proszku kupionych na stacji benzynowej. Potem było spokojnie, aż po obrzeża Hässleholm w północnej Skanii. Mniej więcej wtedy Anders Morderca zaczął sygnalizować potrzebę wizyty w monopolowym, ponieważ coraz bardziej odczuwał brak wina, które pomagało w podtrzymywaniu kontaktu między nim a Jezusem. Zwłaszcza że dotychczasowe próby zamiany butelki zimnej wody znalezionej w samochodzie w coś pijalnego spełzły na niczym. Ale ćwiczenie czyni mistrza – mówi się przecież.

Pastor, która przejechała teraz kierownicę, wcale nie spodobało się to jego życzenie. Ledwie uszli przed katastrofą w Växjö, a już mieli rzucać nowe wyzwanie losowi, wjeżdżając do centrum kolejnego miasta. Zrobiła jednak, jak on chciał, bo do niewielu rzeczy gorszych niż Anders Morderca należał trzeźwy Anders Morderca.

Recepcjonista nie protestował z mniej więcej tego samego powodu. Morderca miał za zadanie ukryć się w tylnej części niewielkiego kampera (gdzie z niejasnego powodu siedział już od pewnego czasu i przemawiał do butelki wody), podczas gdy Per Persson miał wybrać się na krótki spacer do galerii handlowej, w której niewątpliwie znajdował się sklep monopolowy. Spacer był rzeczywiście krótki, ponieważ pastor na szczęście znalazła miejsce parkingowe tuż przed wejściem.

– Zaraz wracam – powiedział recepcjonista – a ty masz nie wychylać nosa z samochodu! Jakie wino chcesz?

– Weź pierwsze z brzegu, byle było czerwone i miało trochę

mocy. My z Jezusem nie jesteśmy wybredni. Nie trwonimy pieniędzy bez potrzeby na komunię, lepiej pomyśleć o tych, co...

– Wiem, wiem – mruknął recepcjonista i wysiadł.

Już wiele tygodni wcześniej Anders Morderca dowiedział się od pastor, że ścieżki Pana są niezbadane. A teraz przez firankę w bocznym oknie w tylnej części kampera zobaczył, że jest to najprawdziwsza prawda. No bo niecałe pięć metrów dalej, strategicznie ulokowana tuż przed wejściem do cieszącego się powodzeniem sklepu monopolowego, stała przedstawicielka Armii Zbawienia. W ręce trzymała puszkę, do której od czasu do czasu wpadało kilka koron.

Pastor siedziła za kierownicą, myślała o czymś innym, nie przeczuwając zagrożenia. Anders Morderca po cichu wyjął mniej więcej taki sam plik pieniędzy jak ostatnio i uchylił drzwi samochodu, powoli, bezszelestnie, żeby pastor się nie spostrzegła. Następnie zaczął energicznie gestykulować w kierunku żołnierki Armii Zbawienia, która w końcu zwróciła na niego uwagę, ale na szczęście nie rozpoznała w nim najniebezpieczniejszego człowieka w kraju. Ruszyła zatem w stronę samochodu, albowiem zrozumiała, że posługujący się językiem migowym mężczyzna chce z nią nawiązać kontakt. Gdy znalazła się całkiem blisko, Anders Morderca odezwał się szeptem. Przez na wpół otwarte drzwi podziękował kobiecie za jej pracę w służbie Pana, po czym wręczył jej plastikową reklamówkę ze stacji benzynowej wypełnioną pieniędzmi. Uznał, że obdarowana wygląda na zmęczoną i wyniszczoną, dlatego na pewno przyda jej się słowo pocieszenia na dalszą drogę.

– Spoczywaj w pokoju – rzekł serdecznie, ale nieco za głośno, zanim zamknął drzwi.

Spoczywaj w pokoju? Pastor za kierownicą zdążyła tylko odwrócić się za siebie i zdębieć na widok tego, co zobaczyła, a potem zdębiała jeszcze raz, kiedy ujrzała starszą kobietę z Armii Zbawienia, jak cofa się i patrzy osłupiała na to, co

dostała w prezencie, po czym zdębiała ponownie, gdy żołnierka, potykając się i idąc tyłem, wpadła prosto na recepcjonistę z dwiema siatkami wina ofiarnego w rękach.

Butelki ocalały. Per Persson przeprosił starszą kobietę. Co się stało? Może babcia źle się czuje?

Wówczas usłyszał głos pastor dobiegający z bocznego okna kampera:

– Pieprzyć starą! Migiem do samochodu! Ten kretyn zrobił to znowu!

## Rozdział 21

Dokładnie pięćset kilometrów od Hässleholm pewien przedsiębiorca z branży samochodowej rozmawiał ze swoją przyjaciółką. I on, i ona – podobnie jak przeważająca część społeczeństwa – przeczytali doniesienia o mordercy, który wycygnął od podziemnego światka pieniądze i zniknął.

Handlarz samochodów i jego nieślubna połowa należeli do tych okantowanych. I chyba najmniej wyrozumiących. Częściowo dlatego, że taką mieli naturę, a częściowo dlatego, że oprócz pieniędzy stracili też kampera.

– Co ty na to, żeby go pokroić tak kawałek po kawałku, po trochu, zacząć od dołu i posuwać się coraz wyżej? – zapytał przedsiębiorca, nazywany w kręgach kryminalnych hrabią.

– Chcesz powiedzieć, że ciachalibyśmy go tak powolutku, a on ciągle by żył?

– Coś w tym rodzaju.

– Brzmi ciekawie. Chciałabym w tym uczestniczyć.

– Oczywiście, moja droga – odpowiedział hrabia. – Trzeba go tylko znaleźć.

## Część 2

# Inna nietypowa działalność gospodarcza

### Rozdział 22

Po incydentach z Czerwonym Krzyżem i przedstawicielką Armii Zbawienia pastor ruszyła z powrotem na północ. Po Växjö i Hässleholm logicznym punktem docelowym dla tych, którzy ewentualnie ich szukali, było Malmö. I właśnie dlatego pastor, recepcjonista i morderca pojechali w odwrotnym kierunku.

Gdy Anders Morderca zasnął z tyłu kampera na materacu rzuconym na obie walizki i chrapał, pastor skręciła na przydrożny parking nad jeziorem, gdzieś na granicy między Halland a Västergötland. Zatrzymała się, wyłączyła silnik i wskazała na miejsce do grillowania nad samą wodą.

– Narada – szepnęła, aby nie obudzić Andersa Mordercy.

Recepcjonista potaknął ruchem głowy. Zeszli nad jezioro i usiedli na kamieniach przy palenisku. Oboje czuli, że mogłaby to być miła chwila, gdyby tylko cała reszta nie była taka paskudna.

– Niniejszym otwieram posiedzenie – oznajmiła pastor przyciszonym głosem, aby nowo nawrócony morderca na pewno jej nie usłyszał.

– A ja niniejszym potwierdzam, że zainteresowani zostali powiadomieni prawidłowo. I zauważam, że nie wszyscy się stawili. Co mamy na porządku obrad?

– Tylko jedną kwestię – odrzekła pastor. – Jak się pozbyć tego śpiącego w samochodzie wrzodu i jednocześnie ująć



z życiem? I doprowadzić do tego, aby nasze pieniądze pozostały naszymi pieniędzmi. A nie Andersa Mordercy. Czy pomocy społecznej. Czy fundacji Save the Children. Albo kogokolwiek czy czegokolwiek, co akurat znajdzie się na naszej drodze.

Pierwszy pomysł mający jaki taki sens sprowadzał się do wynajęcia płatnego mordercy, którego zadaniem byłoby pozbycie się współnika. Problem polegał jednak na tym, że w kręgach, w których dałoby się ewentualnie znaleźć kogoś takiego, zbyt wiele osób zostało niedawno oszukanych przez pastor i recepcjonistę na konto Andersa Mordercy.

Nie, koncepcja, aby morderca zamordował mordercę, była zbyt ryzykowna. Poza tym ocierała się o niemoralność. Pastor wpadła natomiast na najprostsze z możliwych rozwiązań. A gdyby tak odjechać na pełnym gazie, jak tylko Anders Morderca wysiadzie z auta, żeby odlać się gdzieś pod drzewem?

– Hmm – mruknął recepcjonista. – Wtedy... zdaje się, byśmy się go pozbyli?

– I zachowali wszystkie pieniądze – dodała pastor.

Prostszego wyjścia chyba być nie mogło! Szkoda, że nie pomyśleli o tym przed sklepem Czerwonego Krzyża w Växjö. „Zaraz wracam!” – rzucił wtedy Anders Morderca i wyskoczył z kampera. Pastor i recepcjonista mieli całe pół minuty, aby zebrać myśli, wyciągnąć odpowiedni wniosek – i odjechać.

Całe pół minuty! – uświadomili sobie. Dziewięć godzin później.

Narada dobiegła końca. Postanowiono jednogłośnie, by nie działać pochopnie, tylko poczekać w miejscu, gdzie są. Siedzieć cicho przez trzy doby, zorientować się, co media donoszą o wydarzeniach w Växjö i Hässleholm, zebrać informacje, jak duży postrach Anders Morderca wywołał w społeczeństwie, czy ich tożsamość jest nadal nieznana i czy obława na nich ma poważny zasięg.

A następnie: na podstawie uzyskanej wiedzy podjąć

odpowiednie kroki. Z wyraźnie wyznaczonym celem odseparowania siebie i walizek od tego, który leżał teraz i chrapał w samochodzie.

Kampera stojącego na parkingu nie było widać z drogi. W prowiant mogli się zaopatrzyć na stacji benzynowej dwa kilometry dalej. Recepcjonista zaoferował, że pójdzie tam na piechotę, podczas gdy pastor będzie pilnować Andersa Mordercy, starając się przede wszystkim nie dopuścić do tego, aby wyskoczył do lasu i oddał milion albo dwa komuś, na kogo się akurat natknie.

## Rozdział 23

Dwie niespodziewane darowizny pieniężne w Växjö i Hässleholm potraktowano początkowo jako działania przestępcze, i to o wysokim priorytecie, ponieważ dokonał ich osobnik uznawany za najniebezpieczniejszego w Szwecji.

Czterysta siedemdziesiąt pięć tysięcy koron zarekwirowano od Czerwonego Krzyża w Växjö, a pięćset sześćdziesiąt tysięcy od Armii Zbawienia w Hässleholm. Policja obu południowo-szwedzkich miast ściśle ze sobą współpracowała.

Lokal w Växjö był to sklep, w którym jedni oddawali rzeczy, a inni je kupowali, po czym uzyskany dochód wysyłano do jakiegoś najbiedniejszego z biednych zakątka świata. Owego dnia znajdowały się w nim dwie ekspedientki i klientela w takiej samej liczbie, gdy nagle otworzyły się drzwi i znany całemu krajowi tak zwany Anders Morderca wszedł do środka z groźnym spojrzeniem. Że spojrzenie miał groźne, twierdziła co najmniej połowa klienteli, czyli kobieta, która krzyknąwszy głośno, ukryła się w regale z porcelaną. Obie ekspedientki podniosły ręce na znak, że się poddają i chętnie zachowałyby życie, podczas gdy drugi z klientów, od dawna emerytowany kapitan Henriksson aktualnie rozwiązanego pułku kronobergskiego, ósmej kompanii, uzbroił się w szcztokę na kiju w cenie czterdziestu dziewięciu koron.

Wszedłszy, Anders Morderca powiedział: „Niech pokój Pański będzie z wami”, ale jego nieoczekiwane pojawienie się wywołało efekt wręcz odwrotny do jego słów. Następnie położył duży plik banknotów na ladzie przed dwiema ekspedientkami trzymającymi ręce w górze i oznajmił, że wolałby, aby użyły rzeczonych rąk, a przede wszystkim wszystkich swoich czterech dłoni, by w imię Jezusa przyjąć owe środki i spożytkować je jako darowiznę. Następnie życzył im wszystkim miłego dnia i oddalił się równie niespodziewanie, jak się pojawił.

W drzwiach prawdopodobnie powiedział jeszcze „Hosanna”, ekspedientki nie były jednak co do tego zgodne; według jednej z nich raczej kichnął. Potem wskoczył do białej furgonetki lub czegoś w tym rodzaju, ale to spośród wszystkich obecnych widziała jedynie druga sprzedawczyni, ponieważ pozostali skierowali wzrok na kobietę pod stosem potłuczonej porcelany. Zaczęła właśnie wyczołgiwać się spod regału, skomląc: „Nie zabijaj mnie, nie zabijaj...” do mężczyzny, którego aktualnie nie było już w lokalu.

Incydent w Växjö miał tak szybki przebieg, że nikt nie potrafił poświadczyć udziału jakiegokolwiek kampera. Wszystkie cztery osoby obecne w sklepie rozpoznały natomiast Andersa Mordercę. Kapitan Henriksson zapewniał każdego, kto tylko chciał słuchać, że w razie konieczności przeszedłby do ataku na napastnika, ale ten prawdopodobnie to przeczuł, dlatego skapitulował i szybko się oddalił, nic nie załatwiwszy, a jedynie pozostawiwszy wszystkie pieniądze na ladzie.

Klientka zaś, ta, która wylądowała pod regałem z porcelaną, nie mogła zostać przesłuchana ani przez policję, ani przez media. Była przekonana, że przeżyła próbę zabójstwa, którego zamierzał dokonać największy masowy morderca Szwecji. W konsekwencji znalazła się w szpitalu, wciąż nie mogąc odzyskać równowagi. „Złapcie tego potwora!” – zdążyła krzyknąć reporterowi „Smålandsposten”, który błąkał się po oddziale kobiecym, dopóki świadoma swojej odpowiedzialności pielęgniarka uprzejmie nie usunęła go za drzwi.

Ekspedientki z rękami w górze usłyszały po wstępnej rozmowie z policją, że nie wolno im wypowiadać się dla mediów ani dla nikogo innego. Takie polecenie przyszło z biura prasowego głównej siedziby Czerwonego Krzyża w Sztokholmie. Ktokolwiek chciałby się dowiedzieć, jak obie kobiety przetrwały tę sytuację, miał zadzwonić do pełniącego dyżur sekretarza prasowego, który w obecnej chwili znajdował się cztery tysiące siedemset kilometrów od miejsca zdarzenia, lecz był wyszkolony, by nie mówić niczego, co mogłoby zaszkodzić wizerunkowi Czerwonego Krzyża, a ponieważ jakiegokolwiek skojarzenie tej instytucji z mężczyzną nazywanym

Anderssem Mordercą narażało jej dobre imię na szwank, postanowił nie mówić nic. Owo nic mogłoby brzmieć tak:

Pytanie: Jak ekspedientki relacjonowały spotkanie z Anderssem Mordercą? Czy był niebezpieczny? Czy bardzo się przeraziły?

Odpowiedź: W obliczu wydarzeń tego rodzaju kierujemy nasze myśli ku setkom tysięcy ludzi na całym świecie, którzy potrzebują pomocy humanitarnej i otrzymują ją od Czerwonego Krzyża.

Jeśli chodzi o żołnierkę Armii Zbawienia, zeznań świadków było więcej i zawierały więcej szczegółów. Węzeł kolejowy Hässleholm przez wiele lat był znany głównie z tego, że dzięki niemu bardzo łatwo się stamtąd wydostać. Dlatego też obywatele, politycy i dziennikarze angażowali się wyjątkowo skwapliwie w relacjonowanie tego fantastycznego zdarzenia przed galerią handlową.

Świadkowie obecni wówczas na chodniku przed sklepem monopolowym chętnie wypowiadali się w mediach i bynajmniej nie bronili się przed przesłuchaniami przez policję. Pewna blogerka opublikowała wpis, w którym twierdziła, że prawdopodobnie zapobiegła masakrze, gdy niespodziewanie wyszła zza rogu i w ostatniej chwili spłoszyła sprawców. Gdy ta sama blogerka została wezwana na przesłuchanie w roli świadka, okazało się, że pewna jest jedynie tego, iż Anders Morderca i jego kompani zniknęli czerwonym volvo.

Najlepszym świadkiem był maniak kamperów, który przez przypadek stał tuż przy przedstawicielce Armii Zbawienia. Przekazał on informację, że kamper to elnagh duke 310 z 2008 roku, a za kierownicą siedziała kobieta. Nie potrafił jednak powiedzieć o niej nic więcej poza tym, że w najnowszym modelu do wyposażenia kierowcy należy poduszka powietrzna. Niezależnie od tego, ile pytań zadawali mu głodni informacji dziennikarze oraz nieco bardziej znużeni policyjni śledczy, nie dowiedzieli się o tym konkretnym kierowcy niczego więcej

ponad to, że „wyglądała jak przeciętna kobieta” oraz że felgi nie wiadomo dlaczego były nieoryginalne.

Przewodniczący władz gminy podjął inicjatywę mającą na celu utworzenie centrum kryzysowego w ratuszu. Każdy obywatel, który czuł się zagrożony w sposób pośredni lub bezpośredni spustoszeniem sianym przez Andersa Mordercę na terenie gminy, był tam mile widziany. Sam przewodniczący sprowadził do centrum dwóch lekarzy, jedną pielęgniarkę i jednego psychologa z kręgu swoich znajomych. Kiedy jednak nie zgłosił się ani jeden mieszkaniec, przewodniczący wsiadł do samochodu i w obawie przed politycznym fiaskiem pojechał po żołnierkę Armii Zbawienia. Zastał ją w domu, gdy przygotowywała sobie gotowane ziemniaki z marchewką i buraczkami i nie zamierzała się nigdzie wybierać. Jednakże biorąc pod uwagę wszystkie względy, jakie należało wziąć pod uwagę, akurat ten wzgląd na to nie zasługiwał.

I tak oto media mogły teraz donieść nie tylko o centrum kryzysowym w siedzibie gminy zorganizowanym z inicjatywy przewodniczącego, ale również o tym, że pozostająca w szoku żołnierka Armii Zbawienia otrzymała pomoc, by mogła wrócić do w miarę normalnego życia, oraz że wymieniony przewodniczący wprowadził zasadę poufności w kwestii informacji na temat liczby obywateli szukających opieki i wsparcia w centrum kryzysowym.

Prawda (że żołnierka nie była ani trochę w szoku, a tylko była głodna) nigdy nie wyszła na jaw.

## Rozdział 24

Trzeciego dnia sprawy zaczęły przyjmować inny obrót. Najpierw policja poinformowała, że dochodzenie przeciwko Johanowi Anderssonowi zostało umorzone. Darczyńca w sumie jednego miliona koron był co prawda znany z działalności przestępczej, odpokutował jednak swoje zbrodnie i nie ciążyły na nim żadne długi komornicze. Ponadto żadna osoba trzecia nie rościła pretensji do pieniędzy, a podarowanych banknotów nie dało się powiązać z wcześniej popełnionymi przestępstwami. Czerwony Krzyż i Armia Zbawienia odzyskały więc darowizny w wysokości odpowiednio czterystu siedemdziesięciu pięciu i pięciuset sześćdziesięciu tysięcy koron. Uznano, że morderca nie narusza prawa, rozdając pieniądze, komu chce.

Z niektórych wypowiedzi świadków wynikało oczywiście, że Johan Andersson zachowywał się groźnie, a przynajmniej miał groźny wzrok. Zaprzeczała temu stanowczo żołnierka Armii Zbawienia, która twierdziła, że Anders Morderca miał ładne oczy i że w jego piersi musi być szczerzłote serce. Słów „Spoczywaj w pokoju” wypowiedzianych na pożegnanie bynajmniej nie odebrała jako groźby. Prowadzący przesłuchanie bąknął pod nosem, że słusznie zrobiła, i zamknął sprawę.

– Ty też spoczywaj w pokoju – powiedział do teczek z materiałami, zanim umieścił ją w archiwum spraw zamkniętych, mieszczącym się w piwnicy komendy policji.

W ciągu tych samych trzech dni ktoś stworzył na Facebooku grupę wsparcia Andersa Mordercy. Po upływie doby liczyła ona dwunastu członków. Po dwóch dobach – sześćdziesiąt dziewięć tysięcy. A przed lunchem dnia trzeciego liczba członków

przekroczyła milion.

Większość społeczeństwa mniej więcej równolegle do relacji publikowanych w tabloidach „Expressen” i „Aftonbladet” zrozumiała, co tak naprawdę się wydarzyło. A mianowicie:

Pewien morderca spotkał na swojej drodze Jezusa i w następstwie tego spotkania ponaciągał ludzi z podziemnego świata na spore pieniądze, aby potem rozdać je potrzebującym. Niczym Robin Hood – doszedł nagle do wniosku cały naród (minus pewien hrabia, pewna hrabina i jeszcze kilku osobników z mrocznych nor Sztokholmu i jego najbliższych okolic). To cud boski! – uważała pewna liczba religijnych fanatyków, na tyle duża, że zamierzano stworzyć paralelny ruch na Facebooku o charakterze biblijnym.

– Uważam, że ten człowiek o zatrzważającym przydomku okazuje odwagę, siłę i ogromną wielkoduszność. Mam nadzieję, że w swych przyszłych działaniach obejmie specjalną myślą porzucone dzieci – wypowiedziała się Jej Królewska Mość podczas telewizyjnej gali transmitowanej na żywo.

– Nie wierzę, żeby to była prawda – rzucił recepcjonista, kiedy pastor opowiadała, że żona premiera zwróciła się do Andersa Mordercy, aby przesłał ponad pół miliona koron na rzecz Save the Children albo jej World Childhood Foundation.

– No widzisz, no widzisz – powiedział Anders Morderca do pastor. – Kto by pomyślał, że kiedyś będzie mówić do mnie sama królowa. Wyroki Pana są faktycznie nie... jak to było?

– ...zbadane – uzupełniła pastor. – Wsiadajcie, jedziemy stąd.

– Dokąd? – spytał recepcjonista.

– Nie wiem.

– Może z miłą chęcią przyjęliby nas na zamku – zastanawiał się głośno Anders Morderca. – Wolnych pokoi przecież im tam nie brakuje.



## Rozdział 25

Pastor skrzyła na inny, odpowiednio pusty parking na obrzeżach Borås, aby przedyskutować czekającą ich absolutnie niezbędną wymianę samochodu. Dzięki niej pastor i recepcjonista zyskają stuprocentową szansę, aby raz na zawsze pozbyć się niepożądanego części bagażu.

Ledwie zdążyli się zatrzymać, Anders Morderca otworzył drzwi kampera i wyskoczył na dwór.

– Ach – westchnął i przeciągnął się z lubością. – Nie wytrzymam, jeśli nie przejdę się po łonie natury stworzonej przez Pana!

Tak, powinien to zrobić. Jezus natychmiast mu przyklasnął, zasugerował ponadto, że ze względu na rześkie i paskudne powietrze chyba dobrze by było wziąć ze sobą coś na rozgrzewkę. Na przykład zdecydowanie za zimne pinot noir.

– Znikam na pół godziny. Albo na dłużej, jeśli znajdę po drodze borowika szlachetnego, *Boletus edulis*. Tak tylko do waszej wiadomości, jeśli mielibyście w tym czasie chęć na małe bara-bara – rzucił Anders Morderca, po czym wcisnął butelkę do tylnej kieszeni i ruszył.

Gdy zniknął z pola widzenia i słyszenia, pastor powiedziała do recepcjonisty:

– Kto go nauczył, jak jest borowik po łacinie?

– Nie ja, sam się dopiero dowiedziałem. Ale kto go nie nauczył, że w kwietniu nie da się go znaleźć?

Pastor milczała. Po chwili odparła:

– Nie wiem. Nic już nie wiem.

Pomysł był taki, aby przy pierwszej nadarzającej się okazji odseparować na stałe siebie i pieniądze od tego, który w tej chwili krążył po okolicy i szukał grzybów, choć było na nie co najmniej o cztery miesiące za wcześnie.

Do rozmowy pastor i recepcjonisty wkradł się cień znużenia. Albo rezygnacji. Z domieszką odrobiny...

No właśnie, czego?

Nadziei?

Czy rzeczywiście powinni prysnąć teraz, i to tak szybko, jak kamper pozwoli, skoro w krótkim czasie zmieniło się tyle parametrów? Choćby to, że zaledwie w ciągu doby czy dwóch Anders Morderca przeobraził się z najmniej w najbardziej pożądaną osobę w Szwecji.

To wymagało nowej analizy sytuacji. Bo oto nagle krążyli po okolicy w towarzystwie mężczyzny o blasku dorównującym blaskowi Elvsa Presleya.

– Tyle że Elvis nie żyje – zauważył recepcjonista.

– Nieraz myślałam sobie, że nic by się nie stało, gdyby Anders Morderca dołączył do niego wraz z większą częścią ludzkości, ale teraz jest, jak jest – stwierdziła pastor.

Niebezpieczeństwo wynikające z trzymywania się blisko Andersa Mordercy było oczywiste. Ale rodziło też możliwości. Ktoś, kto lubi pieniądze, nie wepchnie tak po prostu nowego Elvsa do najbliższego rowu.

– Poczekamy na grzybiarza, który krąży po lesie, a potem zaczniemy od tego, że pojedziemy do Borås kupić większego kampera, kompletnie niepodobnego do tego.

Pastor przystała na propozycję. Logistyka była specjalnością raczej Pera Perssona niż jej. Po chwili jednak zmieniła zdanie:

– Albo zaczniemy od tego, że zrobimy to, co sugerował.

– Kto?

– Grzybiarz.

– Masz na myśli... bara-bara?

Tak, właśnie to miała na myśli.

## Rozdział 26

Pastor i recepcjonista, trzymając się pod rękę, weszli do największego bądź jedyne go w Borås salonu sprzedającego kampery. Gdy stanęli przed sprzedawcą, zwracali się do siebie „kochanie” albo „najdroższy” i „najdroższa”, sprawiając raczej autentyczne wrażenie. W tym czasie Anders Morderca ukrywał się dwie przecznice dalej w samochodzie, który już się prawie wysłużył. Bez grzybów, ale z Biblią i świeżą butelką krwi Pana do towarzystwa.

Pastor i recepcjonista zdecydowali się na hobby 770 sphinx. Między innymi ze względu na możliwość *chambre séparée*.

Cena, sześćset sześćdziesiąt tysięcy koron, nie stanowiła problemu. Albo jednak – stanowiła.

– Gotówka? – zdziwił się sprzedawca, patrząc podejrzliwie.

W tego rodzaju sytuacjach pastor była niezastąpiona. Powoli rozluźniła szalik, który do tej pory skrywał jej koloratkę. A następnie spytała, co złego jest w gotówce? Przecież nie dalej jak dzień wcześniej policja musiała oddać z powrotem wszystko, co niejaki Anders Morderca – niech Bóg go wynagrodzi! – podarował na rzecz Czerwonego Krzyża i Armii Zbawienia.

Sprzedawca oczywiście był w pełni zorientowany w rozwoju wydarzeń dotyczących narodowej wiadomości numer jeden i przyznał, że pastor się nie myli. Ale sześćset sześćdziesiąt tysięcy?

Jeśli suma wydawała się uciążliwie wysoka, oczywiście mogą porozumieć się co do niższej. Różnica zostałaby w takim przypadku w całości przeznaczona na międzynarodową aktywność Kościoła.

– Dla którego, nawiasem mówiąc, gotówka nie stanowi specjalnego kłopotu. Ale jeśli pan nie chce sprzedać samochodu i wesprzeć naszej walki z głodem, wobec tego

pójdziemy gdzie indziej.

Pastor skinęła głową na pożegnanie, ujęła recepcjonistę pod ramię i ruszyła do wyjścia.

Dziesięć minut później wszystkie formalności papierkowe były załatwione. Pastor i recepcjonista zajęli miejsca w nowym kamperze i odjechali. Dopiero wtedy Per Persson mógł spytać:

– Naszej walki z głodem?

– Improvizowałam. Swoją drogą zaczyna mi burczeć w żołądku. Może by tak zahaczyć o McDonald's drive thru?

\* \* \*

Wszyscy (a takich było wielu!), którzy marzyli o tym, aby natknąć się gdzieś na nowego narodowego idola, czyli na Andersa Mordercę, za każdym razem wyteżali wzrok, gdy tylko zauważyli przejeżdżającego kampera. Samozwańczy śledczy o bardziej profesjonalnym podejściu zadawali pytania: Czy to był elnagh duke 310 z 2008, który właśnie mignął? A co z felgami? Były oryginalne czy nie?

Ale dla niefrasobliwych amatorów kamper to po prostu kamper. Mimo zmiany samochodu pastor, recepcjonista i bohater narodowy nieustannie ukazywali się oczom współobywateli. Czy to nie Anders Morderca był na przednim siedzeniu? Czy za kierownicą nie siedziała kobieta (która według świadka wyglądała jak przeciętna kobieta)?

Rozwiązanie mogło być tylko jedno: kampera hrabiego musieli nie tylko porzucić, ale w dodatku zrobić to z wielkim przytupem. I na wszelki wypadek odpowiednio daleko od Borås.

Po wstąpieniu do fast foodu, a następnie po bezproblemowym krótkim przystanku przy sklepie monopolowym i kolejnym na stacji benzynowej, aby i ludzie, i samochód mogli zatankować, trasa poprowadziła ich dalej na północny wschód. Plan na następne dni był ustalony.

Po wypowiedzi królowej Anders Morderca nadawał bez przerwy, że koniecznie trzeba podarować jeszcze pół miliona

w imię Jezusa. Tym razem z przeznaczeniem na dzieci! Pastor i recepcjonista w końcu się zgodzili. Nie tyle ze względu na dzieci, ile raczej z chęci wywołania odpowiedniego hałasu, gdy już odstawią kampera hrabiego. Miało się to stać przed główną siedzibą Save the Children w Sundbybergu, na północ od Sztokholmu.

Wreszcie Anders Morderca powiedział, że kapuje, jaki jest plan. Jakiś czas później pastor i recepcjonista zaczęli mu wierzyć. Pozostawało tylko tam dojechać.

Recepcjonista za kierownicą starego samochodu, pastor w nowym z Andersem Mordercą ukrytym za firankami w towarzystwie Biblii.

Mniej więcej w połowie drogi pojazdy zatrzymały się na nocny postój. Anders Morderca chrapał w jednym, pastor i recepcjonista robili to samo w drugim, ale najpierw... no cóż, warto było się poobściskować, skoro nadarzyła się okazja.

\* \* \*

Trzeba oddać Andersowi Mordercy, że spędzał całkiem sporo czasu nad Biblią, kartkując ją pilnie. Skupił się na zbieraniu cytatów z przykładami hojności. To takie miłe uczucie, kiedy człowiek może dawać. A teraz taką samą przyjemność sprawiała mu wdzięczność, jaką obdarzano go wylewnie za pośrednictwem gazet i mediów społecznościowych.

Po nocy nastał poranek i pora była ruszać dalej, w kierunku Sundbybergu. Gdy pastor wróciła do samochodu, w którym został Anders Morderca, stwierdziła, że ten już nie śpi, tylko siedzi z nosem utkwionym w Drugiej Księdze Mojżeszowej.

– Dzień dobry, Mini-Jezusie, pamiętasz, jaki mamy plan?

– I pomyśleć, że jeszcze kilka tygodni temu bym ci za coś takiego porządnie wygarbował skórę – odpowiedział Anders Morderca. – Nie, nie zapomniałem. Ale list do Save the Children chcę ułożyć sam.

– No to bierz się do roboty, bo zostało nam już tylko parę godzin. To, co czytasz, ma kilka tysięcy lat i raczej się nie zmieni.

Pastor złapała się na tym, że zupełnie niepotrzebnie się

irytuje. Nie ma sensu drażnić nawróconego. Tylko sęk w tym, że... nie powinno tak być. Morderca nie powinien być jakkolwiek częścią życia jej i recepcjonisty... i nie powinni ściągać na siebie razem oczu całej Szwecji i części świata.

Ale stało się, jak się stało. I należało się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Trzeba przyznać, że tkwiła w tym jednak jakaś siła, że morderca stał się supergwiazdą i najbardziej podziwianym człowiekiem w Skandynawii. Siła, która mogła prowadzić do czegoś dobrego, to znaczy do pieniędzy, we wspólnej małej wojnie recepcjonisty i pastor przeciwko ludzkości. Czy jakkolwiek inaczej nazwać by znój życia. A w każdej wojnie (nawet w tej prowadzonej przeciwko egzystencji jako takiej) potrzebni są żołnierze, z żołnierzy zaś jest największy pożytek, jeśli odpowiednio dba się o ich dobry humor.

– Przepraszam – powiedziała pastor do Andersa Mordercy, który był już zajęty pisaniem swojego listu.

– Za co? – spytał, nie podnosząc wzroku.

– Że byłam uszczypliwa – odrzekła pastor.

– A byłeś? No, list jest już gotowy. Chcesz posłuchać?

*„Hej, Save the Children. W imieniu Jezusa chcę wam podarować pięćset tysięcy koron, żebyście w przyszłości nie musieli się tak lękać. Alleluja! Druga Księga Mojżeszowa 21,2.*

*Pozdrowienia*

*Anders Morderca*

*PS. A teraz wsiadam do swojego czerwonego volvo i ruszam dalej”.*

Pastor sięgnęła po jego Biblię, otworzyła na Drugiej Księdze Mojżeszowej w miejscu, które wskazał w liście, chcąc sprawdzić, co chciał powiedzieć, cytując: „Jeśli kupisz niewolnika – Hebrajczyka, będzie ci służył sześć lat, w siódmym roku zwolnisz go bez wykupu”.

Anders Morderca wyjaśnił, że zwrócił uwagę na to uwolnienie bez wykupu. Czy pastor nie uważa, że jest w tym niemała hojność?

- Po sześciu latach niewolniczej służby?
- Tak.
- Nie.

List był więcej niż nieźle pokręcony, ale pastor nie chciała się sprzeczać. Ten dopisek o volvo, dodał Anders Morderca, wstawił po to, żeby ludzie przestali wreszcie wypatrywać go w kamperach.

Pastor powiedziała, że to dla niej jasne.

\* \* \*

Dotarli na miejsce. Pastor zaparkowała kampera hrabiego w poprzek ulicy, częściowo na chodniku, tuż przed wejściem do Save the Children przy Landsvägen 39 w Sundbybergu. Na siedzeniu kierowcy leżała paczka z napisem: „Save the Children”. W paczce był list od Andersa Mordercy oraz czterysta osiemdziesiąt tysięcy koron (ponieważ darczyńca pomylił się w liczeniu).

Podczas gdy pastor i recepcjonista czekali za rogiem w nowym kamperze, który w żadnym razie nie miał być już kojarzony z Andersem Mordercą, on sam wszedł do budynku, wsiadł do windy, a następnie został uprzejmie powitany przez kobietę, która nie od razu go rozpoznała.

– Niech będzie pochwalony – rzekł. – Nazywają mnie Anders Morderca, chociaż już nie morduję i nie wymyślam żadnych innych głupot, w każdym razie nie celowo. Zamiast tego rozdaję w imieniu Jezusa pieniądze na dobre rzeczy. Save the Children to według mnie dobra rzecz. Chcę wam dać pół miliona... właściwie to chciałbym więcej, ale na razie niech będzie tylko pół, w końcu to też nie byle gówno. Przepraszam za język, ale kiedy się siedzi za kratkami, człowiek uczy się mnóstwa bardzo brzydkich wyrazów. Na czym to ja stanąłem? Aha, no więc te pieniądze leżą w paczce w moim kamperze, a kamper stoi na ulicy przed wejściem. To znaczy, dokładnie rzecz biorąc, to nie jest mój kamper, jego właścicielem jest hrabia, nie, nie, nie taki prawdziwy, tylko tak go nazywają,

i bardzo gorąco bym panią prosił, żeby oddała mu pani ten samochód, tylko najpierw niech zabierze pani z niego pieniądze. No tak, to byłoby na tyle, pozwoli pani, że w imieniu Jezusa życzę jeszcze pani błogosławionego dnia... Hosanna!

Znalazłszy się z powrotem na ulicy, morderca skręcił za róg, a gdy półtorej godziny później pies policyjny szkolony do wykrywania ładunków wybuchowych nie wyczuł niczego niebezpiecznego w paczce pozostawionej w białym kamperze przed wejściem do budynku fundacji, Anders Morderca był już daleko.

W czasie gdy pies wytrwale pracował na dole, policjanci usiłowali ostrożnie wydobyć z oszołomionej kobiety w recepcji, co poza hosanną jeszcze powiedział darczyńca.

\* \* \*

„Anders Morderca znowu uderza!” – brzmiał jeden z wielu nagłówków, nie budząc u nikogo wątpliwości co do jego znaczenia. Wszyscy byli wtajemniczeni, wszyscy wiedzieli, że na wolności jest morderca i że ten morderca rozdaje pieniądze potrzebującym, zamiast ich zabijać.

Kolejny sukces piarowy, z niewielką rysą polegającą na tym, że Save the Children nie dostało obiecanych pięciuset tysięcy, a tylko czterysta osiemdziesiąt. Mimo to i tak się cieszone.

Podchody policji wobec kobiety z recepcji odniosły wreszcie skutek i po kilku godzinach przypomniała sobie wszystko, co usłyszała od Andersa Mordercy. Włącznie z tym, że kamper należy do hrabiego, który nie jest hrabią. Ta informacja znalazła się także w gazetach i doprowadziła nie tylko do tego, że pojazd został odtransportowany na miejsce (formalnie pochodził z jednego z punktów sprzedaży hrabiny), ale spowodowała również, że umiejący czytać urzędnik urzędu skarbowego mógł wznowić zawieszony postępowanie skarbowe, odszukać hrabiego i wymierzyć mu domiar wynoszący milion sześćdziesiąt cztery tysiące koron.



– Mówiliśmy, zdaje się, że będziemy go kroić powoli od dołu do góry, tak? – rzucił hrabia.

– Tak – potwierdziła hrabina. – Wyjątkowo powoli.

\* \* \*

Biorąc pod uwagę okoliczności, pastor była zadowolona z rozwoju sytuacji. Podczas gdy ona, recepcjonista i nowy Elvis dalej podróżowali kamperem (zupełnie innej marki i klasy), wszyscy wielbiciele bohatera wypatrywali teraz czerwonego volvo. Jedna z blogerek z Hässleholm kompletnie straciła rozum i stanąwszy przed komendą policji, krzychała: „Czerwone volvo! Widziałam czerwone volvo!”, dopóki nie została przepędzona za pomocą psa.

Zdaniem pastor mieli teraz dwie możliwości. O jednej mówili już wcześniej: odseparować siebie i walizki od mordercy i się ulotnić. To byłaby najspokojniejsza opcja. Druga to odcinanie kuponów od nadzwyczajnej popularności mordercy. Pastor próbowała właśnie wymyślić, jak by to mogło wyglądać.

– Założylibyśmy kościół? Pod wezwaniem Andersa Mordercy? – zastanawiał się recepcjonista. – Kościół Andersa Mordercy?

– Dlaczego nie. Tylko usunęlibyśmy chyba drugą część z nazwy. To mogłoby wysyłać złe sygnały – powiedziała pastor.

– Ale po co zakładać kościół? Myślałem, że twoje życie, tak samo jak moje, zmierza do tego, by gardzić, jak tylko się da, wszystkim, czym tylko się da, włącznie z Bogiem, Jezusem i całą resztą.

Pastor wymamrotała, że trudno jest nie szanować czegoś, co nie istnieje, ale pominąwszy ten detal, recepcjonista ma całkowitą rację. – Ale tu chodzi o działalność gospodarczą – rzekła. – Słyszałeś może określenie „zbiórka na tacę”? Elvis powrócił. A on uwielbia rozdawać pieniądze. Kto nie chciałby naśladować Elvisa?

– Ja?

– Kto jeszcze?

– Ty?

– I poza tym?

– Niewielu – przyznał recepcjonista.

## Rozdział 27

Aby założyć kościół, nie wystarczy tylko kupić lokal i otworzyć drzwi. Nie w Szwecji. Mieszkańcy kraju, w którym nie było wojny przez ponad dwieście lat, mieli dosyć czasu, aby dokładnie uregulować większość spraw pokojowej natury. Powstały na przykład jednoznaczne przepisy określające, co ma zrobić ktoś, kto doznał boskiego objawienia i chce się nim dzielić z innymi w zorganizowanej formie.

Pastor wiedziała, że istnieje odpowiedni urząd, który rozpatruje wnioski w sprawie zakładania wspólnot wyznaniowych. Ponieważ zaś ona, recepcjonista i potencjalny przywódca religijny nie mieli innego adresu poza samochodem, pastor postanowiła osobiście udać się do wspomnianego urzędu przy Birger Jarlsgatan w centrum Sztokholmu.

Powiedziała dzień dobry i oznajmiła, że chciałyby utworzyć nową wspólnotę, ponieważ ujrzała światło.

Samodzielny urzędnik, mężczyzna w zaawansowanym wieku średnim, w ciągu osiemnastu lat nieprzerwanie na tym samym stanowisku pracy miał do czynienia z wieloma takimi, którzy ujrzeli światło, ale nigdy dotąd żaden petent nie odwiedził go we własnej osobie.

– Rozumiem – rzekł. – Wystarczy tylko wypełnić kilka formularzy w odpowiedni sposób. Na jaki adres mam je wysłać?

– Wysłać? – zdziwiła się Johanna Kjellander. – Przecież stoję tu wśród was, jak mówi Pan w Trzeciej Księdze Mojżeszowej.

Tak się składało, że urzędnik był organistą w Kościele szwedzkim i miał dobrą pamięć. Dlatego niewiele brakowało, by powiedział, że ta sama księga głosi, iż tego, kto nie będzie posłuszny prawom Pana, dotknie obłąd, choroba, gorączka i coś tam jeszcze. Ślepotą, o ile sobie dobrze przypominał.

Urzędnik miał wszakże kłopot, ponieważ Pan nie ustanowił,

że niezbędne blankiety trzeba wysłać pocztą, a skoro po raz pierwszy zdarzyło się tak, że naprzeciw niego stała petentka z krwi i kości, chyba rzeczywiście mógł przekazać je do rąk własnych.

Podczas krótkiej chwili namysłu urzędnika pastor (jak zawsze szybka) zdążyła zmienić kierunek ataku:

– Zapomniałam się przedstawić – rzekła. – Nazywam się Johanna Kjellander i jestem dawnym proboszczem zboru. W swoim wcześniejszym wcieleniu wierzyłam, że pełnię dla członków mego zboru rolę pomostu między sferą ziemską a niebieską, wciąż jednak czułam swoją niedoskonałość. A teraz wreszcie odnalazłam ów most. Naprawdę!

Urzędnika niełatwo było poruszyć. Mimo że był to jego premierowy kontakt bezpośredni z petentem, w ciągu minionych lat doświadczył już niemal wszystkiego, na przykład otrzymał wniosek od grupy, która chciała zarejestrować wspólnotę upatrującą źródło wszelkiej boskości w pewnym wiatraku w północno-zachodnim Värmlandzie. Co prawda dwóch ostatnich członków owej wspólnoty zamarzło tam zimą na śmierć i nie pomogła im zawartość wiatraka.

Problem z zamarzniętymi (dopóki jeszcze nie zamarzli) polegał na tym, że mieli statut, kierownictwo i wyraźny cel swoich zgromadzeń – była nim wspólna modlitwa i medytacja przed wiatrakiem w każdą niedzielę o godzinie piętnastej. Nie występowała więc żadna przesłanka, która uzasadniałaby odrzucenie prośby wspólnoty. Medytowanie co niedziela przy dwunasto-, a nawet osiemnastostopniowym mrozie w półorametrowym śniegu było wystarczająco religijne.

Urzędnik kolegium uznał, że wewnętrzne regulacje pozwalają mu nie tylko wręczyć formularze, które zdążył już wyjąć, ale również być pomocnym przy kupnie.

Tak więc wypełnił za nią proboszcz wszystko, co należało wypełnić, zadał wszystkie wymagane pytania i dopilnował, aby uzyskać właściwe odpowiedzi. Jeśli chodzi o konkretną nazwę wspólnoty wyznaniowej, poinformował, co należy w niej uwzględnić. Musi ona mianowicie wyrażać odrębność danej wspólnoty od innych i nie może naruszać dobrych obyczajów

ani powszechnego porządku.

– Biorąc to pod uwagę, jak zamierza pani nazwać swoją wspólnotę?

– Kościół Andersa. To nasz duchowy przywódca.

– Aha, rozumiem. A jak brzmi jego nazwisko? – spytał w roztargnieniu urzędnik.

– On nie ma na imię Anders, tylko Johan. Johan Andersson.

Urzędnik podniósł wzrok znad blankietów. Każdego dnia w drodze z pracy do domu czytał wieczorną gazetę, co skłoniło go do zadania spontanicznego (i nieco nieprofesjonalnego) pytania:

– Anders Morderca?

– Bywa tak nazywany w niektórych kontekstach. Ukochane dziecko ma wiele imion.

Urzędnik odchrząknął, przeprosił za poufalskość, po czym skinąwszy głową, dodał, że to w istocie bardzo trafna obserwacja, iż ukochane dziecko ma wiele imion i tak dalej. Następnie poinformował, że założenie Kościoła Andersa będzie kosztować pięćset koron i że preferowałby wpłatę na konto bankowe.

Pastor wcisnęła mu pięćsetkę do jednej ręki, z drugiej wyrwała podstemplowane formularze, podziękowała za miłą obsługę i wróciła do kampera.

– No, duszpasterzu Andersie! – rzuciła, znalazłszy się w środku. – Potrzebujesz nowego ubrania.

– I kościoła – dodał recepcjonista.

– Ale najpierw może trochę krwi Pana? – wtrącił duszpasterz.

## Rozdział 28

Było mnóstwo do zrobienia w wyjątkowo krótkim czasie.

Pastor przypadło w udziale skłecenie sugestywnego duchowego przesłania i przygotowanie duszpasterza Andersa do jego głoszenia. Uważała, że to nie będzie łatwe, i podzieliła się tą refleksją z recepcjonistą. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć jej obaw, bo przecież czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, co będzie mówił ich supercukiereczek? Byle brzmiało w miarę religijnie, a za każdym razem, kiedy morderca otwierał gębę, właśnie tak to brzmiało. Elvis pragnie dzielić się pieniędzmi i wszyscy będą chcieli robić to co Elvis. Czy nie tak wyglądało równanie?

Owszem, zamysł był taki, aby słowa Andersa Mordercy wypełniły na nowo walizki żółtą i czerwoną, dobrze by też było, aby do kolekcji dołączyły kolejne, wszystko jedno w jakim kolorze. Lecz dla osiągnięcia takiego celu nie wystarczy jedno kazanie – potrzebna jest na pozór religijna przejmująca idea głoszona tydzień po tygodniu. Stanie na ambonie i powtarzanie „hosanna” z pociąganiem na zmianę wina to za mało. Poza tym cały projekt nie może być zbyt spersonifikowany.

– Co masz na myśli? Kościół Andersa bez Andersa?

Mniej więcej.

– Chodzi ci o hrabiego i hrabinę?

– No tak. I co najmniej o dwudziestkę innych gangsterów o zróżnicowanym potencjale. Trudno przewidzieć, czy miną trzy minuty czy trzy miesiące, nim go dopadną. A gdy to nastąpi, będzie koniec z jego kazaniami.

– I wtedy...?

– Działalność musi być prowadzona dalej, z jej założycielem we wdzięcznej pamięci. Gdy duszpasterza Andersa zabraknie wśród nas, musi się znaleźć odpowiednio wprowadzony głos zastępczy. Ktoś, kto wraz ze wszystkimi będzie opłakiwał

i żałował tak tragicznie zgasłego wszechojca naszej trzody. I po jego śmierci nie przestanie zbierać pieniędzy ku jego czci.

– Mówisz o sobie, tak? – odezwał się recepcjonista, który zaczął już rozumieć.

Trudność polegała na tym, jakie przesłanie pastor będzie zmuszona odziedziczyć w dniu, gdy duszpasterz Anders opuści ziemski padół, by udać się w dalszą wędrówkę ku górze lub ku dołowi. Niecodzienny los Johanny Kjellander sprawił, że byłoby jej nadzwyczaj trudno stanąć znowu na ambonie i ponownie udawać, że kontynuuje tradycję swojej rodziny. Wszystko, byle nie to.

Recepcjonista domyślał się, że nie powinien mieszać się do detali *religijnych* Kościoła, który właśnie założyli. Rozumiał także dylemat swojej pastor, czuł się jednak zmuszony przypomnieć, że skoro u jednego boku Andersa Mordercy zdaje się kroczyć Jezus, to może nie byłoby właściwe stawiać u jego drugiego boku kogokolwiek.

Pastor zdawała sobie sprawę, że Jezus musi pozostać obecny, niezależnie od ogólnego kontekstu. To samo dotyczyło komunii czy stosownej zawartości alkoholu we krwi głównego kaznodziei.

Recepcjonista przytulił ją na pocieszenie, mówiąc, że z pewnością znajdzie równowagę. Może z Jezusem, ale bez Ewangelii?

– Hm – mruknęła pastor w zamyśleniu. – Kto szuka, ten znajduje. Mateusz 7,8.

Na samym szczycie listy tematów do rozważenia przez recepcjonistę już od dawna znajdowała się ochrona osobista. Obawy pastor kazały mu przeanalizować tę kwestię jeszcze raz. Prawda była taka, że realizując swój plan, odsłonią nie tylko Andersa Mordercę, ale także siebie przed osobnikami, którzy pozbawiliby ich życia chętniej niż kogokolwiek innego.

Likwidacja duszpasterza Kościoła Andersa, podczas gdy

będzie głosił pokój i miłość, nie byłaby niczym nadzwyczajnym. Przecież pastor już wzięła to pod uwagę, uwzględniając niekorzystne skutki finansowe takiego obrotu sprawy. Lecz wraz z odsłonięciem najnowszej koncepcji oni dwoje też będą musieli wyjść z cienia, nie mając jakiegokolwiek gwarancji przeżycia. Jeżeli zginą wszyscy troje, wówczas nie będzie najmniejszej przesady w twierdzeniu, że biznes straci na opłacalności. Aby zapobiec takiemu rozwojowi wypadków, z całą pewnością nie wystarczy wysłać kartki z przeprosinami do hrabiów, hrabin i innych, których oszukali.

– Pewnie myślisz o ochronie – powiedziała pastor.

– *Myślałem* o ochronie – odparł recepcjonista. – Teraz myślę o wzmocnionej ochronie.

Pastor pochwaliła go za to i życzyła powodzenia w pracy nad zapewnieniem im długiego i – najlepiej – szczęśliwego życia. Nawiasem mówiąc, mogło ono obejmować także Andersa Mordercę, dopóki takie rozwiązanie miało finansową wyższość.

– Ale teraz muszę cię przeprosić. Czeka mnie wymyślenie religii – z Jezusem, ale raczej bez Boga – rzekła z uśmiechem, po czym pocałowała swojego recepcjonistę w policzek.

## Rozdział 29

Ochroniarze, odpowiedni lokal, założenie rachunku bankowego, telefonu, poczty elektronicznej... Za wszystko odpowiadał recepcjonista. Jako szef marketingu zastanawiał się też nad Facebookiem, Twitterem, Instagramem.

Facebook nie należał do tej pory do jego faworytów. Rzecz jasna miał na nim konto, ale tylko jednego znajomego, którym była mama w Islandii, a ona jakiś czas temu przestała odpowiadać na posty.

Syn nie mógł wiedzieć, że się przeniosła i wylądowała w jakimś baraku u podnóża Vatnajökull, największego lodowca w Europie. Przeprowadziła się dlatego, że jej mąż, bankowiec, był całkowicie spalony w Reykjavíku i z tego powodu udał się na koniec świata wraz ze swą wciąż dosyć pociągającą małżonką (gdyby tylko bez przerwy nie była taka kwaśna). Według męża byłoby najlepiej, gdyby tam zostali, dopóki sytuacja w Reykjavíku, Londynie i prawie wszędzie się nie uspokoi. Chodziło o jakiś termin przedawnienia czy coś takiego; wszystko miało być dobrze, tylko muszą minąć trzy lata.

– Trzy lata? – powtórzyła mama recepcjonisty.

– Tak, albo pięć. Sytuacja prawna jest niejednoznaczna.

Mama recepcjonisty zadawała sobie pytanie, co najlepszego zrobiła ze swoim życiem. „Sprowadziłam się do jakiegoś baraku pod lodowcem na wyspie, gdzie nikt nie rozumie, co do niego mówię. Czy jeszcze kiedykolwiek spotkam kogokolwiek, z kim będę mogła porozmawiać?! Boże, czemu mi to czynisz?”.

Nie wiadomo, czy to Bóg odpowiedział, ale po pełnym desperacji pytaniu kobiety nastąpił głuchy, silny pomruk. Trzęsienie ziemi. Pod samym lodowcem.

– Obawiam się, że to Bárðarbunga się budzi – wyjaśnił małżonek.

– Bardar co? – spytała kobieta, nie mając pewności, czy



naprawdę chce wiedzieć.

– Wulkan. Leży czterysta metrów pod lodem. Był nieczynny przez setki lat, zdaje się, że odpoczął...

Ponieważ nawet bez wybuchu wulkanu w baraku mamy recepcjonisty i tak nie działał żaden internet, syn nie miał kontaktu ze swoim jedynym znajomym z Facebooka, a tym samym ograniczone doświadczenie, jak w tego rodzaju mediach rozpowszechnia się informacje i temu podobne. Szybko jednak odkrył, że ma talent:

### Kościół Andersa

Bardziej błogosławioną rzeczą jest dawać, aniżeli brać.

Dobre ogłoszenie, sam musiał przyznać. Do tego zdjęcie Andersa Mordercy z Biblią i iPadem w rękach.

– A po co mi ten komputer? – zaprotestował morderca, gdy go fotografowano.

– To nie jest komputer, tylko iPad. Trzymasz go po to, żeby starzy przekonali się do nowego. Nasze przesłanie jest dla wszystkich.

– A to tutaj to co niby ma znaczyć?

– Że lepiej jest dawać, niż brać.

– To prawda, to prawda – zgodził się Anders Morderca.

– Niekoniecznie, ale okej – podsumował recepcjonista.

Gdy tylko pastor skleciła religijne przesłanie, które miało być głoszone, recepcjonista mógł wreszcie doprowadzić na Facebooku wszystko do końca. Ale nie podobał mu się znaczek lajkowania, bo dzięki niemu ludzie mogli wyłącznie podnieść kciuk, zamiast wysłać sto koron. Albo chociaż dwadzieścia.

Drugi kłopot miał z lokalem. Szukał hangaru, stodoły, magazynu czy czegoś w tym rodzaju, kiedy nieoczekiwanie doszedł do wniosku, że niepotrzebnie zawraca sobie gitarę.

Wystarczy kupić kościół.

Istniały czasy, że w Szwecji wszechwładny był państwowy Kościół ewangelicko-luterański. Nie wolno było wierzyć w nic innego, nie wolno było nie wierzyć w nic w ogóle i nie wolno było wierzyć we właściwego Boga w niewłaściwy sposób.

Choć w osiemnastym wieku Kościół przeżywał rozkwit, znalazł się jednak w ogniu krytyki pietystów, którzy zainspirowani odrażającą zagranicą uważali, że w religijności powinno być nieco uduchowienia, i oczekiwali od Kościoła czegoś więcej poza luterańską kanciastością.

Uduchowienia? Aby zahamować ten nurt, Kościół państwowy kazał więzić i osądzać takich, którzy myśleli właściwie, ale błędnie. Większość z nich się ukorzyła i poprosiła o wybaczenie, okazano im więc łaskę i deportowano z kraju. Niejeden wszakże trwał przy swoich poglądach. Najbardziej uparty nazywał się Thomas Leopold. Zamiast się posłusznie podporządkować, odmówił modlitwę za sędziego na sali sądowej, rozdrażniając go do tego stopnia, że został skazany na siedem lat w twierdzy Bohus. Gdy pietysta Leopold mimo to się nie ugiął, uzupełniono karę pięcioma latami w twierdzy w Kalmarze, a potem równie długim uwięzieniem w Danviken.

Można by sądzić, że po siedemnastu latach Leopold przestał już być tak hardy.

Przeciwnie.

To był dopiero początek. Zesłano go z powrotem do Bohus, wtrącono do celi, w której kiedyś zaczęła się jego więzienna podróż, i wyrzucono klucz.

Minęło dwadzieścia sześć lat, zanim Thomas Leopold zdecydował się w końcu umrzeć, w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. To smutna historia, ukazująca jednak nieugiętość Kościoła państwowego. Ład i porządek, nabożeństwo w niedziale.

Tymczasem surowe osiemnaste stulecie przeszło w zdecydowanie łagodniejsze dziewiętnaste. Wielu kościołom niezależnym pozwolono działać jawnie, nie tylko w ukryciu. A potem następowały katastrofa za katastrofą: w 1951 roku

ustanowiono prawo do wolności religijnej, a pół wieku później wprowadzono rozdział Kościoła od państwa.

Tak więc był czas, kiedy można było przesiedzieć czterdzieści trzy lata (póki się nie umarło i nie opuściło ziemskiego padole) za to, że nie wierzyło się we właściwy sposób. Zaledwie dwieście pięćdziesiąt lat później co miesiąc pięć tysięcy Szwedów opuszcza Kościół szwedzki, nie dostając za karę nawet mandatu. Odchodzą, gdzie chcą, albo donikąd; jest to uregulowane prawnie. Ci, którzy zostali, nie uczęszczają na niedzielne nabożeństwa nie dlatego, że wierzą w co innego, tylko po prostu, jak większość:

Nie chodzą i już.

Zbory łączyły się ze sobą, w miarę jak się kurczyły. Wreszcie, gdy przyszedł wiek dwudziesty pierwszy, w dumnym Królestwie Szwecji kościoły stały puste i niszczały, jeśli nie przeznaczono dużych pieniędzy, aby utrzymać je w znośnym stanie.

Kościółowi szwedzkiemu z pewnością nie brakowało dużych pieniędzy. Jego łączny kapitał wynosił około siedmiu miliardów koron. Ale roczny dochód to tylko śmieszne trzy procent, ponieważ od dosyć dawna pryncypialnie (aczkolwiek trochę niechętnie) zrezygnowano z inwestycji w ropę, tytoń, alkohol, bombowce i czołgi. Część z tych trzech procent inwestowano we własną działalność, jednak tylko po to, by nie chlapało na kościelny, jeśli pada na księdza.

Lub w wolnym tłumaczeniu: poszczególne zbory często ledwie zipsały. Jeśli zatem pojawił się ktoś i zaproponował trzy miliony koron w gotówce wciśniętej do reklamówki w zamian za przejęcie budynku kościelnego, który stał zabity deskami i tylko kosztował krocie – szybko znajdował posłuchanie.

– Trzy miliony? – powtórzył proboszcz Granlund, wyobrażając sobie natychmiast, ile wspaniałych rzeczy mógłby zrobić za te pieniądze w głównym kościele zboru, który też zaczął już podupadać.

Cenę ustalono co prawda na cztery dziewięćset, ale

nieruchomość była wystawiona na sprzedaż już od ponad dwóch lat i do tej pory nie znalazła nabywcy.

– Czy dobrze słyszałem, chodzi o Kościół Andersa? – upewnił się proboszcz Granlund.

– Tak, stworzony przez głównego duszpasterza Johana Anderssona. To człowiek o niezwyklej drodze życia. Widomy dowód cudu Pańskiego – powiedział recepcjonista, myśląc jednocześnie, że jeśli Bóg mimo wszystko istnieje, to pewnie zaraz ześle grom prosto na jego głowę.

– Owszem, owszem, czytałem w gazetach – przyznał proboszcz.

Dostrzegął zalety propozycji przejęcia kościoła przez inną wspólnotę chrześcijańską. Była to budowla święta i w takim wypadku mogłaby nią pozostać.

Proboszcz Granlund otrzymał od swojego zboru pełną legitymację do prowadzenia negocjacji, podjął zatem decyzję, że zgodzi się na trzy miliony. Budynek był znaczących rozmiarów, jego najlepszy czas minął mniej więcej sto lat temu, poza tym leżał zbyt blisko drogi międzynarodowej numer osiemnaście, a otaczał go cmentarz z rozrzuconymi tu i ówdzie nagrobkami liczącymi pięćdziesiąt lat i więcej. Proboszcz uważał, że to wielkie szczęście, że już od dawna nie chowano tu nikogo. Bo kto chciałby trafić na miejsce wiecznego spoczynku tuż przy jednej z najruchliwszych autostrad w Szwecji? Mimo to poruszył kwestię nagrobków w rozmowie z potencjalnym nabywcą.

– Czy zamierzacie uszanować spokój zmarłych? – spytał, świadom, że nie istnieją prawne przeszkody uniemożliwiające zachowanie przeciwne.

– Naturalnie – odparł recepcjonista. – Nie usuniemy ani jednego grobu, tylko wyrównamy je trochę z wierzchu i wylejemy asfalt.

– Asfalt?

– Zrobimy parking. To co, doszliśmy do porozumienia? Szybka decyzja, przejęcie w poniedziałek, a pieniądze dostanie pan do ręki, jak tylko otrzymam pokwitowanie.

Proboszcz żałował, że spytał o nagrobki, dlatego postanowił

udać, że nie dosłyszał odpowiedzi. Wyciągnął rękę do kupca.

– Zgoda – powiedział. – Pan Persson nabył kościół.

– Cieszę się – odparł Per Persson. – Może proboszcz rozważy przystąpienie do naszej nauki? Byłby to dla nas zaszczyt. Gdyby proboszcz sobie życzył, mógłby mieć darmowe miejsce na parkingu.

Pastor Granlund miał poczucie, że sprowadził nieszczęście na budowlę, którą właśnie sprzedał. I jemu, i zborowi z pewnością przydadzą się owe trzy miliony. Co nie znaczy, że muszą podlizywać się nabywcy.

– Niech pan już lepiej idzie, Persson, bo jeszcze się rozmyślę – rzekł.

## Rozdział 30

Potem przyszła kolej na jednostkę ochrony.

Mimo że recepcjonista przez całe dorosłe życie miał do czynienia z oprychami i bandziorami, nie miał żadnych kontaktów w przestępczym świecie. A gdzie indziej, jak nie tam, można znaleźć odpowiednie siły do ochrony? Wśród ludzi, którzy nie ulatniali się, kiedy pojawiał się hrabia, hrabina lub im podobni.

W samym środku tego towarzystwa tkwił przecież sam duszpasterz Anders. Recepcjonista poprosił go więc, żeby się zastanowił. I choć morderca zaczął zastanawiać się tak, że aż trzeszczało, nie udało mu się znaleźć rozwiązania kwestii ochrony osobistej. Poczynił natomiast bardzo ciekawą uwagę: mianowicie przeważająca większość jego towarzyszy niedoli z paki miała za sobą karierę bramkarza w knajpach.

– No widzisz – rzekł recepcjonista. – A znasz nazwisko któregoś z nich?

– Tak... Holmlund – wymienił w zamyśleniu pasterz Anders.

– I Łoś...

– Łoś?

– Tak na niego mówią, nazywa się jakoś inaczej.

– Domyślam się. Możemy zadzwonić do tego Łosia?

– Nieee, on jeszcze siedzi. I prędko nie wyjdzie. Morderstwo.

– A Holmlund?

– To jego załatwił Łoś.

Niedługo potem recepcjoniście poprawił się humor. Pasterz Anders bowiem potrafił wymienić dwie, trzy siłownie na terenie wielkiego Sztokholmu, które najczęściej odwiedzali osobnicy stanowiący kombinację bramkarza i pensjonariusza zakładu karnego. Recepcjonista zadzwonił do Taxi-Torstena

(aby uniknąć krążenia po mieście kamperem), a następnie jeździł z nim od siłki do siłki w polowaniu na rekrutów do wspomnianej jednostki.

Po odwiedzeniu dwóch nie znalazł tego, czego szukał. Przecież nie mógł podejść do pierwszego lepszego gościa i spytać, czy ma za sobą stanie na bramce i odsiadkę. W trzeciej zaczął już wątpić. Chociaż tam, w odróżnieniu od poprzednich, kilku facetów wyglądało wystarczająco ochroniarsko i na dobrą sprawę mogli sterczeć i dygotać z zimna przed knajpami. Ale rzecz jasna nie dało się odgadnąć, który oprócz tego siedział za coś maksymalnie brutalnego i na pewno nie zawahałby się w krytycznej sytuacji.

Taxi-Torsten do trzeciej siłowni wszedł za recepcjonistą, choć nie był o to proszony, jednak siedzenie w samochodzie i czekanie było potwornie nudne. Podczas jazdy po mieście zdążył się mniej więcej zorientować w problematyce i teraz próbował to wykorzystać. Podszedł do młodziaka w kasie, przedstawił się jako Taxi-Torsten i spytał:

– Któremu z waszych dzisiejszych gości nie powinniśmy według ciebie następować na odcisk?

Chłopak spojrzał na niego.

– Taxi-Torsten? – upewnił się, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

– Tak, to ja. Ale komu przede wszystkim nie powinniśmy podskakiwać?

– Przyszliście tu, żeby się awanturować? – dociekał młodziak.

– Nie, odwrotnie! I dlatego chcemy wiedzieć, kogo w żadnym wypadku nie powinniśmy denerwować, żeby nie popełnić błędu.

Chłopak wyglądał tak, jakby marzył tylko o tym, by zakończyć tę konwersację i wyrwać się stamtąd. Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć czy zrobić, w końcu się zdecydował i wskazał na wielkiego i solidnie wytatuowanego faceta, który ćwiczył na modlitewniku w drugim końcu sali.

– Nazywa się Jerry z Nożem, nie wiem dlaczego i raczej wolę nie dociekać. Ale widzę, że inni się go boją.

– Super! – rzekł recepcjonista. – Mówisz: Jerry z Nożem?

Dobra ksywka!

Następnie podziękował za pomoc, dając do zrozumienia Taxi-Torstenowi, że dobrze się spisał, ale żeby teraz został przy wejściu. Bo Per Persson i Jerry z Nożem mają sobie coś do powiedzenia w cztery oczy.

Recepcjonista odczekał, aż osiłek zrobi przerwę w kształtowaniu bicepsów.

– Podobno ty jesteś Jerry z Nożem?

Zagadnięty popatrzył wyczekująco, lecz nie jakoś gniewnie na Pera Perssona.

– Akurat w tym momencie jestem Jerry bez noża – rzekł. – Ale zależy, czego chcesz.

– Super! – powiedział recepcjonista. – Nazywam się Per Persson i reprezentuję pana, który nazywa się Anders Morderca. Może o nim słyszałeś?

Jerry z Nożem miał kłopot z zachowaniem chmurnej i jednocześnie obojętnej miny, ponieważ rozmowa zaczęła się i nietypowo, i interesująco. Ciekawe, do czego zaprowadzi.

– Anders Morderca to ten, co spotkał Jezusa... i narobił sobie kupę wrogów przy okazji? – zastanawiał się głośno Jerry z Nożem.

– Mam nadzieję, że nie jesteś jednym z nich? – upewnił się recepcjonista.

Nie, Jerry z Nożem nie miał żadnych porachunków z Andersem Mordercą. Oni dwaj nigdy się nie spotkali, nigdy razem nie siedzieli. Ale jest paru takich, którzy chętnie by go dopadli. Choćby hrabia i jego narwana baba.

No właśnie o to chodzi. Anders Morderca zaczyna nową karierę jako kaznodzieja we własnym Kościele. Takie przedsięwzięcie wymaga pewnych inwestycji, toteż byłoby irytujące, gdyby nagle duszpasterz musiał spotkać swego Stwórcę znacznie wcześniej, niż szacował. I właśnie dlatego Per Persson ośmiela się nagabywać teraz pana Jerry'ego, z nożem czy bez noża. Mówiąc krótko: czy pan Jerry byłby gotów podjąć się zadania utrzymania przy życiu Andersa Mordercy najdłużej,



jak się da? A jeżeli się na to zgodzi, czy ewentualnie mógłby robić to samo także dla Pera Perssona oraz pastor, która nazywa się Johanna Kjellander?

– Nawiasem mówiąc, to przeurocza kobieta.

Jerry z Nożem odnotował, że stosunek Pera Perssona do Andersa Mordercy ma charakter biznesowy, i to wydało mu się zdrowe. Sam był obecnie zatrudniony jako wykidajło w dosyć nieciekawym miejscu i chętnie podjąłby się czegoś innego. Ogólnie rzecz biorąc, nie uważał się za tchórze, dlatego nie bał się też hrabiego. A jakie warunki pracy miał do zaproponowania Per Persson?

Per Persson nie bez desperacji szukał dostępu do kręgów, w których można znaleźć kandydatów na ochroniarzy osobistych. I oto teraz, częściowo dzięki Taxi-Torstenowi, stał naprzeciw Jerry'ego z Nożem, o którym nie wiedział nic poza tym, że dysponuje stosownym zasobem słów i umiejętnością ekspresji oraz że z imponującym spokojem zdaje się podchodzić do chronienia Andersa Mordercy przed hrabią, hrabiną i kim tam jeszcze.

Czasu było niewiele. Nie konsultując się więc ze swą ukochaną pastor, recepcjonista uznał, że Jerry z Nożem jest człowiekiem, którego szukają.

– Proponuję ci, abyś został szefem jednostki ochroniarzy, którą sam stworzysz i przysposobisz najszybciej, jak się da. Twoi podwładni będą ucziwie opłacani, a ty dostaniesz dwa razy tyle. Jeśli przyjmujesz propozycję, pozostaje jedynie pytanie, kiedy możesz zacząć?

– Nie od razu – odparł Jerry z Nożem. – Najpierw muszę wziąć prysznic.

## Rozdział 31

Była już zgoda na rozpoczęcie działalności przez wspólnotę, był kościół do dyspozycji (asfaltowanie cmentarza trwało), był duszpasterz i pastor rezerwowy, a sekcja ochrony osobistej właśnie się tworzyła. Istniało też wyraźne zagrożenie, przede wszystkim ze strony hrabiego i hrabiny.

Ponadto u pastor dały się zauważyć pewne oznaki zniechęcenia, ponieważ wciąż nie powstało wyraźnie alternatywne przesłanie religijne. Bardzo chętnie odeszłaby o jeden lub o więcej kroków od nauki ewangelickiej. Na przykład połączyła ciało Jezusa ze świeżą krwią z innego kierunku. Choćby z krwią Mahometa. W rzeczywistości nazywał się on al-Amin – godny zaufania. A zwano go Mustafą – wybranym. Było coś sympatycznego w idei Boga jako proroka w porównaniu z pomysłem, że Bóg sam zapłodnił Marię, a biedny Józef stał z boku i się przyglądał.

Ale Jezus i Mahomet po obu stronach Andersa Mordercy – nie, to oczywiście nie zdałoby egzaminu. Podobnie jak inna koncepcja wymyślona przez pastor – połączenie Boga i Jezusa ze scjentologią. Obejmowałyby to też duchową metodę uzdrawiania niemal wszystkiego, a na czymś takim można by zarabiać pieniądze. „Za tysiąc koron uwolnimy twoje myśli. Za pięć tysięcy będziemy myśleć za ciebie”. Albo coś w tym rodzaju.

Tyle tylko że scjenotolodzy byli mocno zafiksowani na sprawach pozaziemskich i innych dziwnych rzeczach. Jeśli nawet Jezus mógł być w pewnym sensie uważany za istotę o takim charakterze, były to jednak dwie doktryny raczej trudne do pogodzenia. Największy problem stanowiłby chyba wiek Ziemi: sześć tysięcy lat według Biblii, a co najmniej cztery biliony lat zdaniem scjentologów. Gdyby więc nawet obie nauki spotkały się w połowie drogi, i tak trzeba byłoby uzupełnić

tablice genealogiczne o dwa biliony lat, a kto miałby czas, żeby się tym zająć?

Tak naprawdę pastor nieustannie zdawała sobie sprawę z tego, że jest przywiązana do Biblii, którą Anders Morderca tak czule ścisnął i pielęgnował. Ponieważ Kościół Andersa był po pierwsze, drugie i trzecie projektem komercyjnym, Johanna Kjellander postanowiła pójść w tym kierunku. Chrześcijaństwo wydawało się przecież nadal dosyć rozpowszechnione w Szwecji. Ktoś, kto chciałby przejść do Kościoła Andersa, nie musiałby wykonywać wielkiego kroku. Jego specyfika opierałaby się na tym, że mają na ambonie supergwiazdę (tak długo, jak długo da się ją utrzymać przy życiu), oraz na tym, że pastor wyłuskiwałaby z Biblii wszystkie perełki dla duszpasterza i starała się, aby wykorzystywał je w odpowiedni sposób.

Johanna Kjellander miała szczególne upodobanie do historii wymyślonej przez Mateusza o miłosiernym Samarytaninie. To przypowieść o charakterze zbliżonym do czynów apostołów w duchu „bardziej błogosławioną rzeczą jest dawać, aniżeli brać” i tak dalej, ale z humorystycznym akcentem polegającym na tym, że Mateusz po śmierci stał się bohaterem Kościoła rzymskokatolickiego i od tamtej pory uchodzi za patrona urzędników podatkowych i celników.

Niemalą możliwością dawała także Księga Przysłów. Na przykład: ten, kto skąpi, źle na tym wychodzi, kto natomiast odda swe pieniądze duszpasterzowi Andersowi, rozkwitnie niczym pąki na drzewie, i wiele, wiele innych próbek tego typu. Rzecz jasna nigdzie nie pisano wprost o duszpasterzu Andersie, ale to akurat dawało się łatwo nagiąć. Gorzej, że Księga Przysłów należała do Starego Testamentu. Oznaczało to bowiem, że pastor będzie musiała uwzględnić w pakiecie całe Pismo Święte.

Wreszcie program był gotowy. Kościół Andersa miał być ostoją szczodrości, z Jezusem jako zakładnikiem i Bogiem Ojcem jako główną groźbą dla największych skąpców zboru.

Zgodnie z kalkulacjami recepcjonisty pięć procent przychodów zamierzano przeznaczyć dla Andersa Mordercy, pięć dla sekcji ochrony, pięć na koszty ogólne i pięć dla potrzebujących. Tylko osiemdziesiąt procent zostawało dla pastora i recepcjonisty, co należało jednak uznać za kwotę wystarczającą. Jeśli bowiem chciwość wbije w nich swe szpony, koniec może być niepomysłny. Poza tym w ich ręce przejdą przecież także udziały mordercy, gdy przypadkiem dostanie kulkę między oczy.

A jak ku pokrzepieniu głosi Pismo: szczodry zyskuje dwa razy.

\* \* \*

Z tygodnia na tydzień zainteresowanie najbardziej niezwykłym człowiekiem Szwecji, a może nawet i Europy, słabło. Na początku przez Facebook i na pospiesznie założone przez recepcjonistę konto wpływało ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dziennie, ale wkrótce kwota ta spadła o połowę, a kilka dni później znowu o połowę. Ludzie tak potwornie szybko zapominają.

Zanim wszystkie puzzle znalazły się na właściwym miejscu, liczba donacji na rzecz gloryfikowanego mordercy spadła niemal do zera. Wywołało to niepokój odpowiedzialnego za budżet recepcjonisty. Poza tym do premiery zostało jeszcze dwanaście dni. A jeśli nikt nie przyjdzie, jeśli pastor i on będą musieli siedzieć tam sami i wrzucą do koszyka swoje ostatnie pieniądze, podczas gdy morderca będzie plótł Bóg wie co?

Pastor była lepszej myśli. Uśmiechnęła się do swego recepcjonisty, rzekła, że wiara potrafi przenosić góry zarówno tutaj, jak i w Biblii i że nie pora jeszcze się poddawać. Ona zamierzała wykorzystać najbliższy tydzień na ćwiczenie z duszpasterzem techniki wygłaszania kazań i uważała, że byłoby dobrze, gdyby recepcjonista w tym czasie przypilnował Jerry'ego z Nożem i jego rekrutów, by trenowali odpowiednie procedury, bo inaczej jej praca nagle może okazać się całkiem daremna.

W związku z tym Jerry z Nożem zgłosił zastrzeżenie. Nie był zadowolony, że w kościele brakuje wyjścia ewakuacyjnego,

w sytuacji gdyby pasterz został zaatakowany, kiedy będzie stał na ambonie. Każdy włamywacz wie, że dwie drogi ucieczki to minimum w razie niespodziewanej wizyty. Podczas akcji. W przypadku złodzieja rzecz jasna. Lub duszpasterza – jak tutaj.

– Mówiąc krótko, Jerry sugeruje, że jakiś majster powinien wybić dziurę w ścianie zakrystii. Powiedziałem mu, że najpierw muszę omówić to z tobą, ponieważ... ostatecznie to jest święte miejsce w świętej budowli i nie wiem, jak...

– Wobec tego święta dziura w ścianie nie zaszkodzi – rzekła pastor. – Zakrystia z wyjściem awaryjnym! Gdyby dowiedziała się o tym straż pożarna, na pewno by nas pokochała.

\* \* \*

Pastor trenowała Andersa Mordercę przez sześć dni z rzędu bez przerwy.

– Myślę, że jest gotowy – oznajmiła dnia siódmego. – O ile kiedykolwiek może być gotowy...

– Ochroniarze stoją w blokach – odpowiedział recepcjonista. – Jerry z Nożem zlepił niezłą bandę. Aż się boję wejść do kościoła, nie legitymując się im.

Następnie Per Persson po raz kolejny dał wyraz swemu zaniepokojeniu, że postać ich szczodrego mordercy zaczyna popadać w powszechne zapomnienie właśnie teraz, kiedy oni w końcu są gotowi.

– Chyba jakoś da się temu zaradzić – powiedziała pastor, znowu robiąc minę Momy Lizy.

Miała pewien pomysł.

Nie. Miała dwa pomysły.

Nie wiedząc, co zamierza jego ukochana, recepcjonista uśmiechnął się tylko. W obecnej sytuacji miał bezgraniczną wiarę w jej potencjał kreatywny. W porównaniu z nią czuł się jak pojedynczy arkusz Excela.

– Potrafisz znacznie więcej, mój drogi – rzekła pastor z taką szczerością w głosie, że sama poczuła się zaskoczona.

To wyznanie miłości z jej ust tak uskrzydliło recepcjonistę, że z rozpędu zaproponował małe bara-bara.

– Ale gdzie? – spytała pastor, nie sprawiając wrażenia nieprzychylniej.

No właśnie, do cholery. Nie sposób mieszkać z Andersem Mordercą w kamperze do końca życia. Wreszcie trzeba zrobić z tym porządek. Zarówno ze względu na niego, jak i na przyzwoitych ludzi.

– Za organami? – podsunął Per Persson.

## Rozdział 32

Andersowi Mordercy zadziwiająco łatwo udało się pojąć, co ma powiedzieć dziennikarzom i dlaczego. I rzeczywiście powiedział to, co trzeba, plus oczywiście trochę bredni, ale to było nieuchronne. Za każdym razem jednak, kiedy tylko próbował wdać się w jakieś kompletnie idiotyczne dywagacje, asystująca mu pastora Johanna Kjellander przerywała mu i prezentowała swoją wersję.

Gazeta „Expressen” przysłała tego samego reportera i fotografa co dwa i pół roku wcześniej. Tym razem żaden z nich nawet w przybliżeniu nie wyglądał na tak zdenerwowanego jak poprzednim razem. Znaleźli się na miejscu już w dwie godziny po tym, jak redakcji zaproponowano ekskluzywny wywiad z mordercą, który spotkał Jezusa i teraz zamierzał założyć Kościół.

W wywiadzie Anders Morderca rozwodził się nad tym, dlaczego błogosławioną rzeczą jest dawanie, a nie branie, chociaż przyznawał, że to on, a nie kto inny naciągnął sporą część kryminalnego światka na pieniądze. I że nastąpiło to w niemal maksymalnie zatrważający sposób.

– Niemal maksymalnie? – zdziwił się reporter.

No tak, w wielu przypadkach przestępcy zlecali morderstwo na zamówienie i opłacali je z góry. Bardziej przerażające mogło być tylko wykonanie zabójstwa. Ale oni oczywiście nigdy by tego nie zrobili. Środki przeznaczone na ten cel rozdano potrzebującym, a morderca, który zaprzestał mordowania, nie zostawił sobie ani jednego öre (poza kilkoma w związku z nieuniknionymi kosztami pod postacią wina ofiarnego i... no tak, wina ofiarnego). Ale spodziewano się już nowych darowizn!

Na szczęście reporter spytał o nazwiska tych, którzy złożyli zamówienia. Dało to szansę Andersowi Mordercy, by

powiedzieć, że nie chce ich wymieniać, ale że modli się za nich co wieczór i że wszyscy oni będą mile widziani we wspólnocie jego nowo założonego Kościoła, gdzie obiecuje przedstawić ich Jezusowi Chrystusowi, który z kolei weźmie ich pod swą opiekę.

– Alleluja! Hosanna! Niech się tak stanie! – zakrzyknął duszpasterz Anders, wyrzucając ręce ku niebu, na co pastor szturchnęła go w bok.

Nie pora gwiazdorzyć, gdy do powiedzenia pozostała najważniejsza rzecz. Anders Morderca chyba zapomniał. Pastor musiała odświeżyć mu pamięć.

– Warto nadmienić, że podjąłeś pewne kroki ze swojej strony – wtrąciła.

– Podjąłem? – spytał Anders Morderca, opuszczając ręce. – No tak, podjąłem! Postarałem się, żeby nazwiska wszystkich, którzy zamawiali u mnie zabójstwa lub okaleczenia, były automatycznie upublicznione razem z dowodami, jeżeli zostaną przejechany na ulicy, popełnią podejrzanę samobójstwo przez powieszenie, dostaną przypadkową kulkę w łeb albo w inny sposób zejść przedwcześnie.

– Czy to znaczy, że jeśli umrzesz, świat dowie się, kto kiedyś dał ci zlecenie na zabójstwo...? Czy nazwiska potencjalnych ofiar też zostaną ujawnione?

– Bez dwóch zdań! W Królestwie Niebieskim nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

Pastor uznała, że morderca wyraził się na tyle niedorzecznie, że zabrzmiało to nawet dobrze. A dziennikarz „Expressen” nadal wyglądał na zainteresowanego.

– Czyli boisz się, że ludzie z podziemnego światka chcą cię dopaść?

– O nie! – zaprzeczył Anders Morderca. – Mam przecucie, że oni są bliscy przemiany. Miłości Jezusa wystarczy dla wszystkich, ona dosięgnie każdego! Ale jeżeli szatan dalej kieruje którymś z nich, wtedy ważne jest, żeby społeczeństwo... no... Hosanna!

Tym samym wszystko, co należało powiedzieć, zostało powiedziane. Pastor podziękowała przedstawicielom gazety za



poświęcony czas, wyjaśniając, że teraz duszpasterz Anders musi się przygotować do wygłoszenia swego pierwszego kazania.

– Już w najbliższą sobotę. Początek o godzinie siedemnastej zero zero. Darmowy parking i kawa gratis dla każdego.

Pomysł, aby spotkać się znowu z prasą, miał dwa cele. Oczywiście ważne było zadbanie o reklamę przed inauguracją Kościoła Andersa, ale jednocześnie hrabia, hrabina i pozostali mieli się dowiedzieć, co ich czeka, jeżeli z głowy duszpasterza, recepcjonisty i pastor spadnie choćby jeden włos.

Plan był dobry.

Ale niewystarczająco dobry.

Bo hrabia i hrabina byli rozsierzeni znacznie bardziej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

## Rozdział 33

Szczwana z niego sztuka – burknęła hrabina nazajutrz, rzucając ze złością najświeższe wydanie „Expressen”.

– Znam go prawie od czterdziestu lat – rzekł hrabia. – Wszystko można o nim powiedzieć, ale nie to, że jest sprytny. Musi mieć kogoś, kto za niego myśli.

– Pastor?

– Tak, piszą w gazecie, że nazywa się Johanna Kjellander. I złodziej naszego samochodu do kompletu. Per Jansson, o ile dobrze pamiętam. Szkoda, że mimo wszystko nie oderżnąłem mu fiuta. Chociaż jeszcze nie jest za późno.

Hrabia i hrabina cieszyli się w mrocznych kręgach sztokholmskiego półświatka większym autorytetem niż ktokolwiek inny. Aby inicjatywa zgromadzenia w jednym miejscu wszystkich ważniejszych bandziorów stolicy mogła się powieść, zaproszenie musiałby wystosować duet hrabiowski. I właśnie to zrobił.

\* \* \*

Pierwszy i największy zjazd kryminalny w Szwecji odbył się w jedynym na wpół pustym salonie samochodowym hrabiego i hrabiny w Haninge.

Właśnie oboje mieli za sobą wyjątkowo udany tydzień pod względem sprzedaży. Wystarczyło parę trików, aby dowolne nielegalnie sprowadzone z zagranicy i poobijane auto doprowadzić do takiego stanu, by wyglądało jak nowe. Jaka była jego historia i co tak naprawdę się z nim działo, o tym hrabia i hrabina nie czuli się zobowiązani informować. A samochody przecież nie mówią, chyba że w filmach.

W ostatnich dniach z salonu wyjechało dziesięć egzemplarzy nielegalnego gatunku, sprzedanych po nowej cenie. W żadnym nie działały poduszki powietrzne, nie miało to jednak

znaczenia, dopóki nabywca trzymał się drogi.

Dobry tydzień, ogólnie rzecz biorąc, gdyby tylko nie było powodu do wielkiego spotkania, które ich czekało.

Ustalenie aktualnej listy uczestników też wymagało trochę trików i sposobów. Nigdzie przecież nie było odnotowane, kto zamówił zabójstwo albo okaleczenie bliźniego. Zaproszenia rozprowadzono metodą szeptaną w czterech starannie wybranych knajpach. W rezultacie w salonie samochodowym zebrano się w wyznaczonym czasie siedemnaście osób, poza hrabią i hrabiną, którzy stanęli z przodu na podwyższeniu.

Było ono właściwie przeznaczone dla najpiękniejszego auta w salonie, które akurat zostało sprzedane za cenę dziewięciuset gramów metamfetaminy wysokiej jakości. Teraz podium stanowiło znakomitą scenerię dla pary, która chętnie zaznaczała swoją wyższość nad innymi.

Hrabia był niemal maksymalnie wkurzony, hrabina także. To ona otworzyła spotkanie.

– Uważam, że pytanie nie polega na tym, czy Anders Morderca ma żyć, czy nie, tylko w jaki sposób doprowadzić go do śmierci. Ja i hrabia mamy parę pomysłów.

Niektórzy z siedemnastu mężczyzn przed podium zaczęli się niespokojnie kręcić. Przecież podobno złożone zlecenia będą upublicznione, jeżeli morderca, który odmówił mordowania, zostanie potraktowany tak, jak na to zasługuje. Jeden z siedemnastu odważył się nawet odwołać do argumentów w tym duchu (nawiasem mówiąc, słono zapłacił, aby pozbyć się zarówno hrabiego, jak i hrabiny). Poprosił o głos i oznajmił, że usunięcie Andersa Mordercy może doprowadzić do jatki na terenie stolicy, a przecież byłoby chyba lepiej, żeby wszyscy dalej prowadzili swoje interesy bez wyrzynania się nawzajem.

Hrabia wtrącił, że w jego świecie nie istnieje coś takiego jak uleganie szantażowi.

Wówczas ktoś inny spośród siedemnastu obecnych ośmielił się zgodzić z opinią tego pierwszego. Ponieważ nie stać go było na opłacenie zabójstwa zarówno hrabiego, jak i hrabiny, zadowolił się samą hrabiną, uważał ją bowiem za bardziej szkodliwą i kompletnie nieobliczalną. Również on, kierując się

wolą przetrwania, miał powód, aby życzyć Andersowi Mordercy długiego życia.

Trzeci zapłacił za ciężkie pobicie kuzyna hrabiego, co też było wystarczająco groźne. Wielu innych z grupy złożyło zlecenia o różnym stopniu szkodliwości na osiem innych osób z tejże grupy. Jeśli znajdował się w niej ktoś, kto mógłby zostać w tym kontekście nazwany niewinnym, prawdopodobnie wynikało to jedynie stąd, że nie miał dość pieniędzy, by stać się jeszcze bardziej winny, niż był.

Hrabiego i hrabiny bali się wszyscy. Ale siedemnastu silnych facetów u podnóża podium zdołało w końcu wspólnie się im przeciwstawić. Uważali oni, że ze względu na interesy najlepiej będzie machnąć na to wszystko ręką. W tym przypadku bowiem na jednej szali była zemsta, a na drugiej zachowanie istniejącego środowiska pracy. W tak zarysowanym zestawieniu środowisko pracy było ważniejsze.

Hrabina zaczęła wyklinać całą siedemnastkę, nazwała ich pozbawionymi kręgosłupów insektami i użyła innych nieuprzejmych określeń, sprawiając, że kilku z obecnych żałowało, iż nie ma możliwości zapłacić Andersowi Mordercy jeszcze raz, byle tylko tym razem wykonał swoją robotę.

Jeden z nich zastanawiał się, czy to nie jest przypadkiem tak, że każdy insekt bez wyjątku nie ma kręgosłupa, zachował jednak na tyle rozsądku, by nie podejmować tej kwestii akurat teraz.

Spotkanie trwało niecałe dwadzieścia minut. Byli na nim reprezentowani wszyscy zainteresowani bandyci mniejszego i większego kalibru. Brakowało jedynie mężczyzny, który zapłacił osiemset tysięcy koron za pozbawienie życia sąsiada strojącego miny do jego żony. Żądny zemsty biedak niedługo później odebrał sobie życie, wykrwawiając się na śmierć, gdy żona opuściła go dla nazbyt żywotnego sąsiada i na dodatek pojechała z nim na Wyspy Kanaryjskie, ponieważ podejrzane strojenie min było w istocie zaawansowanym flirtem.

Rezultat: według siedemnastu z dziewiętnastu wciąż żyjących oszukanych oszustów Anders Morderca ma pozostać przy życiu. Według dwóch pozostałych powinien umrzeć, najlepiej wraz z Johanną Kjellander i Perem Janssonem czy Perssonem.

## Rozdział 34

Dwa dni przed uroczystą inauguracją Kościoła Andersa przyszła pora na realizację kolejnej koncepcji pastor, to znaczy na przekazanie jeszcze jednej darowizny o ogólnokrajowym rezonansie i spodziewanych konsekwencjach. Taxi-Torsten jak zwykle za kierownicą, pastor, recepcjonista i Anders Morderca zaś obok siebie na siedzeniu z tyłu. Na kolanach ostatniego: starannie zawinięty pakiet zawierający pięćset tysięcy koron i osobiste pozdrowienia dla odbiorcy.

Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, ale przed zamkiem królewskim w Sztokholmie nigdy nie jest zupełnie pusto. Przede wszystkim zawsze na swoim miejscu stoją wartownicy, nieprzerwanie od 1523 roku (nie ci sami jednakże, poza tym należy przypuszczać, że gdy zamek doszczętnie spłonął pod koniec siedemnastego wieku i pojawił się znowu dopiero pięćdziesiąt lat później, stráže miały przerwę).

Taxi-Torsten był kreatywnym kierowcą. Opuścił Slottsbacken, wjechał po kocich łbach pod górę i powoli zatrzymał się przed stojącym na baczność żołnierzem wystrojonym w paradny mundur i ze lśniącym bagnetem na broni.

Anders Morderca wysiadł, trzymając w ręce nieduży pakiet.

– Dzień dobry – rzekł uroczyście. – Jestem Anders Morderca i przyjechałem tutaj, żeby przekazać pół miliona dumnych koron Jej Wysokości Królowej oraz jej World Child coś tam Foundation. Nazwa wypadła mi z głowy, chociaż ćwiczyłem ją przez całą drogę w samochodzie... no trudno, nieważne. Mówiąc krótko...

– Podaj w końcu tę paczkę do cholery! – krzyknął z taksówki recepcjonista.

Łatwo powiedzieć! Żołnierz nie przyjmował podejrzanych bomb. Weisnął natomiast guzik alarmowy i zaczął odklepywać wyuczoną na pamięć formułkę:

– Każdy, kto pragnie uzyskać dostęp do obiektu strzeżonego lub przebywa w bezpośredniej bliskości obiektu strzeżonego, ma obowiązek na prośbę osoby strzegącej obiektu strzeżonego podać swoje nazwisko, datę urodzenia i adres zamieszkania, poddać się rewizji oraz zgodzić się na przeszukanie pojazdu, jednostki pływającej lub latającej.

Anders Morderca stał ze swoją paczuszką w ręce i szeroko otworzywszy oczy, gapił się na żołnierza.

– Źle się czujesz? – spytał. – Czy nie mógłbyś po prostu wziąć ode mnie tej cholernej paczki w imię Jezusa, żebyśmy mogli wreszcie stąd odjechać?

Żołnierz na warcie zaczął znowu:

– Ten, kto pilnuje strzeżonego obiektu, ma także prawo w zakresie niezbędnym do należytego wykonania swych obowiązków służbowych odprawić, nakłonić do oddalenia się lub – jeśli powyższe środki okażą się niewystarczające – obezwładnić daną osobę na terenie lub w bezpośredniej bliskości strzeżonego obiektu...

– Jasne, zawsze możesz spróbować mnie obezwładnić, ty ołowiany żołnierzyku – rzucił ze złością Anders Morderca, podczas gdy wystraszony wartownik dalej klepał formułkę:

– ...jeżeli dana osoba narusza zakaz obowiązujący na podstawie powyższego uregulowania, odmawia wbrew poleceniu podania wymaganych informacji, co można uznać za podejrzanę, odmawia poddania się rewizji lub...

Mniej więcej w tym miejscu litanii Anders Morderca odepchnął żołnierza na bok i włożył paczuszkę dla królowej do budki wartowniczej.

– Przypilnuj, żeby to dotarło do rąk własnych Jej Królewskiej Mości – oznajmił żołnierzowi, który nagle się zapowietrzył. – Jak chcesz, możesz sobie zrewidować tę paczkę, tylko pieniędzy nie tykaj, pamiętaj!

Po czym Anders Morderca wrócił do pastor, recepcjonisty i Taxi-Torstena, który ruszył z piskiem opon i zniknął w potoku samochodów na Skeppsbron na kilka sekund przed tym, jak przed zamkiem stawily się wezwane posiłki.

\* \* \*

Najpierw mówiono, że Anders Morderca „zaatakował zamek”, jednak tylko do chwili, gdy królowa zorganizowała konferencję prasową, podczas której podziękowała mu za fantastyczny (i prześwietlony) prezent w postaci czterystu dziewięćdziesięciu czterech tysięcy koron dla potrzebujących dzieci z World Childhood Foundation.

– Kiedy wreszcie nauczysz się liczyć do pięciuset? – spytał recepcjonista Andersa Mordercę, który nic nie odpowiedział, tylko zrobił kwaśną minę.

Oddźwięk medialny był wyjątkowy. Pierwsza fala komentarzy skupiała się głównie na wskazywaniu, że doszło do groźnej sytuacji, druga była reakcją na stanowisko królowej, która wyjaśniła sprawę, a trzecia sprowadziła się do tego, że w wielu miejscach w całości powtórzono wyjątkowy życiorys Johana Anderssona alias Andersa Mordercy, alias duszpasterza Andersa.

– A może powinienem nazywać się proboszczem? – zastanawiał się głośno.

– Nie – zaprotestowała pastor.

– Dlaczego nie?

– Bo ja tak mówię.

– A superintendentem<sup>2</sup>?

---

<sup>2</sup> W Kościele protestanckim funkcja superintendenta stanowi odpowiednik funkcji biskupa.

## Rozdział 35

Jerry z Nożem nieźle się napocił, aby wbić swojej grupie ochroniarzy do głów, że nie powinni wyglądać jak najgroźniejszy w kraju klub MC, w skórzanych kurtkach, z kastetami, i obnosić się z sowieckimi pistoletami maszynowymi model 47, kupionymi za trzydzieści pięć tysięcy koron od wybitnie niepoważnego handlarza bronią.

Miała być marynarka i chinosy, czyli strój, w jaki większość ochroniarzy nie ubierała się od czasu matury, której zresztą żaden z nich nie zrobił; broń automatyczna ukryta pod cienkim płaszczem, a amerykańskie granaty ręczne starannie poutykane po kieszeniach marynarki.

– Mamy unieszkodliwić wrogi element – wyjaśnił Jerry z Nożem – a nie płoszyć porządnych gości.

Najdroższą inwestycją był wykrywacz metalu zamontowany w wejściu. Dzięki niemu Jerry mógł mieć pewność, że nikt nie przesmugluje żadnego gnata. Z kolei pastor i recepcjonista wymyślili, że dzięki detektorowi i ukrytemu monitoringowi z czasem będą mogli ustalić, kto przychodzi z monetami do wrzucenia do koszyka, a kto przynosi banknoty. Nie opłacało się marnować w kościele miejsca dla ludzi, którzy pragnęli opieki duchowej, a nie byli gotowi za nią zapłacić.

Cmentarz zmieniono w parking na pięćset samochodów. Pod asfaltem leżała niewiadoma liczba zmarłych grzebanych tam od końca osiemnastego wieku do lat pięćdziesiątych minionego stulecia. Jak ich duchy zapatrywały się na wylanie asfaltu, nikt nie pytał, a one same nie robiły z tego powodu hałasu.

Gdyby parking był zapełniony, oznaczałoby to co najmniej tysiąc gości, podczas gdy realnie patrząc, kościół zapewniał miejsce jedynie dla ośmiuset osób. Dlatego recepcjonista kazał zainstalować na zewnątrz ekran panoramiczny z nagłośnieniem takiej jakości i za taką cenę, że aż rozboleł go żołądek. Ekran



znalazł się na miejscu już tego samego ranka, gdy miało zostać wygłoszone pierwsze kazanie. Za montaż zapłacono gotówką. Z dawnego majątku pozostały już tylko jakieś nędzne resztki na dnie każdej z walizek.

– Nie denerwuj się tak! – powiedziała pastor. – Pamiętaj, że wiara przenosi góry i w Biblii, i poza nią.

– Poza nią też?

A jakże. Pastor podczas swoich studiów zgłębiła alternatywne teorie do Pierwszej Księgi Mojżeszowej, w której mowa jest o tym, że Bóg w ciągu kilku dni zmajstrował niebo i ziemię. Inna prawda głosi, że istniała Pangea, superkontynent, który rozpadł się sam z siebie i utworzył znane obecnie części świata z górami, dolinami i całą resztą. Jeśli ktoś wierzył w to wystarczająco mocno, kimże jest pastor, aby mogła to oceniać?

Recepcjonista czuł się spokojniejszy, gdy widział jej spokój. W obecnej sytuacji dobrze by było, aby walizki czerwona i żółta znowu zapełniły się pieniędzmi po brzegi. Czy przy tej okazji wiara pastor przeniesie jedną górę czy dwie, nie miało znaczenia. A skąd będzie ją czerpać – o tym musiała zdecydować sama.

– Tym razem wybieram Biblię. Wyłącznie z powodu czasu. Bogu zajęło to tydzień. Pangea rozpadała się przez miliony lat, a tak długo nie wytrzymam z Andersem Mordercą, z kamperami i całą resztą.

– Z całą resztą? Nawet ze mną? – spytał recepcjonista.

– Przez miliony lat? No, może.

\* \* \*

Do inauguracyjnego kazania pozostały już tylko godziny. Jerry z Nożem stał na niewielkim podwyższeniu w północno-zachodnim rogu przykościelnego dziedzińca i wodził wzrokiem od lewej do prawej i z powrotem. Wyglądało na to, że jest cisza i spokój.

Ale co to? Na zwirowej alejce był jakiś facet z grabiami! Niebezpieczeństwo? Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie, jakby robił to, co normalnie robi się grabiami.

Grabiał.

Zamierzał wygrać całą alejkę? Od drogi aż do wejścia do kościoła?

– Na końcu alejki podejrzana sytuacja – przekazał swojemu personelowi przez aparaturę komunikacyjną, która również nie była za darmo.

– Sprzątnąć go? – rzucił jeden ze snajperów na wieży kościelnej.

– Nie, baranie – odpowiedział Jerry z Nożem. – Pójdę i zobaczę kto to.

Staruszek grabił dalej, Jerry zaś ścisnął w kieszeni rękojeść swojego ulubionego noża. Przedstawił się jako szef ochrony Kościoła Andersa i spytał, kim jest mężczyzna i co tutaj robi.

– Grabię alejkę – odrzekł.

– Na to wygląda – odparł Jerry z Nożem – ale kto cię o to poprosił?

– Poprosił? Grabię tę alejkę od trzech dziesięcioleci przed każdym nabożeństwem raz w tygodniu, z wyjątkiem dwóch ostatnich lat, kiedy robiłem to trochę rzadziej, bo przez bezbożną decyzję ten Dom Pański został zamknięty.

– To dopiero kanalie – odpowiedział Jerry z Nożem, który przez wiele dni ćwiczył się w unikaniu przekleństw w nowej pracy. – Nazywam się Jerry – rzekł, puszczając rękojeść noża, aby podać dziadkowi rękę.

– Börje Ekman – przedstawił się mężczyzna z grabiami. – Kościelny Börje Ekman.

## Rozdział 36

Kościelny Börje Ekman nie wierzył w szczęśliwe i nieszczęśliwe zrządenia losu. Nie wierzył w nic poza sobą, Bogiem, Jezusem, ładem i porządkiem. Postronny, niezbyt religijnie usposobiony obserwator powiedziałby chyba, że jego rychłe spotkanie z Andersem Mordercą mimo wszystko nie było niczym innym jak pechem.

Człowiek, który miał wszelkie powody, by życzyć sobie innego rozwoju sytuacji niż ten, który wkrótce nastąpi, do niedawna był urzędnikiem ministerstwa pracy. Czterdzieści lat spędził w tym urzędzie, który po drodze kilka razy zmieniał nazwę. Był też wzorowym gospodarzem tutaj, gdzie teraz mieścił się Kościół Andersa, chciał bowiem dobrze wypaść przed świętym Piotrem, gdy nadejdzie dzień Sądu Ostatecznego.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat coraz bardziej zgorzkniały mężczyzna jedynie odsiadywał swój czas w ministerstwie. Na początku było inaczej – wtedy solidnie pracował na swoją pensję. Lecz nie tylko o to chodziło. Börje Ekman podjął walkę z dziką zachodnią postawą, która w owym czasie dominowała w co najmniej jednej z instytucji kierowanych przez jego departament. Odkrył mianowicie, że urzędnicy z pośrednictwa pracy często, chociaż nieregularnie, opuszczali swoje biura, aby włączyć się po mieście w pogoni za wolnymi etatami dla potencjalnych petentów. Oficjalnie nazywało się to, że wychodzą, aby „spotkać pracodawców”, „nawiązywać kontakty”, „budować zaufanie”. Według młodego Börjega Ekmana była to strategia nic niewarta. Wystarczy choćby wspomnieć o ryzyku, że taki pośrednik pracy wyjdzie do miasta i wstąpi do lokalu, żeby napić się piwa. I nikt go nie skontroluje, bo nikt nie ma takiego obowiązku.

Alkohol. W godzinach pracy. Boże przenaajświętszy!

Jego własna koncepcja organizacji pośrednictwa pracy

przewidywała instytucję doskonałą w swej strukturze, bardzo szczegółowo opisującą bezrobocie w kraju z uwzględnieniem kryteriów takich jak wiek, płeć, branża, stan rodzinny, poziom wykształcenia, a nawet typ osobowości. Ale aby coś takiego się udało, należałoby przebudować wszystko od podstaw. Wymagało to przejrzystej organizacji, hierarchicznej struktury pozbawionej wewnętrznych napięć czy konfliktów. Urząd pośrednictwa pracy powinien być zarazem perfekcyjnym miejscem pracy, które świeciłoby przykładem. Takie działania prowadziłyby do całkowicie przewidywalnego rezultatu. Myślenie na ten temat stanowiło dla Börjega Ekmana prawdziwą rozkosz.

Dopóki jednak urzędnicy krążyli po mieście i szukali posad, ich działalność nie podlegała żadnej kontroli. Pewnego razu jeden z pośredników w Täby zaprzyjaźnił się na przykład z szefem jakiejś firmy do tego stopnia, że zdołał namówić go do przejścia na system dwuzmianowy. Dało to za jednym zamachem osiemdziesiąt nowych miejsc pracy w gminie – koszmar każdego analityka rynku pracy. Po prostu nie sposób sobie wyobrazić, do jakich skutków mogą doprowadzić rozmowy między właścicielem przedsiębiorstwa a pośrednikiem pracy w saunie po rundzie golfa (którą pośrednik z zapalem przegrywał, nawet jeśli niekiedy wymagało to podwójnego uderzenia w wodzie po raz osiemnasty).

Börje Ekman rozumiał oczywiście, że osiemdziesiąt miejsc pracy to osiemdziesiąt miejsc pracy, niezależnie od tego, jak doszło do ich powstania. Zawsze jednak należało mieć na względzie szerszą perspektywę. Bo ów pośrednik oprócz tego, że grał w golfa w godzinach służbowych, jednocześnie zaniedbał swoje obowiązki administracyjne. I tylko z jego powodu statystyki z danego kwartału okazały się niekompletne i zafałszowane w odniesieniu do całej północnej części aglomeracji sztokholmskiej. Poza tym człowiek ten nie sprawdził dokumentów poświadczających przebieg kariery zawodowej osiemdziesięciu byłych bezrobotnych.

– To robota głupiego – powiedział do Börjega Ekmana. –

Przecież nie będę teraz siedział tygodniami i sortował papierów ludzi, którzy już mają pracę!

Po czym odłożył słuchawkę, a następnie wyszedł i wygolfował siedem nowych posad w branży rur i wentylacji.

Była to jednak ostatnia rzecz, jaką zrobił, zanim pożegnano się z nim z powodu niewykonywania obowiązków służbowych oraz z powodu kilku innych drobiazgów, które Börje Ekman musiał znaleźć, aby uzyskać wolną rękę. W pewnym sensie szkoda go było, ponieważ okazał się fantastyczny w tworzeniu etatów. Na sam koniec udało mu się to jeszcze raz, gdyż odchodząc, zwolnił jedno miejsce w biurze pośrednictwa pracy w Täby. Börje Ekman pociągnął natychmiast za dostatecznie dużo sznurków, chcąc dopilnować, aby jego następcą reprezentował inny punkt widzenia. Na pierwszym miejscu struktura i statystyka, aby politycy nie mieli wątpliwości, jak wygląda sytuacja na rynku pracy. Przy zatrudnianiu takich wariatów jak tamten, który musiał odejść, można było przyjąć z niemal stuprocentową pewnością, że prognozy kwartalne nie zgodzą się z rzeczywistością. A fałszywe prognozy to woda na młyn opozycji, czyli najgorsza rzecz, do jakiej mógłby przyłożyć rękę niezależny urzędnik ministerstwa.

A skoro – co przecież rozumie się samo przez się – opracowana prognoza nie może się dostosować do rzeczywistości po prostu dlatego, że już została opracowana, to rzeczywistość powinna dopasować się do prognozy. Dla Börjega Ekmana była to prawda obowiązująca we wszystkich dziedzinach poza pogodą. Akurat tą sferą Pan kierował wyjątkowo silną ręką, ku rozpaczycy meteorologów ze służby pogodowej w Norrköping. Raz po raz się zdarzało, że podczas gdy oni przewidywali słońce na najbliższy dzień, Pan Bóg ustanawiał deszcz. Börjemu Ekmanowi przechodziły ciarki po plecach na myśl, że miałby pracować w takim miejscu, choć jednocześnie nawet podobał mu się pomysł, że właśnie on mógłby mieć gorącą linię z Panem Bogiem, nie rezygnując jednocześnie ze stosownego wsparcia satelitów i stacji pogodowych. Zapewniłoby to prognozom trafność na zupełnie innym poziomie.

W wolnym tłumaczeniu oznaczało to, że istotny jest stopień przewidywalności, a nie jakość rezultatu. A w jeszcze bardziej swobodnym przekładzie: z perspektywy czysto pogodowej wszyscy obywatele powinni zostać przymusowo przeniesieni w okolice na północ od Göteborga. Tam dało się precyzyjnie określić, ilu meteorologów jest potrzebnych – mianowicie ani jeden. Bo tam wystarczyło przepowiedzieć deszcz na najbliższy dzień, aby nie pomylić się od dwustu do dwustu pięćdziesięciu razy na trzysta sześćdziesiąt pięć. A biorąc pod uwagę kontakty Börjega Ekmana z Bogiem, trafność przewidywań wzrosłaby z pewnością do osiemdziesięciu pięciu, dziewięćdziesięciu procent, w zależności od dostępności Pana w danym momencie.

W odniesieniu do wyliczeń ministerstwa pracy logika Börjega Ekmana oznaczała, że z kwartału na kwartał nie powinno się nic dziać. Jeśli mimo wszystko się działo, cała rzesza ministerialnych analityków musiała zaczynać obliczenia od nowa. Z jednej strony wspomagało to oczywiście aktywność, ale jednocześnie mogło zirytować polityków, a nawet doprowadzić do ich przegranej w wyborach. A każdy urzędnik nauczył się przez lata przynajmniej jednego: żaden pokój służbowy ani żadne biurko w ministerstwie pracy nie są tak małe i nie leżą w tak odległych korytarzach, by nie znalazło się jeszcze mniejsze i jeszcze bardziej oddalone od centrum wydarzeń.

Żywym tego przykładem był Börje Ekman. Przez czterdzieści lat zdążył tyle razy zboczyć z kursu, że przed emeryturą był przenoszony i przenoszony, aż w końcu, przeniesiony gdzieś w najdalszy kąt, został zapomniany przez organizację, do której podobno należał. Nie zawracał sobie jednak głowy tym, aby przypominać kolegom o swoim istnieniu. Zamiast tego odliczał czas do dnia, gdy skończy sześćdziesiąt pięć lat i gdy sama szefowa ministerstwa, pani minister, wygłosi krótkie podziękowanie, podkreślając, jak nadzwyczajnym pracownikiem był Börje Ekman, zasięgnąwszy uprzednio języka, jak on się w ogóle nazywa i czym się zajmował.

Börje Ekman opuścił po raz ostatni swój pokój niewiele większy od spiżarki. Nie był ani trochę rozgoryczony! Stwierdził bowiem, że obecnie, kilkadziesiąt lat po tym, jak spalał się dla sprawy, pośrednictwo pracy krok po kroku zaczynało przejmować jego wizję dotyczącą statystyki i kontroli i zastępować nią bezładne szukanie etatów zrywami. Wykonywanie obowiązków nadal jednak szwankowało. Przekłęci politycy wtrącali swoje trzy grosze, podobnie jak na ogół równie przekłęci współobywatele. Co cztery lata odbywały się demokratyczne wybory, przed którymi każda partia polityczna obiecywała obniżyć bezrobocie na jeden, drugi czy trzeci sposób. Niezależnie od sposobu wprowadzało to zawsze chaos w ministerstwie. Strach pomyśleć, co by było, gdyby pozwolić wyborcom zmieniać partie jeszcze częściej. Urzędnicy po każdym wyborach musieliby wprowadzać nową politykę pracy, zamiast kontynuować starą, równie nieudaną.

Samotny przez te wszystkie lata urzędnik miałby zatem dosyć bezsensowne życie, gdyby nie postanowił spełniać się na innej płaszczyźnie. Kwestię bezrobocia pozostawił otwartą, oddając ją w ręce Pana, sam zaś zaczął robić karierę w sferze niebiańskiej.

Był to dobry wybór: nieustanne budowanie struktury kościelnej w zborze, do którego należał i w którym stopniowo zaczął kontrolować wszystkie elementy.

Życie religijne uczyniło Börjega Ekmana po prostu szczęśliwym. Wyobrażał sobie, że będzie jeszcze szczęśliwszy, kiedy przejdzie na emeryturę. Bo wtedy poświęci cały swój czas na to, by być nieoficjalnym pasterzem gminy. Wszystkie owieczki słuchały go i były mu posłuszne, włącznie z głównym baranem na ambonie.

Aż do katastrofy. Kościół znowu uderzył, zbor – włącznie z osiemnastoma z dziewiętnastu aktywnych członków – został dołączony do sąsiedniego. Börje Ekman natomiast jako dziewiętnasty i ostatni członek zamiast przenieść się z resztą, służył nadal przy swojej starej świątyni i dbał o to, aby zwirowa

alejka nie zarastała chwastami. Granlund z sąsiedniego kościoła był zwykłym bufonem (to znaczy człowiekiem, który nie pozwalał Börjemu Ekmanowi decydować o wszystkim).

I tak kilka tygodni temu były zbór byłego kościelnego został wraz z kościołem, cmentarzem i wszystkim sprzedany, i to świeżo nawróconemu byłemu mordercy, o którym mówił chyba cały kraj. Konieczność podporządkowania się tego rodzaju osobie bynajmniej nie była pociągająca, ponadto osłabiała potencjalną pozycję Börjego Ekmana u bram niebios. Ale to przecież jest jego kościół, co bardzo szybko postara się uświadomić także mordercy, tak aby to zrozumiał (w odróżnieniu od Granlunda, który nic nie pojmował). Najlepszy kościelny w Szwecji powrócił, chociaż nikt jeszcze o tym nie wiedział.

Börje Ekman zdążył już być na miejscu ze trzy razy, żeby pograbić przed nowym początkiem, lecz dopiero w dniu inauguracji ktoś go zauważył. Nazywał się Jerry. Szef ochrony. Ochrony czego?

Między jednym a drugim grabieniem Börje wspominał z uśmiechem ostatnie dni w swej spiżarni w ministerstwie. Wyobrażał sobie wtedy, że cały swój czas będzie spędzał w nowym starym zborze. Jeszcze trzy dni, dwa, jeden... pożegnanie bez tortu – a teraz, pierwszego dnia po dniu ostatnim, nadszedł czas nowego otwarcia jego ukochanego kościoła.

Świadomie nie ujawnił się do tej pory. Postanowił poczekać z tym do inauguracyjnego kazania. Objawić się jako miła niespodzianka dla zdezorientowanego bez wątplenia kierownictwa zboru ze wszystkimi naukami, które miał im do przekazania.

Tego rodzaju myśli wywoływały na jego ustach uśmiech, który zastygnie w niezbyt odległej przeszłości.



## Rozdział 37

Drugi z kolei i drugi co do wielkości zjazd kryminalny odbył się w piwnicy jednej z knajp najchętniej odwiedzanych przez wymienioną niżej klientelę.

Siedemnastu mężczyzn, żadnego hrabiego, żadnej hrabiny. Temat obrad: hrabiowska para musi zniknąć. I to zanim zdąży coś zrobić Andersowi Mordercy. Decyzja została podjęta stosunkiem głosów siedemnaście do zera.

Ale który albo którzy mają to wykonać i jak ma się to odbyć? Dyskutowano na ten temat przy jednym piwku za drugim, które donoszono z góry.

Oprychy miały nieoficjalnego przywódcę – był nim ten, który jako pierwszy odważył się postawić hrabiemu i hrabinie w czasie pierwszej wielkiej narady. Po dwóch głębszych przypomniał sobie coś, o czym wszyscy już wiedzieli, a mianowicie, że Olofsson i Olofsson spalili pensjonat Cypel na Jeziorze.

– A co to ma do rzeczy? – spytał Olofsson.

– No właśnie – powiedział jego brat.

To proste. Naczelny oprych kombinował w ten sposób, że gdyby pensjonat się nie spalił, Anders Morderca znajdowałby się tam aż do dzisiaj i wystarczyłoby po prostu do niego pojechać i ukryć go przed hrabią i hrabiną.

Olofsson zaprotestował, mówiąc, że Anders Morderca całkiem nieźle ukrywał się do tej pory bez ich pomocy i że cała historia z hrabią zaczęła się nie od tego, że morderca się ukrył, tylko przeciwnie – że przestał się ukrywać. Zmartwychwstał razem z Jezusem i było o nim głośno we wszystkich gazetach, w których wypowiedział tamte nieszczęsne słowa, co się wydarzy, jeśli jemu coś się stanie.

– Gdyby nie to wszystko razem, byłoby raczej mało prawdopodobne, żebyśmy całą siedemnastką udali się do

pensjonatu na pogawędkę z mordercą przy szklance herbaty, a potem poprosili go uprzejmie, żeby uciekł do jakiejś chatki w górach, byle tylko nic złego mu się nie przytrafiło – powiedział Olofsson.

– No właśnie – potwierdził jego brat.

Rozumowanie Olofssonów było zbyt zawile, by pozostali mogli nadażyć dalej niż do połowy. Dlatego wynikiem głosów piętnaście do dwóch bracia zostali zobowiązani do zlikwidowania hrabiego i hrabiny, zanim oni zlikwidują tego, którego należało zlikwidować od samego początku, ale który teraz powinien pozostać przy życiu najdłużej, jak się da.

Obecni w piwnicy rzadko dogadywali się ze sobą, gdy w grę wchodziły pieniądze – po prostu nie mieli tego w genach. Tym bardziej może zdumiewać ich porozumienie w kwestii honorarium dla Olofssona i Olofssona, które miało wynieść czterysta tysięcy koron za każdego przedstawiciela arystokracji i milion, jeśli uda im się pozbyć obojga za jednym zamachem.

Olofsson i Olofsson nie wyglądali na uszczęśliwionych. Ale milion to milion, a właśnie tyle było potrzeba, aby bracia znowu stanęli finansowo na nogi. Piętnastu wkurzonych oprychów wgapiło się w nich, czekając na potwierdzenie.

Bracia mogli albo zaakceptować...

Albo nie zaakceptować.

## Rozdział 38

Została już tylko godzina do kaznodziejskiego debiutu Andersa Mordercy. Pastor po raz ostatni przeanalizowała strategię i plan. Nie była pewna, czy wszystko pójdzie dobrze, bo jej uczeń w połowie wydawał się pojętny i myślący, jednak jego druga połowa sprawiała wrażenie niewiele bardziej rozgarniętej od piłki do krykieta. Która część przeważy na ambonie, nie sposób było przewidzieć.

Kościół stopniowo się zapełniał. Przed panoramicznym ekranem na zewnątrz też zgromadził się niemały tłum i rwącym strumieniem wciąż napływali kolejni goście. Dwóch snajperów z celownikami na wieży, jeden ochroniarz przy każdym wejściu do kościoła, jedyny jako tako wyglądający półkryminalista ubrany mimo jego cichego protestu w czarny garnitur i umieszczony przy elektronicznej kontroli bezpieczeństwa w bramce. Przeszedł u pastor przyspieszony kurs zachowania (z powodu braku czasu kurs był superekspresowy).

– Dlaczego wprowadziliście kontrolę bezpieczeństwa przy wejściu do kościoła? – zdziwił się jeden z gości, który właściwie wcale nie chciał tu być, ale został zaciągnięty przez żonę.

– Ze względów bezpieczeństwa, szanowny panie – odpowiedział przebrany w garnitur.

– Ze względów bezpieczeństwa? – powtórzył mężczyzna przemądrzale.

Pastor postanowiła, że goście mają być jak najstaranniej izolowani od informacji, że istnieje zagrożenie dla duszpasterza i dla nich samych.

– Tak, ze względów bezpieczeństwa, szanowny panie – potwierdził jeszcze raz ten w garniturze.

– Czyjego bezpieczeństwa i z jakiego powodu? – nie ustępował przemądrzały.

– Może byśmy już weszli, Tage – odezwała się jego nieco

zniecierpliwiona żona.

– Muszę przyznać, że zgadzam się z pańską piękną małżonką – rzekł ubrany w garnitur, marząc o tym, żeby przyłożyć temu parszywemu staruchowi pięścią, którą zaciskał mocno, bardzo mocno w kieszeni marynarki. Musiałby tylko pamiętać, żeby najpierw puścić granat.

– Ale to jest jakieś dziwne, Greto – stwierdził Tage, który przez cały dzień próbował przeforsować oglądanie w telewizji końcowych rozgrywek hokejowych.

Kolejka za upartym staruchem z każdą chwilą robiła się dłuższa, więc wciśnięty w garnitur ochroniarz nie potrafił już zachowywać się, jak przystało na garnitur.

– Jeśli nie pojmujesz słów „ze względów bezpieczeństwa”, to jak zrozumiesz coś z tego, co zaraz będzie mówić duszpasterz? Spadaj stąd, do cholery, wracaj swoim pieprzonym volvo do swojego pieprzonego szeregowca na pieprzonych przedmieściach i kiśnij dalej na pieprzonej kanapie z Ikei, jak ci nie pasi zbawienie, które oferujemy.

Na szczęście akurat obok przechodziła pastor i przypadkiem usłyszała ostatnią część dialogu, który zmierzał w całkowicie złym kierunku.

– Przepraszam, że się wtrącam – rzekła. – Nazywam się Johanna Kjellander, jestem asystentką chyba drugiego co do wielkości posłańca dobrej nowiny na naszej Ziemi. Ochroniarz, z którym pan właśnie rozmawiał, należy do początkującej grupy wyznawców duszpasterza Andersa i na razie nie doszedł dalej niż do Pierwszej Księgi Mojżeszowej.

– Och? – odezwał się uparty.

– No cóż, a tam nie ma wielu wskazówek, jak należy się zachowywać, jedynie, że nie wolno jeść zakazanego owocu, chociaż Adam i Ewa to zrobili, zachęceni przez mówiącego ludzkim głosem węża. Co może się wydawać trochę dziwne, lecz Pan potrafi sprawić prawie wszystko.

– Mówiący wąż? – spytał mężczyzna, który w tym momencie był już bardziej oszołomiony niż nieprzejezdny (i który w odróżnieniu od swej żony nigdy nie otworzył Biblii).

– Oczywiście. Ten wąż umiał też słuchać i został porządnie

złajany przez Boga. To dlatego jest taki służalczy aż po dziś dzień. Wąż, nie Bóg.

– O co tutaj chodzi? Do czego pani zmierza? – dziwił się coraz mniej uparty, a coraz bardziej osłupiały mężczyzna.

Pastor zmierzała przede wszystkim do tego, żeby zbić upartego z tropu, i na razie jej się udawało. A teraz błyskawicznie zastanowiła się nad dalszą taktyką i po chwili bardziej przytłumionym głosem kontynuowała, że siła słów pasterza Andersa może nie mieć granic. Oczekiwanie, iż podczas kazania objawi się sam Pan Jezus, jest być może oczekiwaniem nadmiernym, gdyby jednak się tak zdarzyło, można sobie wyobrazić, jakie byłoby to straszne, jeśliby ktoś go zaatakował. Nie można też wykluczyć, że Chrystus wyśle któregoś ze swych apostołów, niekoniecznie Judasza Iskariotę, w końcu ma jedenastu do wyboru. Reasumując: trudno przewidzieć, jakie siły duszpasterz wyzwoli, i to już dzisiaj. Stąd te środki bezpieczeństwa.

– Ale bardzo proszę! Nikogo nie zmuszamy do spotkania z naszym duszpasterzem, nikogo nie zmuszamy, żeby spotykał się z Jezusem Chrystusem czy jego apostołami. Wszystko, co zaraz się tutaj wydarzy, pewnie znajdzie się jutro w gazetach, tak więc nie przegapi pan niczego. Czy mam odprowadzić pana do wyjścia?

Nie, były uparty raczej już tego nie chciał, a z całą pewnością nie chciała tego jego żona, która zdecydowanie wzięła go pod rękę i rzekła:

– Chodź już, Tage. Wejdźmy do środka, zanim zabraknie miejsc.

Tage potulnie dał się pociągnąć małżonce, zachował jednak tyle przytomności umysłu, że gdy mijał nieuprzejmego pracownika ochrony, nie omieszkał zwrócić mu uwagi, że on i jego żona od niemal dwóch lat jeżdżą oplem corsą.

Anders Morderca miał za zadanie powtarzać bez przerwy: szczodroblivość, szczodroblivość i szczodroblivość. Potem odrobina Jezusa i jeszcze więcej szczodroblivości. Kolejne

hasła przewodnie mówiły, że rzeczą bardziej błogosławioną jest dawać, że niebo czeka tych, którzy opróżnią swój portfel i wrzucą całą jego zawartość do koszyka, że szansę na niebo mają wciąż ci, którzy jedynie uchylili portfela (zgodnie z zasadą ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka).

– I nie wyskakuj z tymi swoimi allelujami, hosannami i wszystkim, czego nie rozumiesz – upomniała go pastor.

Anders Morderca był zdenerwowany. Jeśli teraz nagle ma nie mówić niczego, czego do końca nie rozumie, to niewiele zostanie mu do powiedzenia. Spytał więc, czy istnieje możliwość, by w sytuacji kryzysowej wyrecytował nazwy grzybów po łacinie, bo to mogłoby brzmieć okropnie religijnie dla kogoś, kto nie jest wystarczająco wtajemniczony. I wymienił jako przykład:

– *Cantharellus cibarius*, *Agaricus arvensis*, *Tuber magnatum*... W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Amen.

– Co on mówi? – spytał recepcjonista, który właśnie wszedł do środka.

– Nie jestem pewna, ale zdaje się, że właśnie modlił się do kurek, pieczarek i trufli – odrzekła pastor, po czym odwróciła się z powrotem do mordercy i zabroniła mu choćby pomyśleć o tym, co właśnie wymienił, a tym bardziej o muchomorze, jakkolwiek się nazywa.

– *Amanita muscaria* – zdążył rzucić Anders Morderca, zanim mu przerwano.

Pastor oznajmiła, że nie pora teraz tracić wiarę w siebie (choć jednocześnie przemknęło jej przez głowę, że muchomor po łacinie rzeczywiście brzmi lepiej niż wtrącona w nieodpowiednim miejscu hosanna).

– Pamiętaj, że jesteś bohaterem narodowym, że jesteś nowym Elvisem – powiedziała, jednocześnie napełniając winem kielich.

Dzień wcześniej znalazła go w osiemnastowiecznej szafie, która być może miała większą wartość niż cały kościół. W tej samej szafie stała szkatułka z opłatkami, które prawdopodobnie smakowały kurzem. Pastor zaproponowała Andersowi Mordercy ciało Chrystusa jako uzupełnienie, ale on,

opróżniając właśnie kielich, który wziął do ręki, wolał dwa razy przyjąć krew. Gdyby nagle podczas kazania okazało się potrzebne także ciało, na wszelki wypadek schował już sobie na ambonie torbę bułeczek cynamonowych.

## Rozdział 39

Pojawienie się duszpasterza Andersa wywołało nieopisaną radość i aplauz.

Pasterz pomachał na prawo, pomachał na lewo i pomachał przed siebie. Następnie pomachał we wszystkich kierunkach obiema rękami i poczekał, aż ludzie nieco się uspokoją.

– Alleluja! – powiedział na początek.

Znowu wybuchła radosna wrzawa.

– Hosanna! – kontynuował, na co pastor za kotarą szepnęła recepcjoniście do ucha, że za chwilę zostanie mu tylko muchomor.

Tymczasem duszpasterz na ambonie wybrał inną linię:

– Szczodrobliwość, szczodrobliwość, szczodrobliwość! – rzekł.

– Może być – mruknęła pastor.

Podczas gdy dwie pełniące swą powinność klasy z gimnazjum Mälar krążyły z koszykami wewnątrz i na zewnątrz kościoła, Anders Morderca kontynuował kazanie.

– Krew i ciało Chrystusa! – rzekł, na co natychmiast podniosły się wiwaty.

– *Ciało i krew* – taka jest prawidłowa kolejność – szepnęła pastor do recepcjonisty. – Ale w końcu każdy ma swoje priorytety.

– Byleby tylko nie wyjął bułeczek cynamonowych – odpowiedział recepcjonista.

Na razie duszpasterz nie pisał ani słówkiem o własnej historii, o swoim nowym powołaniu. Dotąd nie padło też ani jedno sensowne zdanie. Ale ku zdumieniu pastor



i recepcjonisty nie było to wcale potrzebne. Andersa Mordercę traktowano identycznie jak... Elvisa.

Właśnie wyciągnął karteczkę ze swoimi zapiskami i położył ją przed sobą. Podczas studiowania Biblii w kamperze znalazł w niej to i owo o nadzwyczaj doniosłym znaczeniu.

– Powiem wam to samo, co Paweł napisał kiedyś do Tymoteusza: „Samej wody już nie pij, używaj natomiast po trosze wina ze względu na żołądek”.

Recepcjonista złapał się za czoło. Pastor nie kryła przerażenia. Co jeszcze ten bałwan ma na swojej kartce?

Radosne okrzyki mieszały się teraz ze śmiechem i wyrazami rozbawienia. Ale wszystko nadal wydawało się pełne miłości. Atmosfera w kościele nie opadała.

Pastor i recepcjonista stali za kotarą na lewo od ambony, skąd mogli obserwować publiczność, sami nie będąc widziani. Młodzież z gimnazjum sunęła pospiesznie wzdłuż rzędów i niemal każdy wrzucał jakiś banknot, ale czy przypadkiem...

– Czy tylko mi się zdaje – zwrócił się recepcjonista do swojej pastor – czy też ci, którzy są najbardziej rozradowani, dają najwięcej?

Pastor ogarnęła wzrokiem morze ludzi, podczas gdy Anders Morderca kontynuował, wspomagając się notatkami:

– Nawet prorok Habakuk widział wino w swoich wizjach. Albo jak mówi Pismo Święte: Pij i ty, póki nie obnażysz swego nieobrzezanego członka. A teraz masz przyjąć kielich, który Pan ci podaje.

Cytat był kompletnie wyrwany z kontekstu, ale w efekcie atmosfera jeszcze bardziej się ożywiła. A pastor mogła się przekonać, że recepcjonista miał rację. Ponieważ koszyki były już wypełnione, kilkoro uczniów chodziło po kościele z wiaderkami; do jednego z nich ktoś wrzucił nawet cały portfel!

Pastor rzadko klęła. Przejęła to po swoim tacie proboszczu. On sięgał po brzydkie słowa sporadycznie i wtedy były zawsze skierowane przeciwko córce. Poza niedzielą, na kilka godzin przed nabożeństwem. Proboszcz budził się wówczas, siadał na łóżku, wsuwał stopy do rannych pantofli, które żona miała

obowiązek stawiać mu zawsze na właściwym miejscu, uświadamiał sobie, że jest niedziela, i podsumowywał dzień, jeszcze zanim się zaczął, mówiąc:

– No tak, do jasnej cholery!

Dlatego godne uwagi jest to, że pastor, widząc całe portfele znikające na dnie koszyków i wiaderek, powiedziała to, co powiedziała. Stwierdziła mianowicie, że to, czego tu doświadcza, jest zajebiste. Na jej obronę należy dodać, że mówiła to tak cicho, iż usłyszała to jedynie ona.

Ponadto Anders Morderca w ciągu dwudziestu ostatnich minut kazania wziął się w garść. Podziękował Jezusowi, że pozwolił nędznemu mordercy narodzić się na nowo. Pozdrowił swoją przyjaciółkę królową i jej również podziękował za wsparcie. Rzucił jeszcze kilka cytatów ze swojej kartki, ale tym razem o istotniejszej treści niż wcześniejsze:

– Bóg tak ukochał świat, że dał mu swego jedyne go syna, aby ci, którzy wierzą w niego, nie zginęli, tylko mieli życie wieczne.

Po czym przy wtórce tak głośnych braw, że prawie nie było słyhać jego głosu, powtórzył:

– Szczodroblliwość, szczodroblliwość, szczodroblliwość. Alleluja, hosanna i amen!

Nieplanowane „amen” liczni z obecnych odebrali jako sygnał, że duszpasterz skończył (swoją drogą on sam nie wiedział, czy tak było, czy nie), w związku z czym wstali z ławek i rzucili się ku niemu. Niemal natychmiast w ich ślady poszło co najmniej trzystu pozostałych. Jak już jest się Elvisem, to na całego.

Potem nastąpiło dwuipółgodzinne rozdawanie autografów i robienie zdjęć z duszpasterzem Andersem. Tymczasem pastor i recepcjonista, obdarowawszy każdego z gimnazjalistów stówką ze zbiórki, przystąpili do liczenia tego, co zostało.

W rogu placu za kościołem stał mężczyzna, który nie trzymał już grabi (nawiasem mówiąc, nie przeszłyby przez kontrolę bezpieczeństwa).

– Dzięki ci, Panie, że powierzyłeś mi zadanie, abym zaprowadził porządek w tym chaosie – rzekł Börje Ekman.

Pan nie odpowiedział.

## Rozdział 40

Premiera przyniosła czterysta dwadzieścia pięć tysięcy koron, po odliczeniu wypłaconego już wynagrodzenia dla młodzieży gimnazjalnej. Zostało do wydania po dwadzieścia jeden tysięcy dwieście pięćdziesiąt koron dla ochrony, Andersa Mordercy, na cele dobroczynne i na koszty ogólne. Resztę, czyli trzysta czterdzieści tysięcy, włożono do żółtej walizki pastor i recepcjonisty, którą schowano w osiemnastowiecznej szafie w zakrystii. Czerwona na razie nie była potrzebna (walizki trudno wprawdzie uznać za najbezpieczniejsze na świecie skrytki bankowe, mimo to recepcjonista nalegał, aby wszystkie dochody gromadzić właśnie w nich, ponieważ w razie sytuacji kryzysowej rozbieg do startu zajmie im mniej niż pół minuty).

Anders Morderca w podziękowaniu za dobrą robotę otrzymał wieczorem dodatkową butelkę wina oraz obietnicę, że nie powinno upłynąć więcej niż dwadzieścia tygodni, a będzie mógł obdarować wybranego odbiorcę kolejnym pół miliona.

– Fantastycznie – odpowiedział. – Ale teraz chętnie bym coś przekąsił, mogę pożyczyć pięć stówek na jakąś szamkę?

Recepcjonista uświadomił sobie, że zapomnieli go poinformować o wynagrodzeniu, które mu się należy, a skoro zainteresowany niczego się nie domagał, można chyba uznać sprawę za załatwioną.

– Jasne, że możesz pożyczyć pięć stówek – rzekł. – Masz! Tylko proszę cię, nie rozprztykaj wszystkiego od razu. I weź ze sobą Jerry'ego z Nożem, jeśli się gdzieś wybierasz.

W przeciwieństwie do Andersa Mordercy Jerry z Nożem potrafił liczyć. Dwadzieścia jeden tysięcy dwieście pięćdziesiąt koron nie pokrywało wynagrodzenia dla niego i jego personelu.

– To proponuję dwa razy tyle – rzekł recepcjonista.

Ochrona dostała to, co mógł dostać morderca (który jednak

tego nie rozumiał), w konsekwencji czego budżet nie doznał uszczerbku.

Ale zanim Anders Morderca zdążył oddalić się z Jerrym z Nożem, do zakrystii weszła jeszcze jedna osoba.

– Co za cudowny wieczór w służbie Pana – uśmiechnął się mężczyzna, który miał niebiańską misję zaprowadzenia porządku.

– Kim pan jest? – spytała pastor.

– Jestem Börje Ekman, kościelny zboru od trzydziestu lat. Albo trzydziestu jeden. Albo dwudziestu dziewięciu, zależy, jak się liczy. Bo kościół przez jakiś czas nie był używany.

– Kościelny? – powtórzył recepcjonista.

Kłopoty, pomyślała pastor.

– O ja pierdole, zapomniałem o nim powiedzieć – odezwał się Jerry z Nożem, który w pośpiechu zapomniał o stosownym języku.

– Witaj w domu – rzekł Anders Morderca, który w ciągu niewielu minut otrzymał pochwały z dwóch różnych stron i poczuł się pobłogosławiony.

Wychodząc, uściśnął zatem Börjego Ekmana.

– Chodź, Jerry, idziemy. Chce mi się pić. To znaczy jeść.

## Rozdział 41

Börje Ekman nie zdążył wymienić ani jednego z czternastu zanotowanych przez siebie punktów dotyczących wieczornego nabożeństwa, został bowiem delikatnie zbyty przez recepcjonistę i pastor obietnicą, że omówią je dokładnie kiedy indziej. Na co on odpowiedział, że poza kilkoma istotnymi szczegółami dotyczącymi samego przesłania, tonu kazania, pory nabożeństwa i paroma innymi drobiazgami nie ma wiele do omawiania; on wie, jak należy zorganizować idealnie działający zbor, zdążył już też nawiązać trochę kontaktów z obecnymi dzisiaj wiernymi.

– À propos, ile zebraliśmy dziś wieczorem?

– Jeszcze nie policzyliśmy, ale na pewno ponad pięć tysięcy – odpowiedział szybko recepcjonista, mając nadzieję, że nie za bardzo zaniżył sumę.

– Ho, ho – rzekł Börje Ekman. – To rekord zboru! Nietrudno sobie wyobrazić, ile będziemy dostawać, jak popracuję nad organizacją, treścią i wszystkim po trochu. Daję głowę, że kiedyś przebijemy pułap dziesięciu tysięcy koron.

Kłopoty, kłopoty, kłopoty, pomyślała pastor.

Z zapowiedzią „przyjdę znowu w poniedziałek, żeby na nowo ładnie wygrabić alejkę, i może wtedy się spotkamy” Börje Ekman opuścił wreszcie pomieszczenie.

– Że też człowiek nigdy nie może być do końca zadowolony – powiedział recepcjonista.

Pastor w pełni się z nim zgadzała, uznała jednak, że teraz pora na świętowanie, przy bogatym menu, w uroczej atmosferze hotelu. Ale przede wszystkim muszą przedyskutować dalszy rozwój koncepcji, uwzględniając doświadczenia dzisiejszego wieczoru.

Zaraz po pierwszym toaście wzniesionym południowo-afrykańskim Anwilka, rocznik 2005, pastor zaprezentowała swój nowy pomysł.

– Komunia – powiedziała.

– O nie – zareagował z niechęcią recepcjonista.

– Poczekaj!

Miała bowiem na myśli nie to, co trzymało Andersa Mordercę na chodzie, ani nie komunię we właściwym znaczeniu tego słowa, lecz w swobodnym sensie przetransponowanym na Kościół Andersa.

– Mogłabyś to rozwinąć? – poprosił recepcjonista i wypił kolejny spory łyk aromatycznego wina, za które zaraz będą musieli zapłacić ponad dwa tysiące koron. Albo więcej, jeśli zamówią następną butelkę.

Odkryli dziś pewną zależność: im radośniejsi słuchacze, tym większa hojność. Jeśli dzięki Andersowi Mordercy ludzie stają się bardziej zadowoleni (a dotyczyło to wszystkich poza nimi dwójkiem i prawdopodobnie tym nędznym kościelnym), są także hojniejsi. A wiadomo, że wino dodatkowo poprawia humor – ergo skłania do szczodrobliwości! Proste.

Konkluzja pastora polegała na tym, że jeśli uda im się wmusić w każdego słuchacza kazania od jednego kieliszka do pół butelki – w zależności od jego możliwości, wzrostu czy masy ciała – niedzielne zyski mogłyby ulec podwojeniu. I to nie z pięciu tysięcy do dziesięciu, jak sugerował dziadek od grabi, tylko z pół do całego miliona.

– Komunia w nieograniczonej ilości dla wszystkich? – upewnił się recepcjonista.

– Chyba nie powinniśmy już nazywać tego komunią, przynajmniej między nami. Stymulant finansowy brzmi lepiej.

– A co z pozwoleniem na alkohol?

– Moim zdaniem nie będzie potrzebne. W tym cudownym kraju, pełnym regulacji i zakazów, można odkorkowywać tyle flaszek, ile się chce, dopóki wszystko odbywa się w murach kościoła. Ale na wszelki wypadek dowiem się zaraz w poniedziałek. Twoje zdrowie, ukochany. Dobre wino. Zbyt dobre dla naszego zboru.

## Rozdział 42

W poniedziałek, o godzinie dziewiętej zero jeden, pastor zadzwoniła z zakrystii do miejscowego urzędu wydającego zezwolenia na dystrybucję alkoholu i tytoniu, przedstawiła się jako asystentka duszpasterza w nowo powstałym zborze i zapytała, czy w jakiegokolwiek sytuacji wymagane jest pozwolenie, aby podawać wino podczas komunii.

Nie, poinformował sztywny przedstawiciel urzędu. Komunię można podawać bez zezwolenia.

Na co pastor – na wszelki wypadek – spytała jeszcze, czy istnieją jakiegokolwiek ograniczenia dotyczące ilości wina przeznaczonej do przyjęcia przez każdego członka zboru. Czy urząd ma jakieś stanowisko w tej kwestii.

Sztywny chyba usztywnił się jeszcze bardziej i przeczuwając, że w pytaniu kryje się jakiś haczyk, postanowił uzupełnić urzędową odpowiedź osobistą refleksją:

– Ilość wina przyjmowanego podczas komunii nie jest z całą pewnością zagadnieniem, co do którego urząd wydający koncesje może zajmować stanowisko, gdyż prawo raczej nie zakłada, że ludzie chodzący do kościoła mają się w nim upijać. Nietrudno bowiem sobie wyobrazić, że jeśli nadużyją wina, nie dotrze do nich religijne przesłanie.

Niewiele brakowało, by pastor powiedziała, że w tym konkretnym przypadku byłoby bardzo dobrze, gdyby przesłanie zagubiło się gdzieś po drodze, a przynajmniej jego niektóre elementy, szybko jednak podziękowała i odłożyła słuchawkę.

– Mamy zielone światło! – oznajmiła recepcjoniście.

Następnie zwróciła się do Jerry'ego z Nożem, który również znajdował się w zakrystii.

– Chcę mieć do soboty dziewięćset litrów czerwonego wina. Zajmiesz się tym?

– Jasne – odparł Jerry z Nożem, który miał odpowiednie kontakty. – Dwieście pięciolitrowych kartonów merlota z Mołdawii po sto koron karton – może być? Nie smakuje całkiem...

...„beznadziejnie” – chciał dodać, nie zdążył jednak, ponieważ mu przerwano.

– Zawartość alkoholu? – spytała pastor.

– Wystarczająca – zapewnił Jerry z Nożem.

– To wchodzimy w to. Albo weź od razu czterysta kartonów, przecież na jednej sobocie się nie skończy.



## Rozdział 43

Börje Ekman grabił swoją alejkę. Ona rzeczywiście była jego, nikogo innego. Obok przeszedł Anders Morderca, a Jerry z Nożem krok za nim. Duszpasterz z uznaniem wypowiedział się o grabieniu, w zamian za co usłyszał miłe słowa na temat swojego debiutanckiego kazania.

– Nie można mu wiele zarzucić – kłamał Börje Ekman z uśmiechem.

Bezczelne kłamstwo było zaplanowanym przez niego wstępem do trzystopniowego planu, który w fazie A przewidywał:

- 1) wyrażanie opinii na temat treści kazania,
- 2) stopniowe podsuwanie duszpasterzowi kluczowych wytycznych, których powinien się trzymać, aby w końcu...
- 3) w sposobnym momencie przejść do pisania niedzielnych tekstów.

Pozostawała tylko jedna rzecz: przeniesienie nabożeństwa z soboty wieczór na niedzielę. Będzie to musiał zmienić w fazie B. Albo C, w zależności od tego, jak sterowalni okażą się duszpasterz, pastor i ten trzeci.

Jerry z Nożem, chodzący za mordercą jak cień, był na tyle bystry, by wspomnieć pastor i recepcjoniście o początkach bliższej znajomości między kaznodzieją a samozwańczym kościelnym.

– Kłopoty, kłopoty, kłopoty, kłopoty, kłopoty – powtórzyła pastor.

Recepcjonista pokiwał głową. To, że Börje Ekman nazywał siebie kościelnym, chociaż nie został nim mianowany, stanowiło w gruncie rzeczy niewielki problem. Wydawał się jednak nierozzerwalnie związany z tym kościołem oraz jego okolicą i na pewno zawsze tu wróci, niezależnie od tego, jak daleko Jerry z Nożem i jego przyjaciele go odpędzą. Wróci i odkryje to, co przegapił za pierwszym razem – a mianowicie,

o jakie sumy w rzeczywistości chodzi. Oprócz tego istniało ryzyko, że namiesza w już i tak skołowanej głowie duszpasterza do tego stopnia, że nie da się nic zrobić.

– Kiedy następnym razem ty i Anders Morderca zobaczycie Börjega Ekmana, spróbuj odciągnąć tego kretyna w inną stronę – powiedział recepcjonista.

– Którego? Mordercę czy tamtego z grabiami? – spytał Jerry z Nożem.

## Rozdział 44

Premiera wypadła lepiej, niż można było przypuszczać, biorąc pod uwagę wstępne przesłanki. Gazety też na niej były i zafundowały potem darmową reklamę w formie relacji z sukcesu duszpasterza Andersa oraz spekulacji, kto otrzyma następne pół miliona od nowo nawróconego, altruistycznego byłego mordercy. Samo kazanie nie zaimponowało przesadnie żadnemu dziennikarzowi, doceniono jednak pasję i entuzjazm zarówno pasterza, jak i zgromadzonych wiernych.

Kilka dni później sprawa znowu wróciła na łamy gazet. Według anonimowego informatora gratisową kawę w najbliższą sobotę miało zastąpić wino, również gratisowe, jako że eucharystia jest ważną częścią liturgii w Kościele Andersa. Jak dowiedział się jeden z dzienników, główne nabożeństwo będzie się odbywać jak rok długi w każdą sobotę o godzinie siedemnastej zero zero. W przypadku gdy wigilia Bożego Narodzenia wypadnie w sobotę, zostanie podane grzane wino, reszta natomiast się nie zmienia.

– Dzięki ci, Boże, za ideę anonimowego telefonu – powiedział recepcjonista po przeczytaniu darmowej reklamy w ogólnokrajowych tabloidach.

– A w którym miejscu Biblii znalazłeś, że to Bóg wymyślił anonimowy telefon? – spytała pastor.

\* \* \*

Nadeszła następna sobota i znowu napłynęły potoki ludzi, tym razem jednak kościół nie był aż tak przepełniony. Pastor i recepcjonista doszli do wniosku, że powód był jeden: wielu zdobyło już autograf albo zrobiło sobie zdjęcie i nie widziało potrzeby, by płacić za to samo jeszcze raz. Tak czy inaczej dwieście osób nie znalazło miejsca w kościele.

Poprzednio termosy z kawą zostały rozstawione na co

dwudziestym miejscu siedzącym. Obecnie na każdym czekał kieliszek, a co pięć metrów na podłodze stał bag-in-box mołdawskiej produkcji.

Nikt nie śmiał tknąć wina przed wejściem duszpasterza, które nastąpiło dokładnie z wybiciem zegara o godzinie siedemnastej zero zero.

W tym samym odległym kącie co tydzień wcześniej stał:

Börje Ekman.

Głęboko skonfundowany.

– Alleluja i hosanna – zaczął duszpasterz Anders, po czym kierując się względami czysto osobistymi, przeszedł prosto do rzeczy: – Jezus, moi drodzy przyjaciele, wziął na siebie cierpienie całej ludzkości. Wypijmy za to na wstępie!

Podczas gdy Anders Morderca napełniał swój kieliszek z kielicha mszalnego, w rzędach ławek wybuchł zamęt. Bo nie ma chyba bardziej niezręcznej sytuacji niż puste naczynie, gdy trzeba odpowiedzieć na toast.

Niezależnie od tego, jak bardzo duszpasterz chciał już wychylić to, co trzymał w ręce, odczekał, aż prawie wszyscy z obecnych wydawali się gotowi.

– Za Jezusa! – powiedział w końcu i opróżnił kieliszek jednym haustem. Ponad siedemset z ośmiuset osób w kościele poszło za jego przykładem.

Po niestosownym „gładko wchodzi” duszpasterz Anders zaczął swoje kazanie od wyjaśnienia, że był zwykłym sługą Pana, który wcześniej nie rozumiał, że droga do Królestwa Niebieskiego wiedzie przez ciało i krew Chrystusa. Ale teraz ujrzał światło. I dlatego chce przede wszystkim odsłonić przed zgromadzonymi, skąd wzięła się cała idea komunii. Szczegóły może sobie darujemy, powiedział, ale w dużym skrócie wyglądało to tak, że Jezus zgłodniał, zanim miał być ukrzyżowany, i zaprosił swoich kumpli na ostatnią balangę. Był na niej on i apostołowie, ale późniejsi badacze, na czele z samym duszpasterzem Andersem, mówią, że oni wszyscy włąli w siebie dużo więcej wina, niż uważano do tej pory. No bo

przecież minęło trochę czasu, zanim doszło do ukrzyżowania, istnieje więc ryzyko, że Jezus zawisł na Golgocie pijany. To by wyjaśniało te jego pełne lęku słowa: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”.

Balanga? Wstawiony Chrystus na krzyżu? Czy Börje Ekman się przesłyszał?

Duszpasterz Anders miał nową karteczkę z przypominajkami i dlatego mógł elegancko odesłać do ostatniego cytatu ze świętego Marka: 15,34. Następnie zrobił nieplanowaną dygresję na temat przekleństwa, jakim jest pijaństwo, po czym wrócił znowu do Jezusa na krzyżu, ponieważ według niego naprawdę interesujące jest to, co Chrystus powiedział, zanim poszybował ku wieczności, a mianowicie: „Pragnę” (Jan 19,28).

Tyle, jeśli chodzi o krew Jezusa. Co się tyczy ciała... Nie, najpierw może pora na jeszcze jeden toast w imię Pana.

Nie minęło wiele czasu, a niemal wszyscy zebrani byli nieźle podchmieleni. Duszpasterz zdążył wznieść trzy toasty za Jezusa podczas swojego domorosłego wykładu na temat komunii, a następnie przeszedł do kolejnego zaplanowanego punktu wystąpienia.

– Mówi się, że łamali się także chlebem do wina, ale zaraz, zaraz: suchy biały chleb do czerwonego wina, czy to w ten sposób mamy czcić Pana i jego Syna?

Z różnych stron dobiegło słabe „nie”.

– Nie słyszę! – powiedział Anders Morderca podniesionym głosem. – Czy tak mamy ich czcić?

– Nie! – zawołało wielu.

– Jeszcze raz! – rzucił Anders Morderca.

– Nie! – zakrzyknął cały kościół i pół parkingu.

– Teraz was słyszę! – rzekł Anders Morderca. – A wasze słowo jest dla mnie prawem.

Na dany sygnał cztery klasy z gimnazjum Mälar przystąpiły do pracy. W jednej ręce każdy z uczniów miał wiaderko, które miało wypełnić się banknotami i w najgorszym razie monetami, a w drugiej tacę z różnego rodzaju herbatnikami,

winogronami i serem. Tace podawane były od jednego wiernego do drugiego, a jeżeli czegoś po drodze zabrakło, gimnazjaliści natychmiast uzupełniali.

Duszpasterz dostał własny talerz. Raz po raz sięgał po to, co na nim było, i przeżuwał z błogością.

– Duszpasterski ser – powiedział.

Żyjąc przez kilka tygodni jedynie krwią Jezusa, plus od czasu do czasu hamburgerem czy cynamonową drożdżówką, Anders Morderca uznał wreszcie, że dobrze byłoby przeczytać trochę (odrobinę, czyli niedużo), co to tak naprawdę jest ta komunia. Zachęcała go do tego pastor, która uważała, że jeśli tydzień w tydzień Anders Morderca będzie opowiadał same głupoty, nie da rady zachęcić tłumów, by dawały pieniądze za przybliżenie się do Królestwa Niebieskiego. A to z kolei niedługo spowoduje, że ich działalność będzie równie dochodowa jak prowadzenie firmy z branży masakrowania, która nie oferuje żadnych usług.

Istniał jednak inny sposób niż komunia, aby stymulować opilstwo, które nabrało już dynamiki w murach i bezpośrednio obok domu Pana. Tym razem pastor sprawdziła karteczkę Andersa Mordercy przed kazaniem i dopisała to i owo, co według niej mogło wpłynąć na atmosferę i tym samym na hojność.

Tak więc duszpasterz mógł na przykład opowiedzieć o tym, że Noe jako pierwszy zasadził winnicę i w konsekwencji jako pierwszy porządnie się upił. Następnie nieprzytomny położył się nagi w swoim namiocie – wszystko według Pierwszej Księgi Mojżeszowej 9,21 – a kiedy się ocknął, zwymyślał na kacu jednego ze swoich synów („ciągle ten kac!”), a potem żył jeszcze trzysta pięćdziesiąt lat, chociaż już wtedy miał na karku sześćset.

– Wznieśmy nasze kieliszki ostatni raz – zakończył duszpasterz Anders. – Pijmy krew Chrystusa. Wino dało Noemu dziewięćset pięćdziesiąt lat życia, gdyby nie ono, dawno by umarł.

Recepcjoniście przemknęło przez głowę, że przecież Noe i tak już dawno nie żyje, ale zdaje się, że duszpasterz nie wszystko ogarniał.

– Na zdrowie i do zobaczenia w sobotę za tydzień! – powiedział Anders Morderca i opróżnił duży kielich mszalny, nie korzystając z pośrednictwa kieliszka.

Recepcjonista pstryknął palcami, aby gimnazjaliści zrobili dodatkową rundę między ławkami, co dodało dziesiątki tysięcy koron do już wcześniej zebranych, ale skończyło się niestety tym, że pewna starsza dama z boa dookoła szyi była na tyle nietaktowna, że zwymiotowała do jednego z wiaderek.

Podczas gdy wierni, zataczając się, wychodzili z kościoła, upojeni świętością i winem, pastor i recepcjonista podsumowywali przebieg wieczoru. Z bardzo szybkiego szacunku wynikało, że tym razem zebrali ponad milion koron – inwestycja w mołdawskie wino i drobne przekąski zwróciła się wielokrotnie.

\* \* \*

Walizki z pieniędzmi były już zamknięte, gdy Börje Ekman wkroczył do zakrystii, z której sterowano działalnością. Miał rozpalone policzki, nie wyglądał na zadowolonego.

– Po pierwsze! – zaczął.

– Po pierwsze, powinieneś się pan nauczyć mówić dzień dobry jak normalni ludzie – ofuknął go recepcjonista.

– O, cześć, Börje – odezwał się pozbawiony wszelkiego wycucia morderca. – Jak ci się podobało dzisiejsze kazanie? Tak samo jak poprzednie?

Börje Ekman kipiwał, spróbował jednak od nowa.

– Dobry wieczór wszystkim – rzekł. – Mam parę rzeczy do powiedzenia. Po pierwsze, przed kościołem jest kompletny chaos. Co najmniej cztery samochody wjechały na siebie przy cofaniu, a ludzie tak powłóczą nogami i szurają po alejce, że w poniedziałek będą miał dwa razy tyle roboty, żeby ją zagrabić...

– Może warto ją wyasfaltować, wtedy będzie lepiej harmonizowała z parkingiem – wtrącił recepcjonista, który był

w przekornym nastroju.

Wyasfaltować zwirową alejkę? Dla Börjego Ekmana znaczyło to tyle samo co przeklinanie w kościele. Podczas gdy próbował dojść do siebie po tym, co właśnie usłyszał, Anders Morderca, bardziej pijany, niż wymagał jego organizm, spytał:

– Słuchaj no, powiesz mi w końcu, jak ci się podobało pieprzone kazanie?

Przeklinanie w kościele to jednoznacznie przeklinanie w kościele zdaniem Börjego Ekmana.

– Co tu się właściwie dzieje? – rzekł, zaglądając do jednego z wiader, które jeszcze nie zostało opróżnione i jego zawartość nie znalazła się w walizce. To było wiaderko z rzygowinami na co najmniej kilku tysiącach koron! – Kazanie? – mówił dalej. – To był pijacki bełkot!

– No właśnie – odezwał się znowu Anders Morderca. – Nie miałbyś ochoty napić się łyeczka? Nie mogę ci zagwarantować, że dzięki niemu przeżyjesz dziewięćset lat, ale na pewno będziesz weselszy, niż chyba jesteś w tej chwili.

– Pijacki bełkot! – powtórzył Börje Ekman. – W Domu Bożym. Wstydu nie macie!

Pastor miała dość. To ten przeklęty pan Ekman raczej nie ma wstydu. Oni tutaj walczą i zabiegają, żeby zebrać garść marnych koron dla najbiedniejszych biedaków na Ziemi, a on przychodzi i lamentuje nad alejką. A tak nawiasem mówiąc, ciekawe, ile wrzucił do koszyka?

Samozwńczy kościelny nie dał ani korony, co przez ułamek sekundy nawet mu ciążyło, dopóki się nie opamiętał.

– Zniekształcacie słowo Boże, zamieniacie nabożeństwo i liturgię w cyrk, wy, wy... Ile pieniędzy żeście zebrali? I gdzie się podziały?

– Tobie nic do tego – powiedział ze złością recepcjonista. – Ważne, że każda korona trafi do potrzebujących, tak czy nie?

À propos „potrzebujących”, pastor i recepcjonista przed tygodniem zamienili kampera na podwójny apartament w Hiltonie, a czegoś takiego nie dostaje się gratis. Lecz zamiast opowiadać o tym samozwączemu kościelnemu, pastor zaproponowała, że „pan Jerry” może pokazać mu drogę do



wyjścia, jeśli Börje Ekman nie znajdzie jej sam. Zasugerowała także, nieco łagodniejszym tonem, że lepiej, aby się spotkali, kiedy trochę opadną emocje. Na przykład w najbliższy poniedziałek. Czy to dla niego odpowiedni termin?

Działając w ten sposób, miała nadzieję uspokoić atmosferę, aby nie narażać się na niebezpieczeństwo, że ten człowiek natychmiast poleci na policję albo zrobi coś równie okropnego.

– Trafię sam – powiedział kościelny Börje Ekman. – Ale wrócę w poniedziałek, żeby zagrabić alejkę, zmieść kawałki szkła po dzisiejszych stłuczkach i pewnie uprzątnąć resztę wymiocin, których jeszcze nie zauważyłem na zewnątrz. A w następną sobotę chcę widzieć inny porządek niż dzisiaj, rozumiecie? Spotkanie w tej sprawie o godzinie czternastej!

– Czternastej trzydzieści – rzuciła pastor tylko po to, aby ostatnie słowo nie należało do Börjega Ekmana.

## Rozdział 45

Jedną z nielicznych osób, która nie wypła ani kropli podczas drugiego nabożeństwa sobotniego, była kobieta w średnim wieku w blond peruce i w zupełnie niepotrzebnych jej okularach. Siedziała w osiemnastym rzędzie ławek i wkładała do wiaderka dwadzieścia koron za każdym razem, gdy podsuwano jej naczynie, niezależnie od tego, jak bardzo bolała ją dusza. Ale chodziło o to, żeby nie rzucać się w oczy. Przyszła tutaj zrobić rozeznanie.

Jak się nazywała, nikt z obecnych w kościele nie wiedział. Zresztą poza jego murami też jedynie nieliczni znali jej nazwisko. W kręgach, w których się obracała, znana była po prostu jako hrabina.

Siedem rzędów dalej siedziało dwóch mężczyzn, którzy sami, bez niczyjej pomocy, opróżnili jeden cały mołdawski karton. W odróżnieniu od wyżej wymienionej nie dali na tacę złamanej korony.

Mężczyźni ci znaleźli się tutaj w tej samej sprawie. Jeden z nich nazywał się Olofsson. Drugi też. I chociaż najchętniej pokroiliby duszpasterza na drobne kawałki, ich zadanie polegało na czymś zgoła odwrotnym – mieli ocenić, jak duża jest szansa, że mimo wszystko przeżyje na tej swojej ambonie. Bo Anders Morderca po prostu nie mógł umrzeć. A przynajmniej tak długo, dopóki hrabia i hrabina go nie wyprzedzą.

Pierwszą rzeczą, która zaskoczyła Olofssona i Olofssona, był wykrywacz metalu w wejściu, co zmusiło ich do jeszcze jednego okrążenia kościoła i ukrycia w zaroślach dwóch rewolwerów, których potem nie mogli znaleźć, ponieważ byli za bardzo pijani.

Ale dopóki mieli w miarę przytomne spojrzenie, zdążyli dostrzec znaczącą obecność ochrony. Najpierw jeden Olofsson

zauważył dwóch snajperów na wieży kościelnej. Gdy poprosił brata, aby dyskretnie zweryfikował jego odkrycie, ten potwierdził je w całej rozciągłości.

Wieczorem tego samego dnia bracia złożyli relację pozostałej piętnastce, która jednogłośnie postanowiła, że hrabia i hrabina muszą zostać sprzątnięci. Ponieważ sprawozdawcy byli pijani, spotkanie przebiegało nieco chaotycznie, mimo to udało się wydobyć z Olofssona i Olofssona, że Anders Morderca wydaje się na razie w miarę bezpieczny. Dobranie się do niego wymagałoby od każdego, kto próbowałby to zrobić, niemałej brawury i determinacji.

Niestety hrabia i hrabina stanowili uosobienie brawury i determinacji. Ostatnia z wymienionych poinformowała jednak swego hrabiego, że na szczęście nie da się ot tak wejść do kościoła i zrobić z Andersa Mordercy sita, ponieważ ochrona jest zbyt silna. Mówiąc „na szczęście”, miała na myśli to, że morderca przy zastosowaniu takiej metody nie cierpiałby w stopniu, na jaki zasługiwał.

Tak więc soboty nie stwarzały najlepszej sposobności do przypuszczenia ataku. Ale przecież Anders Morderca żył także przez pozostałe sześć dni tygodnia, podczas których chyba zawsze towarzyszył mu ochroniarz.

– *Jeden* ochroniarz? – spytał hrabia z uśmiechem. – Chcesz powiedzieć, że wystarczy jeden celny strzał z odległości, aby Anders został całkiem sam, z ochroniarzem bez głowy leżącym u jego stóp?

– Mniej więcej – potwierdziła hrabina. – Widziałam też co najmniej jednego snajpera na wieży kościelnej, ale nie przypuszczam, żeby przesiadywał tam całymi tygodniami.

– I to wszystko?

– Można się spodziewać, że jest ich więcej, rozrzuconych dookoła kościoła. Są do niego co najmniej cztery wejścia, jedno jest nowe, myślę, że wszystkie cztery są strzeżone.

– Czyli w sumie pięciu, sześciu ochroniarzy, z których jeden nie odstępuje Andersa Mordercy ani na krok.

– Zgadza się. Na większą precyzję mnie nie stać. Przynajmniej na razie.

– Wobec tego proponuję, żebyś jeszcze zachowała swoją perukę i pokręciła się w pobliżu, aby zaobserwować, gdzie nasz wkrótce sztywny morderca odważy się wytknąć nos poza kościół. Jak tylko dowiemy się trochę więcej o jego zwyczajach, najpierw ze stu pięćdziesięciu metrów rąbnę ochroniarza, jeśli będzie trzeba, a potem następną kulkę wsadzę Andersowi Mordercy w sam środek brzucha. Nie powinniśmy być zbyt pazerni, nie zawsze ból musi być nie do zniesienia. Powolne wykrwawienie się z flakami w strzępach może nie jest najstraszniejsze, ale w obecnych okolicznościach będzie wystarczająco okropne.

Hrabina skinęła głową zawiedziona. Wiedziała, że nie może być inaczej. Poza tym „flaki w strzępach” brzmiały nawet ładnie. Hrabia to jednak hrabia, pomyślała ciepło.

## Rozdział 46

Tak więc to Olofssonowi i Olofssonowi zostało przydzielone zadanie zlikwidowania hrabiego i hrabiny. Pozostałej piętnastce udało się wspólnymi siłami łączyć pieniądze obiecane egzekutorom. Ale póki cel nie zostanie osiągnięty, wolno im było tylko na nie patrzeć, broń Boże ich tknąć.

Siedemnastoosobowy alians zdobył się zatem na zebranie pieniędzy. Gorzej było z pomysłami. Naczelnym oprych był równie bezradny jak bracia Olofssonowie. Ale wtedy złodziej numer dziewięć przypomniał sobie, że akurat kilka nocy wcześniej ogołocił centralną hurtownię Magazynu Technicznego, zresztą po raz drugi. Przechowywano w niej urządzenia elektroniczne, jakie tylko można sobie wyobrazić, a jednocześnie wystarczyło zetknąć żółty kabel z zielonym w skrzynce rozdzielczej, aby rozbroić system alarmowy całej składnicy. Pod latarnią najciemniej? Znajdowało się tam ponad pięćset kamer monitoringu, wszystkie starannie zapakowane w kartony stojące na palecie, niemal gotowe, by przetoczyć je do odpowiednio zaparkowanej furgonetki, nie narażając się na ani jedno zdjęcie.

Oprócz tego numer dziewięć wszedł w posiadanie ponad dwustu wag łazienkowych (małe nieporozumienie), większej liczby telefonów komórkowych (strzał w dziesiątkę!), rozmaitych urządzeń GPS, czterdziestu lunet i osiemdziesięciu automatów z gumą do żucia, które w półmroku magazynu wyglądały jak tunery.

– Jeśli któryś z was chce taki automat, wystarczy powiedzieć.

Nie było chętnych. Dziewięć przeszedł zatem do urządzeń GPS.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, powinniśmy zamontować te aparaciki na przykład na samochodzie hrabiego i hrabiny, żeby zobaczyć w komórce, dokąd się wybierają. Chyba dobrze byłoby

wiedzieć, gdzie są, jak już chcemy im coś zrobić.

– A kto według ciebie miałyby się podczołgać i zamontować to „coś” na samochodzie hrabiego i hrabiny? – spytał Olofsson i od razu tego pożałował.

– Może by tak ty albo twój brat? – powiedział naczelny oprych. – Biorąc pod uwagę naszą umowę i pieniądze, na które tymczasem możecie sobie tylko popatrzeć?

– My nawet nie wiemy, jakim samochodem oni jeżdżą – spróbował się bronić brat Olofsson.

– Białym audi Q7 – oznajmił dobrze poinformowany oprych numer dziewięć. – W nocy stoi przed ich domem. Tuż obok drugiego identycznego. Bo każdy z nich ma swoje. I tak chyba będzie sprawiedliwie, bo wtedy możecie zakraść się we dwóch. Chcecie adres? I może GPS-a, który zaprowadzi was na miejsce?

Dziewiąty był potencjalną gwiazdą klasy, przynajmniej w porównaniu z naczelnym oprychem. Olofsson i Olofsson nie mieli już nic do powiedzenia. I to ich przerażało. Spotkanie z hrabią i hrabiną w sposób, jakiego się podjęli, mogło znaczyć to samo co spotkanie ze Stwórcą. Albo z jego przeciwieństwem.

Chociaż: milion koron to zawsze milion koron.

## Rozdział 47

Hrabia miał imponujący zbiór broni. Sam nigdy nie zajmował się jej kradzieżą, ale przez lata zdążył kupić to i owo. Część z niej przetestował na działce, którą hrabina zorganizowała sobie dziesięć lat wcześniej. Strzelanie na próbę było zabawne i miało sens. Przecież nigdy nie wiadomo, kiedy na serio może wybuchnąć wojna w branży samochodowej.

Najbardziej niezwykły okaz w kolekcji pochodził, jak na ironię losu, z arsenału autentycznego hrabiego mieszkającego na północ od stolicy. Był to tak zwany sztucer podwójny, kaliber  $9,3 \times 62$ . Na dodatek z celownikiem. Tego rodzaju broń przydawała się najbardziej, gdy człowiek natknął się na słonia, a coś takiego w okolicach Sztokholmu zdarzało się nieczęsto. Gdyby jednak mimo wszystko się zdarzyło, celownik nie na wiele by się zdał, ponieważ prawdziwy hrabia był niemal ślepy, jak uważał hrabia podrabiany.

Tak czy owak sztucer miał teraz znaleźć zastosowanie. Przedtem jeszcze tylko szybka wycieczka na wieś, żeby wprawić się w strzelaniu. Plan był taki, że pierwsza lufa zostanie załadowana kulą półpłaszczową, a druga pełnopłaszczową. Da to możliwość dwóch strzałów w jednej sekundzie. Pierwszy trafi między oczy ochroniarza Andersa Mordercy. Półpłaszcz roztrzaska mu czaszkę. Następnie błyskawiczne przesunięcie celownika o kilka milimetrów i wystrzelona zostanie druga kula, która wyląduje gdzieś w okolicy pępka Andersa Mordercy. Kula pełnopłaszczowa przebije się przez ciało i wyleci po drugiej stronie, ale po drodze spowoduje nieodwracalne uszkodzenia. Morderca nie zejdzie jednak od razu, lecz najpierw będzie cierpiał potworny ból połączony z nie mniej potwornym śmiertelnym strachem. Następnie powoli zacznie tracić przytomność, stopniowo wykrwawi się i umrze. Może trochę za szybko, ale na tyle powoli, na ile pozwalają

okoliczności.

– Jeśli tylko znajdziemy odpowiednie miejsce do oddania strzałów, będziemy mogli w spokoju przeładować i strzelić jeszcze raz, w razie gdyby trochę za długo belkotał.

Hrabia mówił wcześniej, że odległość powinna wynosić sto pięćdziesiąt metrów, teraz jednak uznał, że nic się nie stanie, jeżeli miejsce, z którego zostanie oddany strzał, znajdzie się nieco bliżej.

Solidna pukawka, z której można było oddać dwa strzały w ciągu jednej sekundy, z dwóch luf do dwóch celów. Z celownikiem i w ogóle. Hrabia podziękował w duchu przypuszczalnie półślepemu koledze polującym na słonie, że nie zamknął swojej szafy z bronią.



## Rozdział 48

Jeden milion sto dwadzieścia cztery tysiące trzysta koron. Plus zawartość wiaderka z wymiocinami, ale jej wartości pastor i recepcjonista nie zdołali dokładnie oszacować. Gdy przedstawiciel gimnazjalistów po lustracji gołym okiem, na kolanach i z nosem w środku, ocenił, że wiaderko zawiera więcej pieniędzy, niż normalnie przyznano by grupie, zdecydował się na nie zamiast ustalonej stówki na osobę.

– Niech będzie – zgodziła się pastor. – Wstawaj, zabieraj swoje wiaderko i znikaj.

– Do soboty – odpowiedział uczeń, po czym zabrał naczynie i poszedł.

Pastor otworzyła nowo zainstalowane podwójne drzwi do zakrystii, aby nieco przewietrzyć (Jerry z Nożem naprawdę się postarał i tak wszystko urządził, że dodatkowa droga ewakuacyjna na wypadek wojny mogła służyć do przyjmowania towarów podczas pokoju). Zdecydowanie unikała pokazywania się na zewnątrz razem z recepcjonistką i mordercą, ale akurat w tym przypadku ryzyko wydawało się znikome. Przy drzwiach bowiem stał ochroniarz, a w środku był Jerry z Nożem, jak zawsze w bezpośredniej bliskości Andersa Mordercy. Poza tym aż do biegnącej około stu metrów dalej autostrady rozciągał się trawnik i otwarta przestrzeń, a po drugiej stronie leżał niewielki lasek, gdzie musiałyby być ukryty snajper z precyzyjnym celownikiem, gdyby chciano zastrzelić kogoś z nich.

\* \* \*

Niedzielne spotkanie podsumowujące zaczęło od spraw finansowych z tego prostego powodu, że Anders Morderca najwyraźniej jeszcze się nie obudził. W przeciwnym razie odłożono by ten punkt porządku obrad na później.

Tym razem na każdego obecnego w kościele przypadło około sześciuset dwudziestu pięciu koron brutto, czyli netto nieco poniżej sześciuset.

– Chyba znaleźliśmy równowagę między poziomem opilstwa a hojnością – stwierdziła z zadowoleniem pastor.

W tej samej sekundzie do środka wparował morderca. Usłyszawszy ostatnie słowa pastor, powiedział, że zastanawiał się, czy nie powinni na wszelki wypadek umieścić w rzędach kubeków do puszczenia pawia. Miałoby to taką zaletę, że w ten sposób można by podkreślić odrobinę, a nawet więcej niż odrobinę doznanie płynące z przyjęcia komunii.

Pastor i recepcjonista nie byli przychylnie nastawieni do koncepcji Andersa Mordercy. Wiaderka do haftowania wzdłuż rzędów ławek mogłyby zakłócić uduchowioną atmosferę zgromadzenia. Jakkolwiek by na to spojrzeć, trudno znaleźć pierwiastek niebiańskości w kuble na wymiociny.

Morderca zniknął znowu. Knajpa i rozrywka czekały, ponieważ pięć stów przeznaczonych na cały tydzień nie przypadło od razu w sobotni wieczór. Poza tym te zebrania podsumowujące były okropnie nudne. Jak wszystkie zebrania w ogóle. Gdyby nie to, że chciał przedstawić pomysł z kubkami do pawiowania, siedziałby już od dawna nad pierwszym kieliszkiem.

Pastor i recepcjonista o wiele bardziej woleli odbywać posiedzenia, niezależnie od ich charakteru, bez udziału duszpasterza. Kiedy więc zostali sami, zajęli się tematem szatańskiego kościelnego, który stanowił zagrożenie dla ich całej działalności. Poniedziałkowa rozmowa z nim będzie rozstrzygająca. Według pastor są dwie możliwości. Albo go solidnie przestraszyć, z czym spokojnie poradziłby sobie Jerry z Nożem, albo mieć go w swoich szeregach.

– Myślisz o przekupieniu go? – spytał recepcjonista.

– Coś w tym stylu. Pochwalimy go i za jego piękne grabienie proponujemy mu dwadzieścia tysięcy tygodniowo oraz dalszą współpracę.

– A jak się nie zgodzi?

Pastor westchnęła.

– Jeśli się nie zgodzi, będziemy zmuszeni włączyć do rozmowy szefa ochrony. Z nożem i całą konieczną resztą.

Pastor i recepcjonista mieli rację, niepokojąc się z powodu kościelnego. Börje Ekman czuł bowiem, że musi zawiadomić arcybiskupa. Tyle że tę funkcję pełniła kobieta, na dodatek cudzoziemka. Niemka, ale Niemcy są w porządku, nawet jeśli też bywają skłonni do ekscesów z udziałem alkoholu. Tyle że przynajmniej nie w murach świątyni, a to ogromna różnica. Tak czy inaczej była jednak cudzoziemką. I kobietą. Poza tym Kościół Andersa nie podlegał arcybiskupowi i to była pułapka najpodlejszego rodzaju.

Coś jednak trzeba zrobić. Zadzwoić na policję? I co? A może do urzędu skarbowego? Tak, anonimowa informacja o finansowych nieprawidłowościach mogłaby niewątpliwie być jakimś rozwiązaniem.

Tymczasem niedługo poniedziałek i najpierw grabienie, a potem spotkanie z bezbożną pastor i jej wielbicielem. Przyciśnie ich. A jeśli to nie pomoże, zostaje urząd skarbowy. I plan B oraz C. Tylko najpierw trzeba je wymyślić.

## Rozdział 49

Podczas gdy pastor i recepcjonista poświęcali niedzielne popołudnie na pełne niepokoju rozmyślenia o Börjem Ekmanie, duszpasterz Anders niespodziewanie nawiedził ich znowu, tym razem w szampańskim humorze. Był w mieście i właśnie wrócił. Przy Stureplan knajpa sąsiadowała z łaźnią; oba te lokale razem stanowiły balsam i dla ciała, i dla duszy mordercy.

– Hej ho – powiedział. – A co wy tacy smętni?

Był świeżo wykąpany, świeżo ogolony i miał na sobie nową koszulę z krótkimi rękawami. Obie ręce pokrywały tatuaże przedstawiające noże, trupie czaszki i splecione węże. Pastor przemknęło przez głowę, że musi pamiętać, aby nigdy nie pozwolić mu wyjść na ambonę bez marynarki.

– No, przecież widzę, że nastrój jest grobowy – odezwał się znowu Anders Morderca. – Gdyby nie to, że trzeba niedługo pomyśleć o kazaniu na najbliższą sobotę, miałbym dla was parę pomysłów.

– Zastanawiamy się nad ważnymi rzeczami, więc byłoby dobrze, gdybyś nam teraz nie przeszkadzał – rzekł recepcjonista.

– Pieprzyć zastanawianie – rzucił Anders Morderca. – Może warto, żebyście raz na jakiś czas skorzystali z życia? Albo jak mówi Psalm 37: „Sprawiedliwi posiadą ziemię i będą mieszkać na niej na zawsze”.

Pastor pomyślała, że to niesamowite, jak on lubi przeglądać tę książkę. Nie powiedziała jednak tego głośno, tylko zmierzyla go od góry do dołu.

– A według Trzeciej Księgi Mojżeszowej nie powinieneś się golić ani tatuować sobie ramion, więc zamknij się na chwilę z łaski swojej – rzuciła.

– Dobre – zauważył z uśmiechem recepcjonista, podczas gdy

Anders Morderca począłpał z powrotem, świeżo ogolony, ze swoimi trupimi czaszkami, splecionymi wężami i całą resztą.

Nadszedł poniedziałek, a żadne rozwiązanie problemu Börjego Ekmana się nie znalazło, to znaczy żadne poza alternatywą, do której doszli już wcześniej: albo kościelny dobrowolnie dołączy do nich, albo zostanie do tego zmuszony przez Jerry'ego i jego nóż. Dobrze by było, żeby spotkanie o czternastej trzydzieści zakończyło się pomyślnie, bo nie są im teraz potrzebne kolejne problemy.

\* \* \*

Kościelny pojawił się na służbie w poniedziałkowy poranek już przed godziną dziewiątą. Sporo go dziś czekało. Najpierw oczywiście alejka. Potem trzeba uporządkować kilka miejsc na parkingu i pozamiatać pozostałości po stłuczkach, które były rezultatem domniemanego rekordu Szwecji sprzed dwóch dni w liczbie pijanych za kierownicą. Ponieważ policjanci sztokholmscy woleli przeprowadzać kontrole trzeźwości w tych porach dnia i tygodnia, gdy wszyscy byli trzeźwi (włącznie z nimi samymi), nikogo nie spotkały nieprzyjemne konsekwencje.

Okolo jedenastej Börje Ekman zrobił sobie krótką przerwę, usiadł na jednej z ławek przy alejce i wyjął kanapkę z kiełbasą oraz małą butelkę mleka. Patrząc pustym wzrokiem przed siebie, westchnął nie wiadomo który już raz, gdy dojrzał coś w krzewach róż, które na szczęście zasłaniały widok na parking po zachodniej stronie kościoła. Czy naprawdę dla pijaków nie ma żadnych granic, wszędzie muszą narobić bałaganu?

Ale co tam właściwie leży? Börje odłożył kanapkę i odstawił butelkę mleka, po czym podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć.

Czy to... rewolwer? *Dwa* rewolwery!

Zaczął myśleć gorączkowo. Czyżby znalazł się w samym środku jakiejś kryminalnej afery?

I wtedy przypomniał sobie odpowiedź na swoje pytanie, ile zebrano na tacę. Pięć tysięcy? Boże drogi, ależ on jest naiwny!

To dlatego oni poją wiernych winem! Żeby wrzucali więcej i więcej do wiader, a w niektórych przypadkach przykrywali wszystko rzygowinami, pod którymi można było się spodziewać większej ilości pieniędzy niż rzekome pięć tysięcy zbierane tydzień wcześniej.

Były morderca, pastor, która najwyraźniej nie wierzy w Boga i... no właśnie, nie wiadomo kto. Mówił, że nazywa się Per Persson. Na pewno nie naprawdę.

Co jeszcze? Słyszał to tylko raz, chyba sama pastor tak go nazwała, tego szefa „ochrony”, mężczyznę, który nigdy nie odstępował pasterza na krok: Jerry z Nożem! Oni nie myślą o Panu, nie myślą o żadnych głodujących dzieciach, a jedynie o sobie – doszedł do wniosku Börje Ekman, który w istocie przez całe swoje życie robił to samo.

I dokładnie w tym momencie Pan przemówił do niego pierwszy raz, mimo że przecież Börje Ekman swe długie ziemskie bytowanie spędził, służąc mu wiernie. „To ty, Börje, i nikt inny, możesz uratować Moją świątynię. Jedynie ty widziałeś bezeczeństwa, które się tu odbywają, jedynie ty to wiesz. I ty musisz uczynić, co należy. Zrób to, Börje! Nie zwlekaj!”.

– Tak, Panie – odrzekł Börje Ekman. – Powiedz tylko, co mam zrobić? Powiedz mi, a ja to uczynię. Poprowadź mnie, Panie.

Ale z Bogiem było tak samo jak z Jezusem – mówił wyłącznie wtedy, kiedy miał czas albo ochotę. Nie udzielił odpowiedzi swojemu słudze, ani wtedy, ani później. I już nigdy więcej nie objawił się Börjemu Ekmanowi za jego życia.

## Rozdział 50

Kościelny odwołał umówione spotkanie o wpół do trzeciej, tłumacząc się migreną. Dodał też, że to, co mieli wyjaśnić, nie jest znowu takie pilne, co pastor przyjęła ze zdziwieniem, bo dotąd bardzo mu się paliło. Miała jednak wiele innych rzeczy na głowie. Zadowolili się nadzieją, że sprawa, która mogła się rozstrzygnąć na zasadzie albo-albo, być może zakończy się jakimś rozwiązaniem pośrednim.

Nawet nie wiedziała, jak bardzo się oszukuje.

Kościelny musiał tylko zebrać myśli. Wsiadł na rower i wrócił do swojej kawalerki z wnęką kuchenną.

– Sodoma i Gomora – powiedział pod nosem.

Biblijne miasta, gdzie grzech rządził ponad wszelką miarę, lecz tylko dopóki Pan nie powiedział „dość”.

– Sodoma, Gomora i Kościół Andersa – rzekł Börje Ekman.

Może najpierw musi być gorzej, żeby potem było lepiej?

Tak brzmiała analiza sytuacji w Wietnamie dokonana przez prezydenta Nixona. Tyle że w tamtym przypadku było gorzej, a później zrobiło się jeszcze gorzej. W końcu Nixon musiał ustąpić (choć z innego powodu niż Wietnam).

Historia ma ten niemiły zwyczaj, że lubi się powtarzać. W umyśle kościelnego zaczął wykluwać się pewien plan. Poza tym pomysł z urzędem skarbowym też należało uznać za swego rodzaju plan. Najpierw gorzej, potem lepiej (taka była myśl).

Rezultat? Najpierw gorzej, potem jeszcze gorzej. Börje Ekman też będzie musiał ustąpić.

\* \* \*

Hrabina siedziała przycupnięta w zagajniku z widokiem na nowe boczne drzwi kościoła, które od czasu do czasu się otwierały i zamykały. Znajdowały się w odległości około stu dwudziestu metrów od niej, ale po drugiej stronie autostrady.

Była środa i właśnie zaczęła się dostawa wina. Podwójne drzwi zostały szeroko otwarte, tyłem podjechała furgonetka i do zakrystii wnoszono karton za kartonem. Między samochodem a drzwiami tkwił w gotowości ochroniarz z kiepsko ukrytym automatem.

W środku hrabina widziała kobietę, pewnie Johanę Kjellander, i Pera... jak mu tam? Janssona? A obok nich Anders Morderca i jego przeklęty anioł stróż.

Hrabina dzięki luncie mogła stwierdzić, że nie zna tego ochroniarza – to jakiś oprych spoza jej kręgu znajomych. Jak się nazywał, nie miało większego znaczenia. Jeśli będą z hrabią bardzo ciekawi, zawsze mogą potem odszukać jego grób i sprawdzić, co jest napisane na nagrobku.

Ważniejsze, żeby udało im się kropnąć zarówno Andersa Mordercę, jak i ochroniarza. Pozostawał problem gościa z pistoletem maszynowym przed drzwiami, który niestety może im odpowiedzieć, i wtedy muszą mieć czas, żeby przeładować. Plusem była autostrada między kościołem a laskiem.

Z tym pozytywnym wnioskiem hrabina zakończyła na dzisiaj szpiegowanie. Pośpiech nie był wskazany, istotniejsze było wybranie właściwego momentu.

Poszła do swego białego audi i odjechała.

– Niech sobie jedzie – powiedział Olofsson. – Na pewno wróci do pieprzonego hrabiego, żeby mu zdać relację.

– Hm – bąknął Olofsson. – A my lepiej zrobimy, jak wybierzemy się do tego lasu i sprawdzimy, na co ona patrzyła.

\* \* \*

Nastrój wśród kierownictwa Kościoła Andersa był znowu dobry. Dowieziono nowy zapas wina, a także ciastka, winogrona i ser.

– Na razie podamy te same przegryzki – poinformowała pastor. – Ale do następnego tygodnia może powinniśmy się rozwinąć. Nie należy popadać w rutynę.

– A jakby tak zaserwować hamburgery i frytki? – zaproponował Anders Morderca.

– Albo coś innego – powiedziała pastor i dodała, że mają do



przygotowania kazanie.

Ale morderca bynajmniej nie wyczerpał jeszcze swoich pomysłów. Wino na przykład mogłoby być trochę wyrazistsze w smaku. Ze swoich młodych lat pamiętał, jak razem z najlepszymi kumplami (którzy potem zaćpali się na śmierć, co było idiotyczne) mieszał czerwonego sikacza z coca-colą, żeby przemyć w nim dragi. A kiedy później nauczyli się dodawać do tej mikstury przeciwbólowy magnecyl, było jeszcze weselej.

– Brzmi niezłe – bąknęła pastor. – Jak wspomniałam, przyjrzymy się naszemu przyszłemu menu i obiecuję, że weźmiemy pod uwagę twoje sugestie. A teraz może skupimy się na kazaniu?

Biblia była prawdziwym rogiem obfitości pełnym hołdów dla wina jako daru Pana. Pastor wynotowała z pamięci takie mądrości jak te, że wino czyni człowieka radosnym, oliwa daje jego myślom blask, a chleb siłę (zaczerpnęła to z psalmów). Następnie uzupełniła nieco mniej dokładnym cytatem z Koheleta, który stwierdził, że życie bez prawdziwego upojenia od czasu do czasu jest pustką, kompletną pustką.

– Tam jest napisane „upojenia”? – chciał się upewnić Anders Morderca.

– Nie, ale nie przywiązujemy nadmiernej wagi do słów – rzekła pastor, wynotowując przepowiednię Izajasza, według której w dniu Sądu Ostatecznego ma się odbyć uczta pełna tłustych potraw i mocnego wina.

– A nie mówiłem – odezwał się Anders Morderca. – Tłuste potrawy. Hamburgery i frytki. Z coli i magnecylu możemy ostatecznie zrezygnować.

– Zróbmy krótką przerwę – zaproponowała pastor.

## Rozdział 51

Po trzeciej sobocie można było odnieść wrażenie, że sytuacja się stabilizuje. Już drugi raz zebrano na tacę blisko dziewięćset tysięcy koron netto dla obydwójga potrzebujących. Panoramiczny ekran na zewnątrz właściwie przestał być potrzebny, lecz ławki w kościele nadal były wypełnione do ostatniego miejsca.

Kościelny Ekman wrócił po kilku dniach nieobecności, ale tylko snuł się dookoła i na razie nie poprosił o nowe spotkanie z pastorem czy recepcjonistą. Wyglądał tak, jakby nosił w sobie tykającą bombę, zbyt wiele jednak było innych spraw do rozważenia, by zajmować się jeszcze nim. Rozmowa doprowadziłaby w najlepszym razie do tego, że zostałby przekupiony i włączony do grupy (czyli nastąpiłby pokój i radość), w najgorszym wypadku zaś sami przyspieszyliby problem, który na razie jakby się oddalił.

– Jestem daleki od przekonania, że nie musimy się już nim martwić, mimo to proponuję, żebyśmy na razie go nie nagabywali – powiedział recepcjonista. – Przynajmniej dopóki nam się nie naprzykrza.

Pastor zgodziła się, chociaż niepokoiło ją, że wszystko idzie jak po maśle. Gdy przez całe życie sprawy układają się źle, łatwo o podejrliwość, kiedy jest odwrotnie.

Na przykład nie dochodziło do żadnych incydentów ze strony podziemnego, prawdopodobnie sfrustrowanego, światka. Być może poskutkowało groźba Andersa Mordercy, że w razie jego zejścia lista zleceń na wykonanie wyroków śmierci zostanie upubliczniona.

Dostawy wina i drobnych przekąsek co środa o trzynastej też odbywały się bez zakłóceń. Recepcjonista zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju rutynowe zdarzenia są najlepszą okazją dla ewentualnych zamachowców lub zamachowczyń, ufał jednak

Jerry'emu z Nożem i jego wojsku. Jeden z jego żołnierzy dostał wprawdzie kopniaka w tyłek, ponieważ okazało się, że zaniedbywał swoje obowiązki. Został przyłapany na gorącym uczynku, gdy chrapał na wieży kościelnej, ściskając w objęciach pusty karton po mołdawskim winie.

Szybka reakcja Jerry'ego spowodowała, że zdarzenie to raczej wzmocniło poczucie bezpieczeństwa niż odwrotnie. Grupa liczyła teraz co prawda o jednego człowieka mniej, ale Jerry przeprowadzał już rozmowy kwalifikacyjne i spodziewał się, że oddział będzie znowu kompletny najdalej w ciągu miesiąca.

Oprócz posiadanego już niecałego miliona w gotówce niezwykła aktywność recepcjonisty w mediach społecznościowych przynosiła co tydzień kolejne kilkaset tysięcy na konto bankowe zboru. Odpowiednie zarządzanie tymi pieniędzmi wymagało nieco zachodu, w Szwecji bowiem przyjmuje się, że każdy, kto ma w ręce więcej niż dziesięć tysięcy koron w gotówce, jest albo kryminalistą, albo oszustem podatkowym, albo jednym i drugim. Dlatego istnieją przepisy określające, ile można wpłacić na własne konto lub podjąć z niego własnych środków, nie musząc uniżenie prosić o to na wiele dni wcześniej. A propos wątku, że wszystko szło jak po maśle: recepcjoniście udało się oczarować urzędniczkę bankową, która na dodatek okazała się jedną z najbardziej zaangażowanych i spragnionych bywalczyń sobotnich nabożeństw. Dzięki temu Per Persson mógł pobierać pokaźne pliki banknotów bez obawy, że kobieta zawiadomi inspekcję finansową i zgłosi podejrzenie o pranie pieniędzy. Przecież doskonale wiedziała, że kapitał był wykorzystywany w służbie Pana (oraz pokrywał jej weekendowe opilstwo). Pozostawienie środków na koncie nie stanowiło ewentualności, nad którą recepcjonista zastanawiałby się chociaż sekundę. W razie kłopotów bowiem na rozbieg wystarczy mu pół minuty, a podjęcie kilkuset tysięcy koron ze szwedzkiego banku zajmowało pół roku.

– Czy przypadkiem teraz, kiedy zaświeciło nam słońce, nie powinniśmy uważać i nie być zbyt chciwi? – głośno myślał recepcjonista. – Może warto by się pozbyć pół miliona i dać go

temu kretynowi?

– Tak, to byłoby rozsądne – potwierdziła pastor. – Ale tym razem my odliczymy mu pieniądze.

\* \* \*

Anders Morderca był wniebowzięty, gdy usłyszał, że zbor już w ciągu kilku tygodni dostał czterysta osiemdziesiąt tysięcy koron i że będą mogli po raz kolejny rozdać pięćset tysięcy, ponieważ pastor w swej hojności postanowiła dołożyć brakujące dwadzieścia tysięcy z własnej kieszeni.

– W Królestwie Niebieskim dostaniesz miejsce po prawicy Pana – rzekł do niej.

Pastor powstrzymała się od poinformowania go, jak niewielkie jest prawdopodobieństwo takiego zdarzenia. Poza tym według Księgi Psalmów siedział tam już Dawid, przypuszczalnie na kolanach Jezusa, który zgodnie z Ewangelią świętego Marka rościł sobie pretensje do tego samego miejsca.

Duszpasterz zaczął się zastanawiać, na co należałoby przeznaczyć pieniądze. Może na jakieś stowarzyszenie pożytku publicznego? Ale nagle pomyślał o czymś innym, co nie wiadomo gdzie zasłyszal.

– O co chodzi z tymi lasami deszczowymi? Uratować las to brzmi ładnie, las to przecież też dzieło samego Boga. A jeszcze lepiej by było, gdybyśmy znaleźli taki, w którym tak okropnie nie pada.

Pastor nie było w stanie zadziwić już nic, co mogło wyjść z ust Andersa Mordercy, niezależnie od tego, jaki temat wybrał.

– Sądziłam, że może raczej uratujemy jeszcze jakichś chorych albo głodujące dzieci – podsunęła.

Anders Morderca nie był wybredny. Las deszczowy czy głodujące dzieci – dla niego wychodziło na jedno, najważniejsze jest samo dawanie w imię Jezusa. Pozwolił sobie jednak na refleksję, że kombinacja głodujących dzieci w lesie deszczowym brzmi całkiem wyjątkowo. Tylko czy da się znaleźć coś takiego w Szwecji?

## Rozdział 52

Sposepniały kościelny nie był ani trochę sposepniały. Po prostu czekał, kręcił się po kościele i dookoła niego, aby zebrać dowody na poświadczenie tezy, że dzieje się źle.

Minął jeden tydzień, minęły trzy. Börje Ekman widział przecież na własne oczy, ile tysięcy leżało w zarzyganym wiadrze, wystarczyło to pomnożyć przez liczbę wszystkich wiader, aby się domyślić, o co tu tak naprawdę chodzi. Wobec tego ta udawana pastor i jej przyboczny muszą mieć gdzieś ukryte cztery, pięć milionów. Co najmniej!

\* \* \*

Ostatnia darowizna nie poszła na żaden las – deszczowy czy nie. Pastor wpadła na pomysł, aby razem z dwiema gazetami, jedną stacją radiową i jedną telewizyjną udać się do szpitala dziecięcego imienia Astrid Lindgren, gdzie Anders Morderca zupełnie nieoczekiwanie przekazał worek z pięciuset tysiącami koron, opatrzony tekstem „Jezus żyje”, ciężko chorym dzieciom, tak by one w miarę możliwości też żyły.

Dyrektor oddziału, lekarz medycyny, pediatra, nie był akurat obecny w tym czasie, ale w komunikacie prasowym bezzwłocznie oddał hołd Kościołowi Andersa i jego głównemu pasterzowi, dziękując za „niezwykłą hojność, jaką okazał dzieciom i ich rodzicom, którzy przechodzą przez najtrudniejsze z trudnych doświadczeń”.

Przez sekundę Börje Ekman zachwiał się w swym przekonaniu, że za szczodrobliwością duszpasterza kryje się jedynie chciwość i cynizm. Gdy jednak owa sekunda minęła, ponownie spojrzął na sprawę jasno i wyraźnie.

Sam pasterz nie jest może najgorszy (pomijając fakt, że kiedyś był mordercą, i to niezwykle utalentowanym). To raczej osoby w jego tle pociągały za sznurki, czyli pastor i ten, który nazywał

się prawie tak samo od przodu jak od tyłu.

Börje Ekman siedział w swojej kawalerce i rozmyślał o tym, że ostatnie pół miliona przyniosło spory pożytek także jemu. Najwierniejszy sługa Pana potrzebował bowiem pieniężnego oparcia, aby mógł wykonywać swą pracę w zgodzie z Jego wolą. I właśnie dlatego przez wszystkie lata brał z tacy dziesiątą część, nie informując o tym zboru, ponieważ uważał, że to zbędne. To była umowa wyłącznie między nim a Panem Bogiem, i nikomu nic do tego.

## Rozdział 53

Hrabina dokonała wstępnego rozpoznania, a teraz przysłała kolej na hrabiego, który łamał sobie głowę nad tym, jak ma się wyposażyć. Z jednej strony warto byłoby uzbroić się tak, aby być przygotowanym na wszelkie ewentualności, z drugiej zaś nie powinien się zbyt obciążać, na wypadek gdyby okazało się, że najważniejsze jest natychmiastowe zniknięcie tuż po wykonaniu zadania.

Druga opcja wydawała się bardziej prawdopodobna. Według hrabiny podwójne boczne drzwi kościoła otwierano punktualnie o godzinie trzynastej w każdą środę przez pięć tygodni, podczas których prowadziła obserwację. W ostatnim czasie ochroniarz przed wejściem został zastąpiony przez gościa, który normalnie nigdy nie odstępował Andersa Mordercy na więcej niż pół metra; wyglądało na to, że mieli o jednego człowieka mniej i że w związku z tym co tydzień w ściśle określonym przedziale czasowym geograficzny dystans między Andersem Mordercą a jego cieniem się zwiększa.

Okoliczność ta i upraszczała, i komplikowała sprawy.

We wspomniane środy Anders Morderca był w pełni widoczny w zakrystii, za drzwiami, wraz z Johanną Kjellander i Perem jakimś tam. Można więc było założyć, że sytuacja będzie identyczna także w dniu Operacji. W takim przypadku plan przewidywał trafienie najpierw Andersa Mordercy pociskiem półpłaszczowym, a pełnopłaszczowy zostałby dla ochroniarza, gdyby zaczął zmierzać w ich stronę.

Trudno jednak mieć pewność, czy pojedyncza kula, która zostanie hrabiemu, wystarczy do załatwienia także ochroniarza. Po pierwsze z powodu ryzyka, że tamten jest może jednak profesjonalistą i w związku z tym nie będzie stał w miejscu po strzale numer jeden i czekał, aż i jego trafi kula. Po drugie dlatego, że ze względu na okoliczności nie chodziło

już o przesunięciu celownika o zaledwie kilka milimetrów, czyli o ułamki sekund, ponieważ potencjalne ofiary nie stały ramieniem obok siebie.

Konieczne było zatem rozwiązanie rezerwowe, a gdy zostało już opracowane, wydawało się dosyć oczywiste. Przecież oni oboje będą leżeć ukryci w lasku powyżej tego gościa, który może okazać się na tyle głupi, że ruszy do kontrataku. Rzucony w odpowiednim momencie przez hrabiego granat odłamkowy dawałby stuprocentową gwarancję, że przeciwnik straci głowę.

– Granat odłamkowy – powtórzyła hrabina, delektując się dźwiękiem tych słów i myślą o tym, co ów granat może zrobić z ciałem ochroniarza.

Hrabia uśmiechnął się do niej z miłością. Jego hrabina jest zaiste najpiękniejszą z pięknych.

\* \* \*

Dochodziła za dziesięć pierwsza, czyli czas, by przygotować się do przyjęcia cotygodniowej dostawy krwi Jezusa i całej reszty. Pastor i recepcjonista udali się do zakrystii, która pełniła funkcję magazynu, składu, biura, centrali i nie wiadomo czego jeszcze. I zastali w niej samozwańczego kościelnego z nosem w czerwonej i w żółtej walizce z milionami.

– Co ty, do wszystkich diabłów, tutaj robisz? – rzucił recepcjonista równie zaskoczony jak wściekły.

– Wszyscy diabli – powtórzył kościelny ze spokojem pełnym napięcia – to jest towarzystwo odpowiednie dla was i między nimi kiedyś się znajdziecie. Mordercy, oszuści, naciągacze... co jeszcze? Po prostu nie znajduję słów.

– Ale znalazłeś nasze walizki, ty pasożycie – powiedziała pastor, zamykając oba wieka. – Jakim prawem wtrącasz się do naszych finansów?

– Finansów? Musicie wiedzieć, że podjąłem już odpowiednie kroki. Niedługo rozliczycie się ostatecznie w imieniu Pana. Fuj! Fuj! Fuj!

Pastor zdążyła jeszcze tylko pomyśleć, że mają na karku wyjątkowo oszczędnego w słowach pasożyta, jeżeli „fuj” to jego jedyny komentarz do ich działań. Nie odparowała jednak



niczym bardziej wymownym, ponieważ nagle pojawił się duszpasterz Anders.

– Witaj, Börje, dawno cię nie widziałem! Co tam słychać? – powiedział były morderca, jak zawsze z bezbłędnym wyczuciem chwili.

Börje Ekman kilka minut wcześniej stał ze swoimi grabiami w ręce. Już prawie doprowadził do porządku żwirową alejkę, gdy nagle go olśniło:

Walizki!

To przecież oczywiste, że właśnie tam tych dwoje trzyma nadwyżkę ze swojego szatańskiego interesu. I w czerwonej, i w żółtej. Wystarczyło tylko to udowodnić, a potem zadzwonić na policję, do kancelarii rządu, rzecznika praw dziecka... Do wszystkich, którzy powinni i zechcą go wysłuchać.

Nie był do końca pewny, jak miałyby zareagować na takie rewelacje rzecznik praw dziecka, ale chciał dotrzeć do wszystkich, naprawdę wszystkich. Do gazet, Urzędu Kontroli Żywności, proboszcza Granlunda, Szwedzkiego Związku Piłki Nożnej...

Osobę, która uważa, że musi poinformować zarówno rzecznika praw dziecka, jak i Szwedzki Związek Piłki Nożnej o nieprawidłowościach w łonie Kościoła, można nie bez racji podejrzewać o to, że straciła zdolność jasnego myślenia. I tak było w przypadku Börjego Ekmana. Ale przed poinformowaniem świata została mu jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Jeśli się pospieszy, zdąży wziąć sobie dziesiątą część zawartości obu walizek, przysługującą mu zgodnie z prawem.

Być może w obliczu tego, co miało się wydarzyć, powinien był zwyciężyć głos rozsądku, w końcu jednak stało się tak, że kościelny wraz z grabiami znalazł się w zakrystii, gdzie przechowywano walizki. Zupełnie nie zwracał uwagi na godzinę ani na to, że właśnie ze względu na nią zaraz pojawią się tam również elementy kryminalne.

Takie oto było tło obecnej sytuacji. Börje został przyłapany na gorącym uczynku, czyli na zdemaskowaniu całego procederu,

i otoczony członkami grupy przestępczej, włącznie z osobnikiem, który nigdy nie odstępował ani na krok duszpasterza, człowieka o przydomku idealnie pasującym do bluźnierczego kontekstu.

Wesołe powitanie przez duszpasterza skłoniło jednak Börjega Ekmana do przypuszczenia, że morderca jest po prostu przydatnym idiotą w tej niedopuszczalnej obrazoburczej zabawie.

– Ty nie widzisz, że oni cię wykorzystują? – rzucił, robiąc cztery kroki w kierunku Andersa, wciąż z grabiami w rękę.

– Kto? Jak to? – spytał naiwnie duszpasterz Anders.

W tej samej sekundzie za bocznymi drzwiami rozległ się podwójny klakson. Nadjechała cotygodniowa dostawa stymulantów szczodrości.

Jerry z Nożem szybko ocenił, że pajac obok duszpasterza stanowi mniejsze zagrożenie niż to, co może ewentualnie czekać na zewnątrz. Zanim ruszył do wyjścia, aby otworzyć, zwrócił się do recepcjonisty i pastor, wskazując na Börjega Ekmana:

– Miejcie oko na tego barana z grabiami, a ja zrobię, co trzeba, na zewnątrz.

Skrupulatny szef ochrony zaczął od sprawdzenia kierowcy, tego samego co tydzień wcześniej i kilka tygodni wcześniej. Następnie skontrolował zawartość samochodu, a potem stanął w postawie bojowej tuż przed drzwiami, zwrócony plecami do muru, wodząc wzrokiem od lewej do prawej i z powrotem. Pastor i recepcjonista musieli wnieść kartony wina sami.

Hrabia leżał tam, gdzie leżał, obok swojej hrabiny, w niewielkim lasku około stu dwudziestu, może stu trzydziestu metrów od kościoła. Dzięki celownikowi i wytrenowanej zręczności unieszkodliwienie zgodnie z pierwotnym planem najpierw ochroniarza mogłoby być rzeczą prostą. W obliczu nowych okoliczności istniało jednak ryzyko, że w pełni

widoczny w obecnej chwili Anders Morderca zdąży ruszyć się przed strzałem numer dwa i zdoła przeżyć. Choć hrabia miał wielką ochotę potraktować goryla jako bonus, mimo wszystko to nie on, ale Anders Morderca stanowił cel główny.

Stąd zmiana planu. Hrabia umieścił Jerry'ego z Nożem na drugim miejscu listy, skupiając się na Ofierze. (Johanna Kjellander i Per Jansson oczywiście też nie mieli przed sobą przyszłości, istnieją jednak pewne granice, ile jeden hrabia może zrobić jednego dnia).

Podczas gdy pastor i recepcjonista wnosili kartony, między duszpasterzem a Börjem Ekmanem wywiązała się dyskusja.

– Oni cię oszukują! Wszystkie pieniądze biorą dla siebie! Nie widzisz tego? Jesteś ślepy czy jak?

Ale Anders Morderca bardzo dobrze pamiętał niedawny sukces w szpitalu dziecięcym imienia Astrid Lindgren.

– Drogi, miły Börje – powiedział. – Chyba musiałeś za długo grabić w słońcu czy co? Nie wiesz, że nasz Kościół rozdał już pierwsze pół miliona, chociaż nawet jeszcze nie zdążyliśmy tyle zbierać? Pastor dołożyła swoje ostatnie pieniądze, żebyśmy mogli przekazać pierwszą solidną darowiznę w imieniu Chrystusa wcześniej, niż pozwalają nasze fundusze.

Widać było, że Börje Ekman nie zamierza ustąpić, mimo to pastor i recepcjonista nie reagowali. Anders Morderca na razie całkiem zgrabnie bronił ich sprawy.

– Jakim trzeba być głupcem? – zaczął znowu Börje Ekman. – Naprawdę nie pojmujesz, ile pieniędzy ściągasz w każdą sobotę?

Anders Morderca uśmiechnął się cierpko, słysząc pytanie „jakim trzeba być głupcem”. Częściowo dlatego, że nie znał na nie odpowiedzi, a częściowo z tego powodu, że wyczuwał w nim ukrytą krytykę własnej inteligencji. Toteż odciął się Börjemu Ekmanowi:

– Lepiej pilnuj swoich grabi, a ja się zajmę ściąganiem pieniędzy dla ludzi w potrzebie.

Na to Börje Ekman odpalił kąśliwie:

– Jeśli naprawdę jesteś tak straszliwie naiwny (bardziej bezwzględnych określeń nie znał), to rób sobie tak dalej.

A w wolnym czasie możesz sam grabić alejki – rzekł i pełen wściekłości wcisnął duszpasterzowi do ręki swoje grabie. – Podjąłem odpowiednie kroki – zakończył Börje Ekman. – Mówię tylko: Sodoma i Gomora!

Po czym uśmiechnął się z wyższością, tuż przed tym, jak jego sytuacja zmieniła się na niekorzyść.

Na zawsze.

Hrabia w lasku obrał cel. Po drodze nie było żadnych przeszkód. Kula miała trafić parszywego Andersa Mordercę tuż poniżej klatki piersiowej i przeszycie ciało na wylot.

– Zobaczymy się w piekle – powiedział i pociągnął za spust.

Potężny huk zmusił Jerry'ego z Nożem do automatycznego przejścia od ogólnej do wyostrzonej czujności. Ochroniarz rzucił się na ziemię, podczołgał do podwójnych drzwi i szybko je zamknął, pozostając nadal na zewnątrz (nie był doprawdy człowiekiem małego ducha), w miarę zasłonięty przez furgonetkę, która wciąż stała na swoim miejscu. Skąd padł strzał?

Ochroniarz zareagował błyskawicznie. Mimo to hrabia zdążył zauważyć, że zadanie zostało wykonane, ponieważ Anders Morderca runął jak długi do tyłu. Goryl znajdował się teraz za furgonetką, poza zasięgiem wzroku hrabiego, co skłoniło tego ostatniego do oznajmienia hrabinie, że najlepiej będzie, jeśli się natychmiast oddalą. Jeden ochroniarz mniej czy więcej – nie miało to szczególnego znaczenia, dopóki nie stanowił zagrożenia, a mógłby stanowić, gdyby oboje zostali na miejscu i dalej leżeli w zaroślach na wzniesieniu. Aby jednak skłonić goryla do pozostania tam, gdzie był, zamiast porywania się na samobójczy kontratak, hrabia wystrzelił jeszcze pocisk półpłaszczowy, zamierzając jedynie trafić w boczną szybę furgonetki (kierowca przywarł do podłogi, wciśnięty pod pedały gazu, hamulec i sprzęgło, i cudem się uratował).

Börje Ekman, jak już wspomniano, nie wierzył ani w szczęśliwe, ani w nieszczęśliwe zrzędzenia losu. Wierzył przede wszystkim w siebie i we własną niezawodność, po drugie w Boga, a po trzecie w ład i porządek.

Ale, jak również wspomniano wcześniej, patrząc całkowicie obiektywnie, Börje Ekman miał pecha, że akurat w jego kościele zamelinowali się Anders Morderca i jego kompania. Miał także pecha, że podawał swoje grabie mordercy, akurat gdy padł strzał. Jego pech polegał również na tym, że przyjmujący grabie trzymał je w taki sposób, iż pełnopłaszczowy pocisk hrabiego trafił w ich metalową część zamiast powyżej pępka mordercy, aby przeszyć jego ciało na wylot. Trafione pociskiem grabie walnęły Andersa Mordercę w twarz tak mocno, że usiadł na tyłku, a z nosa popłynęła mu krew.

– A niech to szlag! – krzyknął, nie ruszając się z miejsca.

Tymczasem Börje Ekman nie odezwał się ani słowem. Bo raczej rzadko się zdarza, by odzywał się ktoś, kto właśnie dostał – co prawda tylko rykoszetem – pełnopłaszczowym pociskiem prosto w lewe oko i nieco wyżej w mózg. Były kościelny stał się w tym momencie były bardziej niż kiedykolwiek. Runął na podłogę. Nieżywy.

– Ja krwawię! – biadolił Anders Morderca, powoli dźwigając się na nogi.

– Kościelny też – rzekła pastor. – Jednak w odróżnieniu od ciebie nie lamentuje. Z całym szacunkiem, ale twój krwotok z nosa to w tej chwili najmniejszy problem.

Pastor spojrzała na byłego zrzęde na podłodze. Krew lała się z otworu w czaszce mieszczącego do tej pory jedno oko kościelnego.

– Zapłatą za grzech jest śmierć, List do Rzymian 6,23 – rzekła, nie zastanawiając się nad tym, dlaczego wobec tego sama nadal jest przy życiu.

Podczas gdy hrabia wyjął z kieszeni swój granat odłamkowy, który miał służyć jako ostatni środek bezpieczeństwa przed ucieczką, Olofsson i Olofsson dotarli wreszcie na miejsce. Zjechali źle z jednego z rond i stracili z oczu białe audi, mimo całej elektronicznej aparatury do pomocy. Gdy wjeżdżali na wzniesienie, usłyszeli jeden strzał, a zaraz potem drugi. A teraz stali dwadzieścia metrów od hrabiego i hrabiny, leżących na ziemi między dosyć rzadkimi, ale wysokimi krzewami bzu. Broń, którą hrabia trzymał w rękach, wyglądała na dubeltówkę. To oraz jego zdziwiony i trochę zdesperowany wyraz twarzy na widok Olofssona i Olofssona pozwoliło braciom się domyślić, że ich wróg wystrzelił naboje i nie zdążył przeładować.

– Załatw ich – powiedział Olofsson do brata. – Zaczynj od hrabiego.

Ale Olofsson nigdy dotąd nie zabijał, nie była to łatwa sprawa nawet dla takiego oprycha jak on.

– Od kiedy jestem twoim chłopcem na posyłki? Załatw ich sobie sam, jak jesteś taki strasznie zdolny – rzekł Olofsson. – Ale lepiej zaczynj od hrabiny, ona jest najgorsza.

Tymczasem hrabia manipulował przy swoim granacie i robił to jakoś tak, że w jednej sekundzie udało mu się pokazać go braciom, odbezpieczyć i upuścić między gałęzie bzu.

– Co ty wyprawiasz, idioto!?! – krzyknęła hrabina po raz ostatni w swym życiu.

Jeśli zaś chodzi o hrabiego, nie powiedział już nic.

Bracia Olofsson natomiast zdążyli rzucić się za jakiś głąz i zasłonić przed odłamkami, które posiekały na kawałki zarówno hrabiego, jak i hrabinę oraz krzaki bzu.

## Rozdział 54

Jerry z Nożem ostrożnie opuścił swoje miejsce za furgonetką. Nie musiał się już zastanawiać, skąd padły dwa strzały, ponieważ zaraz po nich nastąpiła gwałtowna eksplozja w lasku po drugiej stronie autostrady.

Jakie straty spowodował ten atak za drzwiami zakrystii, ochroniarz postanowił ustalić później. Najpierw musiał dostać się do zagajnika, żeby rozprawić się z przeciwnikiem, który może jeszcze się tam ukrywał.

Ponieważ Jerry biegł zakosami, aby nie stać się łatwym celem, dotarł na miejsce dopiero, gdy dało się słyszeć coraz bliższe syreny policji. Trudno było się zorientować, co tak naprawdę się stało, ale porozrzucane różne części ciała wskazywały na to, że zamachowcy, kobieta i mężczyzna, zostali rozerwani na tak małe fragmenty, iż można by mieć wątpliwości, ile rzeczywiście było tu osób, gdyby przez przypadek trzy stopy w butach nie leżały starannie w rządku, zanurzone w krwawej brei. Jerry ocenił na oko, że dwa z butów miały rozmiar 44–45, a trzeci, z wysokim obcasem, chyba 36. Zakładając, że zamachowiec nie był trzynożny, dwupłciowy i nie nosił butów w różnych rozmiarach, musiała mu towarzyszyć kobieta. Czyżby to hrabia i hrabina? Prawdopodobnie. Ale kto wysadził ich w powietrze? Może tak szczęśliwie się złożyło, że opinie na temat tego, co zrobić z Andersem Mordercą, były w wiadomych kręgach podzielone? Dwoje chciało go wysłać na tamten świat, i po nich zostały teraz jedynie trzy stopy, które już nie pójdą donikąd, w przeciwieństwie do Jerry'ego z Nożem, który opuścił zagajnik, zanim przybyła policja.

Wracając do kościoła, powtarzał swoją teorię raz po raz i w końcu odważył się w nią uwierzyć. Czyżby naprawdę tak fartownie wszystko się ułożyło, że ci, którzy chcieli pozbyć się tych, którzy chcieli pozbyć się Andersa Mordercy, też się tam

znalezli i wysadzili hrabiego i hrabinę w powietrze?

Sekundę później uświadomił sobie, że wybuch nastąpił po strzałach. Drugi z nich trafił w samochód, ale pierwszy? Należało przypuszczać, że w Andersa Mordercę.

Wszystko razem wskazywało na to, że zagrożenie Andersa Mordercy wzrosło do maksimum.

A właściwie przekroczyło punkt kulminacyjny.

Kilka minut później Jerry z Nożem mógł stwierdzić, że obiekt, którego nie udało mu się ochronić, miał więcej szczęścia, niż to możliwe.

– Nasza sytuacja wygląda teraz w ten sposób – oznajmił recepcjoniście, pastor i mordercy z krwotokiem z nosa – że niecałe sto pięćdziesiąt metrów stąd mamy oględziny miejsca zbrodni przez policję, zwłoki na podłodze u naszych stóp i policjantów, którzy zapukają do drzwi kościoła, jak tylko dodadzą dwa do dwóch.

– Cztery – powiedział Anders Morderca z kawałkiem papierowego ręcznika wetkniętym w dziurkę nosa.

Jerry z Nożem zastanawiał się, czy nie da się upchnąć kościelnego do jednej z walizek, doszedł jednak do wniosku, że trzeba byłoby podzielić ciało na pół, a na to nie mieli czasu. Poza tym nie była to przyjemna wizja.

Recepcjonista zauważył, że kula chyba nadal tkwi w głowie tego, który kiedyś był Börjem Ekmanem, i że w takim razie dobrze się stało, bo pewnie jest blisko śrubki, która mu się oblużowała.

Pastor była zła, że kościelny w następstwie swego zejścia tak okropnie zaświnił podłogę. Chociaż kałużę krwi można oczywiście bez trudu zmyć. Z własnej woli zgłosiła się, że to robi, i zaproponowała, aby Jerry zabrał zwłoki i załadował je do furgonetki, a następnie postarał się, by i zwłoki, i furgonetka zniknęły. Bo przecież także pojazd miałby sporo do powiedzenia pierwszemu lepszemu sierżantowi policji ze względu na roztrzaskaną boczną szybę.

Tak postanowiono. I tak się stało. Jerry z Nożem usiadł za



kierownicą, po czym zdołał namówić kierowcę, żeby przeniósł się o metr w prawo, aby on mógł dostać się do pedałów i odjechać. Zdjęty prerażeniem szofer znalazł na podłodze wystrzelony pocisk, czyli ostatni element dowodowy potwierdzający, że strzał oddano w kierunku kościoła.

Wino, winogrona, ser i ciastka zostały już rozładowane, toteż z tyłu było dość miejsca dla martwego kościelnego. Nawiasem mówiąc, wystarczyłoby go dla normalnej wielkości zboru, w razie gdyby Börje Ekman potrzebował towarzystwa.

Dla policji nie było zrazu oczywiste, że wybuch granatu ręcznego, od którego zginęły dwie osoby w krzewach bzu, miał związek z obiektem kultu religijnego po drugiej stronie autostrady. Minęło kilka godzin, zanim pewnemu komisarzowi przyszło do głowy, by skojarzyć zdarzenie z Kościołem Andersa. Będącą następstwem tego skojarzenia wizytę złożono dopiero następnego dnia.

Pastor przyjęła policjantów, oznajmiła, że czytała w gazecie o przerażających wydarzeniach, które najwyraźniej działy się o rzut kamieniem stąd, oraz że usłyszeli silny huk, gdy akurat przyjmowali dostawcę, ale zaraz potem dobiegł odgłos policyjnych syren, który ich uspokoił.

– Wiedzieliśmy, że organa porządku na pewno ustalą, co się stało, i zaprowadzą ład. To naprawdę się chwali, że policja jest taka czujna. Może da się pan namówić na filiżankę kościelnej kawy? Domyślam się, że nie ma pan pewnie czasu nawet na partię bierek?

Mniej więcej dziesięć godzin wcześniej Jerry z Nożem wrzucił trójwarstwowy worek z osiemdziesięciokilogramowym kościelnym i piętnastoma kilogramami kamieni do Bałtyku. Następnie starannie podpałił furgonetkę na bocznej zwirowej drodze, zużywając do tego celu czterdzieści litrów benzyny. Na wszelki wypadek przeprowadził to na terenie regionu västmanlandzkiego, aby sprawa trafiła na inne biurko w innej komendzie policji niż przypadek trudnego do wytłumaczenia wysadzenia w powietrze dwóch osób na północ od Sztokholmu.

## Rozdział 55

Były kościelny, spoczywający teraz na głębokości osiemnastu metrów w Bałtyku, ostatni raz postraszył grupę zza grobu wiele dni po swojej śmierci.

– Sodoma i Gomora – powtarzał nieustannie Börje Ekman w miniony wtorek, siedząc w swojej kawalerce, podczas gdy na kuchence bulgotała owsianka.

Odgryzłszy kęs chrupkiego chleba z margaryną, zdecydował, co powinien zrobić. Aby od czegoś zacząć.

– Czy dobrze myślę, Panie? – spytał.

W odpowiedzi usłyszał ciszę, zmienił zatem taktykę.

– Jeśli źle myślę, Panie, powiedz mi! Wiesz przecież, że zawsze cię posłucham.

Pan nadal się nie odzywał.

– Dzięki ci, Panie – rzekł Börje Ekman, otrzymawszy potwierdzenie, którego potrzebował.

Tak więc w środę rano samozwańczy kościelny kościoła Andersa wsiadł na rower i jeździł od jednego sklepu monopolowego do drugiego, aby porozmawiać z mężczyznami i kobietami siedzącymi na ławkach przed tymi przybytkami. Niektórzy z nich przeczuwali, że kontrolowana przez państwo sieć sklepów odprawi ich dzisiaj, mimo to czekali. Inni byli jeszcze na tyle trzeźwi, by mieć nadzieję, że gdy z wybiciem godziny dziesiątej otworzą się drzwi, zostaną wpuszczeni do środka. Systembolaget<sup>3</sup> miał skomplikowaną misję, ponieważ z jednej strony chciał sprzedawać Szwedom najwięcej alkoholu, jak się da, aby uzyskać maksymalnie dużo koron w podatkach, a z drugiej prawil tym samym Szwedom kazania i moralizował,

---

<sup>3</sup> Systembolaget – państwowa sieć sklepów mająca w Szwecji monopol na sprzedaż napojów o zawartości alkoholu powyżej trzech i pół procent.

że w imię trzeźwości nie powinni pić alkoholu, za który właśnie tyle zapłacili. Kierując się poczuciem odpowiedzialności, znajdowano powód, by każdego dnia odmówić dziesięciu, czasem nawet dwudziestu potencjalnym klientom, a wybierano ich spośród tych, którym najbardziej zależało na wizycie w sklepie.

Między takimi właśnie pobożnymi klientami Börje Ekman kursował na rowerze, podpowiadając im, że w najbliższą sobotę na północ od miasta można napić się wina za darmo w Kościele Andersa. Wszak hojność Wszechmocnego nie zna granic. Wszystko tam jest gratis, wystarczy tylko zjawić się o odpowiedniej porze. Można nawet co nieco przekąsić. Nie, przymusu nie ma, jedzenie jest dobrowolne. Nie, nikt nie zostanie splawiony, bo tam reżyserem jest Pan, a nie Systembolaget.

Börje Ekman wiedział, że uczniowie z gimnazjum Mälarschool przychodzili na służbę o trzynastej. Pół godziny później kartony wina miały być ustawione na właściwych miejscach.

– Najlepiej być tam przed drugą, wtedy nie będzie za późno – wyjaśniał Börje Ekman i jechał dalej.

I uśmiechał się pod nosem, pedałuując pod wiatr. Do następnego sklepu monopolowego. I kolejnego. I jeszcze jednego. Na niewiele godzin przed śmiercią.

\* \* \*

Gdy nadeszła sobota, kościelny Börje Ekman leżał cicho na dnie Bałtyku, a tymczasem tuż po godzinie pierwszej najnędniejsze z najnędniejszych okazów ludzkich zdążyły zająć miejsca w ławkach jego kościoła.

Trzy godziny później kościół był pełen, w przeciwieństwie do kartonów mołdawskiego wina, które po dwudziestu minutach opustoszały, a wszyscy byli ululani.

Gimnazjaliści znali swoje obowiązki: pusty karton należało natychmiast wymienić na nowy. Tyle że ta reguła miała się odnosić do ewentualnych sporadycznych przypadków pod koniec kazania, a w żadnym razie nie oznaczała, że chodzi o zastępowanie wszystkich jak leci kartonów na długo przed

tym, jak Anders Morderca nawet nie zdążył się jeszcze przebrać do nabożeństwa.

Okolo wpół do piątej doszło do pierwszych bójek. Zaczynało się od kłótni, komu przysługuje najbliższy stojący karton z winem, a kończyło na tym, że nikt nie pamiętał, o co była awantura, ponieważ wciąż dolewano do kieliszków. Mniej więcej o tej porze zaczęli się schodzić wierni, którzy od kilku tygodni mieli swoje stałe miejsca w kościele oraz kieszenie pełne pieniędzy, widząc jednak, co się dzieje, zawracali w drzwiach i odjeżdżali do domów.

Pastor zorientowała się w sytuacji za dwadzieścia piąta. Gimnazjaliści zrobili pierwszą rundę z wiaderkami i zebrali dwadzieścia dwie korony szwedzkie oraz jedną markę zachodnioniemiecką z 1982 roku. Co dało średnio dwa przecinek siedem öre na osobę. Plus niemiecka marka, która prawdopodobnie była warta mniej więcej tyle samo, ale nadawała się tylko do kosza.

Za dziesięć piąta przedstawiciel uczniów poinformował, że wino przeznaczone na dzisiaj się skończyło. Czy mają sięgnąć do zapasów na przyszły tydzień, czy podać tace z przekąskami?

Ani jedno, ani drugie. Oznaczało to, że kazanie zostaje tego wieczoru odwołane, a Jerry z Nożem i jego ludzie muszą jak najszybciej opróżnić kościół, aby nie doszło do poważnych pijackich burd.

– Chyba już za późno – stwierdził Jerry z Nożem, zaglądając do kościoła przez szparę w kotarze.

Ludzie siedzieli i stali w ławkach, ktoś położył się i spał, co najmniej cztery różne grupki skakały sobie do oczu, wyzywały się, popychały i szarpały. Jakaś zapuszczona kobieta i jeszcze bardziej niedomyty mężczyzna leżeli pod freskiem przedstawiającym Dzieciątka Jezus w stajence i chyba próbowali pokazać, w jaki sposób według Biblii Maria Panna nie znalazła się w stanie błogosławionym.

Ktoś chyba musiał zadzwonić po policję (tym razem podejrzenie nie padło na Börjega Ekmana), na zewnątrz bowiem rozległy się syreny. Wykrywacze metalu kwitowały piskiem wejście każdego funkcjonariusza, co z kolei

rozdrażniło dwa policyjne psy. Szczekanie jednego psa w kościele brzmi jak ujadanie całej sfory. A szczekanie dwóch psów wywołuje nieopisany chaos.

Zanim opadł kurz bitewny, ujęto czterdzieści sześć osób za pijaństwo, względnie czynny opór wobec władzy, ewentualnie za jedno i drugie. Ponadto dwoje zatrzymano za właśnie spełniony czyn budzący zgorszenie.

Oprócz tego pastor Johanna Kjellander została wezwana na przesłuchanie, podejrzana o... Trudno było dojść o co.

Zgodnie z rozdziałem trzecim, paragraf ósmy kodeksu administracyjnego poszczególne gminy mają obowiązek podawać do szerokiej wiadomości przepisy uzupełniające aktualne regulacje, których celem jest utrzymanie porządku publicznego.

Po pisaninie w niedzielnych gazetach władze gminy już następnego dnia podjęły decyzję o „zakazie spożywania alkoholu w siedzibie Kościoła Andersa, ponieważ cel konsumpcji wydaje się niezgodny z treścią przyjętych uregulowań”. Fakt, że ten sam Kościół miał nieokreślone powiązania z domniemanym podwójnym morderstwem, wskutek którego kilka dni wcześniej wyleciało w powietrze dwoje kryminalistów, nie utrudniał władzom podjęcia decyzji.

## Rozdział 56

Po działalności gospodarczej opartej na przemocy wobec osobników w najlepszym razie nie do końca niewinnych pastor i recepcjonista obrali nowy kurs – przerzucili się na wyciąganie pieniędzy od ludzi, których serca przepelnione były wiarą, nadzieją, miłością i hojnością, a krwiobieg na wszelki wypadek uzupełniało wino.

Gdyby nie śmierć hrabiego i hrabiny – oraz ostatnie posunięcie w życiu egocentrycznego byłego, a obecnie martwego kościelnego – działalność ta mogłaby trwać aż po dziś dzień. Najpierw jednak okazało się, że nie można polegać na gazetach jako darmowych nośnikach reklamy. Dziennikarze bowiem zaczęli doszukiwać się niejasnych powiązań między domniemanym bestialskim podwójnym morderstwem głównych postaci świata kryminalnego a Kościołem Andersa po drugiej stronie autostrady. Ten i ów napomknął nawet o ewentualności, że Anders Morderca powrócił do swego dawnego ja i że to on kryje się za wszystkim. To zaś, że tak zwany hrabia i jego hrabina znajdowali się wśród nabitych przez niego kilka miesięcy temu w butelkę, uważano za oczywiste.

– Pieprzone pismaki – podsumował recepcjonista aktualną sytuację, w jakiej znaleźli się razem z pastor.

Pastor w pełni się z nim zgadzała. Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby ci przekłeci żurnaliści zajęli się swoją prawdziwą pracą.

Jakby tego było mało, dobiło ich jeszcze pospiesznie wydane lokalne rozporządzenie zabraniające Kościołowi Andersa opierania działalności na *winie* jako prężródle wszelkiego dobra (w odróżnieniu od wiatraka w północno-zachodnim Värmlandzie). Wszystko to powodowało, że zarówno pastor,

jak i recepcjonista widzieli przed sobą drogę pod górę niemającą końca.

Doszło do tego, że liczba wiernych od kilku tygodni wypełniających co sobota kościół oraz parking z tysiąca stopniała do siedmiu.

Siedmiu wiernych.

Którzy dawali sto koron brutto.

W sumie.

Ta stówka miała utrzymać pastora, recepcjonistę, ochronę i zastęp gimnazjalistów. Nawet Anders Morderca zdał sobie sprawę, że ich finanse zaczęły kuleć. Oznajmił jednak, że siła jego religijnego przesłania jest wciąż nienaruszona i że dlatego należy mieć cierpliwość.

– Wiadomo przecież, „że ucisk wyrabia wytrwałość, a wytrwałość – wypróbowaną cnotę, wypróbowana cnota zaś – nadzieję” – powiedział Anders Morderca.

– Co takiego? – spytał recepcjonista.

– List do Rzymian 5 – odpowiedziała automatycznie pastora, nie mniej zdziwiona.

Nie zdając sobie sprawy, jakie wrażenie zrobił na otoczeniu, duszpasterz Anders opowiadał, że najpierw było mu żal Börjego Ekmana z powodu jego zejścia, ale po jakichś trzydziestu sekundach zrozumiał, że w przeciwnym razie to on dostałby kulkę w brzuch, która pewnie przeszłaby go na wylot. Biorąc to pod uwagę, zgadza się z recepcjonistą, że krwotok z nosa, który go spotkał, był do zniesienia.

Nawiasem mówiąc, wspomniany krwotok ustał po niecałym kwadransie, a duszpasterz mimo względnego niepowodzenia w następną sobotę był nastawiony na kontynuowanie swojej działalności w imię Jezusa. To, że odwiedzającym kościół nie wolno już było serwować alkoholu, niespecjalnie mu przeszkadzało, dopóki on sam po kryjomu mógł się rozgrzać czymś mocniejszym. Z siedmiorga wiernych w ławkach niedługo zrobi się czternaścioro i zanim pastora, recepcjonista i on sam zdążą się obejrzeć, będzie znowu tysiąc czterysta osób,

przekonywał.

– Nazywanie tego, co się stało, gdy pojawiła się tu policja z psami, „względny niepowodzeniem” nie jest przypadkiem przesadą? – zapytał recepcjonista.

– Może to i całkiem porządne niepowodzenie. Ale wiara przenosi góry – odrzekł Anders Morderca, odsyłając do Trzeciej Księgi Mojżeszowej.

– Czy on, do cholery, nauczył się całej Biblii na pamięć? – rzucił recepcjonista, gdy tylko Anders Morderca zniknął za drzwiami.

– Nie do końca – odparła pastor. – Rzeczywiście mówiliśmy o tym, że wiara przenosi góry, i w Biblii, i poza nią, ale na ten temat nie ma ani słowa w Trzeciej Księdze Mojżeszowej. W niej składane są ofiary ze zwierząt i tak dalej.

Recepcjonista nie potrafił sobie wyobrazić, by wiara Andersa Mordercy mogła w najbliższym czasie przynieść im coś innego niż problemy. Pastor przyznała mu rację. Kościół Andersa szedł na dno. Nie pozostało nic innego, jak zwinąć działalność w jak najsprytniejszy sposób. Tak, by duszpasterz nie zorientował się, co się dzieje.

– Pomyślałam sobie, że było zbyt pięknie, aby to mogła być prawda, jeżeli wszystko wyglądało zbyt pięknie, aby mogło być prawdziwe – powiedziała pastor.

Recepcjonista zastanowił się nad jej słowami, po czym dodał:

– To musiało być chyba mniej więcej w tym samym czasie, kiedy i mnie przemknęło przez głowę, że po wszystkich latach wreszcie los się odwrócił. Obiecuję, że już nigdy tak nie pomyślę, moja droga.



## Rozdział 57

Pastor i recepcjonista mieli sześć milionów dziewięćset tysięcy koron w gotówce w żółtej walizce (świeżo przeliczone). Posiadali także czerwoną walizkę, w której bez trudu dał się zmieścić cały ich łączny dobytek.

Ponadto mieli duszpasterza, który z powodu rozmaitych okoliczności stracił dla nich wszelką wartość komercyjną i z którym dlatego należało się rozstać. W pewnym sensie można by powiedzieć, że powrócili na ścieżki rozdziału szesnastego niniejszej opowieści. Wówczas chodziło o zamknięcie hotelu i zniknięcie z dwiema walizkami pełnymi pieniędzy. I przy okazji pozbycie się Andersa Mordercy. Obecnie hotel został zastąpiony przez kościół, ale Anders Morderca nie przypadł. Może był tylko nieco lepszy niż wcześniej.

Jak to zrobić, nie wiedzieli, teraz jednak mogli nad tym główkować w ciszy i spokoju.

– W poprzednią sobotę było siedem osób – powiedział recepcjonista. – Więc pewnie w tę przyjdą cztery albo pięć.

– Najbardziej mi będzie brakować cytatów z Biblii ku chwale wina – oznajmiła pastor. – Trzeba przyznać duszpasterzowi Andersowi, że potrafił poruszyć ludzi w ławkach. Ale tak szybko wszystko się skończyło, że nie zdążyliśmy nawet dojść do mojego ulubionego.

– Czyli?

– „Byłem jak pijany, niczym człowiek odurzony winem, za sprawą Pana, za sprawą jego świętych słów”.

– Kto to powiedział?

– Izajasz. Miał słabość do kielicha. Trzeba przyznać, że brzmi całkiem sympatycznie; Bóg przemawia i przy okazji wprawia tego, kto go słucha, w stan upojenia. Gratis.

Powiedziała to lekceważącym tonem. Słyszac ją, recepcjonista

pomyślał, że musiałyby chyba upłynąć jeszcze kilkaset lat, by wybaczyła Panu, że pozwolił, aby tradycja rodzinna zmusiła ją do służenia mu wbrew jej woli. Gdyby Bóg choć trochę się postarał, mógłby zapewnić jej ocenę niedostateczną na uniwersytecie – wystarczyłoby, żeby wkroczył i trochę namieszał w bezbłędnych odpowiedziach. Albo, jeśli to było zbyt skomplikowane, mógłby sprawić, by nie została dopuszczona do egzaminu końcowego w instytucie pastoralnym. Bo bez niego nie byłaby przecież pastorem, niezależnie od tego, ile talerzy jej ojciec proboszcz wyrzuciłby w furii do kosza.

Chociaż być może i tak doszłoby do niekorzystnego dla niej zwrotu, jak działo się prawie zawsze. Niewykluczone bowiem, że tata zacząłby wtedy ciskać talerzami w córkę, w związku z czym można uznać, że Pan Bóg uratował jej życie, doprowadzając do spełnienia się woli ojca. Nie wiadomo jednak na pewno, jaki był zakres interwencji Pana.

Recepcjonista już dawno uświadomił sobie swoje ograniczenia w kwestii rozważań teologicznych. Czuł się pewniejszy w sferze konkretów, jak na przykład sześć milionów dziewięćset tysięcy koron, dwoje wysadzonych w powietrze gangsterów, nieco pechowo, ale w sumie szczęśliwie zastrzelony kościelny oraz wcześniej wszystkie połamane ręce i nogi i kilka zmasakrowanych twarzy. Jeśli pastor i on mogli jeszcze sobie czegoś życzyć – zastanawiał się – to jedynie tego, aby Królestwo Niebieskie nie istniało. Bo w przeciwnym razie oboje tkwili po uszy w gównie.

– Hej! Dzień dobry! – Anders Morderca wparował do zakrystii w kretyńsko dobrym humorze. – Mam parę bezalkoholowych wrzutek do cotygodniowego kazania i chciałbym je przetestować na pastor, skoro tak się sprawy mają, jak się mają. Tylko najpierw muszę się wysikać!

Duszpasterz, równie szybko jak się pojawił, wyszedł przez podwójne drzwi zamontowane na polecenie Jerry'ego z Nożem jako dodatkowa droga ucieczki. Lecz on bynajmniej nie uciekał,

tylko chciał załatwić swoją potrzebę na łonie natury.

Ani pastor, ani recepcjonista nie zdążyli skomentować nagłego pojawienia się i zniknięcia mordercy, usłyszeli bowiem czyjś głos, tym razem od progu zakrystii.

– Dzień dobry – powiedział niski mężczyzna w garniturze. – Nazywam się Olof Klarinder. Jestem z urzędu skarbowego i jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu, chciałbym przejrzeć państwa księgi rachunkowe.

W języku urzędowym znaczyło to, że Olof Klarinder zamierzał przejrzeć księgi niezależnie od tego, czy potencjalny delikwent miał coś przeciwko temu, czy nie. Recepcjonista i pastor patrzyli na mężczyznę w garniturze. W pierwszej chwili nie wiedzieli, co odpowiedzieć, ale pastor jak zwykle była szybsza w improwizacji:

– Oczywiście, że nie widzimy żadnych przeszkód. Tyle tylko że pan trochę zaskoczył nas swoją wizytą, a duszpasterza Andersa nie ma tu dzisiaj, my zaś jesteśmy jedynie jego prostymi sługami. Co pan na to, aby przyjść jutro rano o dziesiątej, uprzedzę wtedy duszpasterza, aby był na miejscu. Naturalnie ze wszystkimi segregatorami. Możemy się tak umówić?

Kobieta z koloratką powiedziała to tak niewinnym głosem i z taką godnością, że Olofowi Klarinderowi przemknęła przez głowę myśl, iż być może w tym konkretnym zborze nie doszło jednak do żadnych podatkowych nieprawidłowości. Anonimowe informacje zazwyczaj obciążone są tą wadą, że nazbyt często mają źródło raczej w zawiści niż w prawdzie.

Już samo to, że w ogóle istnieją księgi rachunkowe i są do wglądu, było dobrą wiadomością. Nic bowiem nie mogło zadowolić Olafa Klarindera bardziej niż możliwość wertowania dokumentów.

– Cóż, sens tego rodzaju wizyt polega właśnie na tym, że są nieanonsowane – oznajmił. – Równocześnie jednak zamiarem urzędu nie jest przekraczanie jakichkolwiek granic. Godzina dziesiąta zero zero jutro rano mi odpowiada, pod warunkiem że duszpasterz stawi się wraz ze swoimi... segregatorami, jak to pani powiedziała.

Ledwie urzędnik skarbowy Klarinder zdążył się oddalić

w wiadomym tylko sobie kierunku, z przeciwnego wtoczył się Anders Morderca, wciąż jeszcze manipulując przy rozporku.

– Macie jakieś dziwne miny – stwierdził. – Stało się coś?

– Nie – odpowiedziała szybko pastor. – Zupełnie nic. Wysikany?

\* \* \*

Przyszła pora na spotkanie z jedynym ochroniarzem, który nie został jeszcze zwolniony, czyli z Jerryem z Nożem. Bez duszpasterza.

Jerry'emu w jakiś cudowny sposób udało się wypowiedzieć cotygodniowe dostawy mołdawskiego wina w kartonach prawie bez żadnych kosztów. On miał kontakty, podczas gdy pastor miała pewien pomysł.

Nie był on bardziej moralny od wszystkich innych koncepcji, jakimi zajmowała się w ciągu ostatnich lat, a właściwie w ciągu całego swego dorosłego życia – w zależności do tego, jak się na to patrzyło. Ale tak czy inaczej był to konkretny pomysł.

– Rohypnol – zwróciła się do Jerry'ego z Nożem. – Albo coś innego w tym rodzaju. Ile czasu byś potrzebował, żeby go zdobyć?

– To pilne? – spytał Jerry.

– Można by tak powiedzieć – odrzekła pastor.

– O co chodzi? – próbował ustalić recepcjonista, który z powodu pośpiechu nie został należycie poinformowany.

– Rohypnolu nie sprzedaje się już w Szwecji, dlatego chyba będę potrzebował trochę czasu.

– Ile? – rzuciła pastor.

– O co chodzi? – powtórzył recepcjonista.

– Trzy godziny – stwierdził Jerry z Nożem. – Dwie i pół, jeśli nie będzie korków.

– *No o co chodzi?*

## Rozdział 58

Recepcjonista został bezzwłocznie wtajemniczony w szczegóły planu i po pewnym wahaniu go pobłogosławił.

Tak więc około wpół do piątej po południu pastor i recepcjonista przekazali beztroskiemu duszpasterzowi Andersowi wiadomość, że nadeszła pora, aby na poważnie przejął kierownictwo nad wszystkim. Co oznacza między innymi, że wszelkie sprawy formalne i odpowiedzialność zostają od tej chwili przeniesione na niego, nie ma bowiem powodu, żeby dłużej zwlekać. Łącznie z tym, że odtąd pasterz będzie według własnego uznania rozdawał przyszłe darowizny zboru. Pastor i recepcjonista usuną się na bok, ale nadal zamierzają wspierać go moralnie.

Pasterz Anders ogromnie się wzruszył. Nie dość, że mógł przeznaczać pięćset koron tygodniowo, na co chciał (z wyjątkiem sytuacji, gdy zebrana taca ledwie zamykała się w trzycyfrowej kwocie), to teraz oni jeszcze byli gotowi przekazać mu cały kram.

– Wielkie, wielkie dzięki, drodzy przyjaciele – powiedział Anders Morderca. – Przyznaję, że pomyliłem się na początku, ale teraz już wiem, że jesteście dobrzy do szpiku kości. Alleluja i hosanna!

Następnie podpisał wszystkie wymagane papiery, nie próbując nawet dowiedzieć się, co w nich jest. Gdy sprawy formalne zostały załatwione, pastor zaproponowała, aby duszpasterz sam odbył spotkanie z przedstawicielem urzędu zapowiedziane na następny dzień rano w celu przeprowadzenia rutynowej kontroli. Uspokoiła go jednak, że pewnie wystarczy tylko wyjaśnić, jak się sprawy mają, i na tym wizyta się skończy.

– A ile jest w sumie pieniędzy na darowizny? – spytał Anders

Morderca.

– Trzydzieści dwie korony – odpowiedział recepcjonista.

\* \* \*

Następnego ranka o godzinie dziewiątej mieli ponownie spotkać się w zakrystii. Pastor i recepcjonista zasugerowali Andersowi Mordercy wspólne śniadanie, w czym nie należało dopatrywać się niczego nadzwyczajnego. Miało być poranne wino jako niezmienny sakrament, niezależny od pory dnia; przecież nie można zastąpić go kawą tylko dlatego, że spodziewano się wizyty. Pastor obiecała też świeżo pieczony chleb.

Anders Morderca zrozumiał. To znaczy nie zrozumiał słowa „sakrament”, ale dotarło do niego, że obowiązująca tradycja komunijna nie jest zagrożona.

– To widzimy się jutro rano – powiedział. – A czy nie mielibyście nic przeciwko temu, żebym wziął sobie teraz cały karton mołdawskiego? Mam jednego czy dwóch przyjaciół i pomyśleliśmy sobie, żeby wieczorem spotkać się w kamperze na studiowanie Biblii. Wy pewnie znowu będziecie nocować w piwnicy u twojej ciotki? – spytał morderca, patrząc na recepcjonistę, który wynegocjował rabat ilościowy na okazały apartament z widokiem na morze w Hiltonie.

– Tak, i to całkiem za darmo, niech Bóg ma ją w swej opiece – odpowiedział recepcjonista, który nigdy nie miał żadnej ciotki. – Weź sobie cały boks dla swoich przyjaciół. Albo dwa. Ale jutro punktualnie o dziewiątej chcemy widzieć cię tutaj, trzeźwego i w formie.

Na co pastor uśmiechnęła się zgodnie z planem, otrzymując w odpowiedzi uśmiech nieplanowany.

\* \* \*

Anders Morderca nie stawił się w zakrystii następnego dnia o godzinie dziewiątej. Ani kwadrans później. Wtoczył się do środka tuż przed wpół do dziesiątej.

– Przepraszam, że się spóźniłem – powiedział. – Poranna toaleta zajęła mi więcej czasu, niż myślałem.

– Poranna toaleta? – powtórzyła pastor. – Kamper stoi siedemdziesiąt metrów stąd i od ponad tygodnia nie działa w nim toaleta.

– Wiem – odparł Anders Morderca. – To okropne, prawda?

No dobrze, nie było czasu do stracenia. Morderca dostał pełną szklanę wina, w tajemnicy wzmocnionej odpowiednią ilością wódki. A potem jeszcze jedną. Do tego trzy kanapki z serem i margaryną wymieszaną ze starannie rozdrobnionym rohypnolem. Miligram na kanapkę powinien przynieść pożądaną efekt. Trochę więcej też nie zaszkodzi.

Morderca, który przez wiele lat z rzędu powtarzał „nigdy więcej wódki i prochów”, stwierdził, że dzisiejszego ranka wino smakuje wyjątkowo dobrze – prawdopodobnie Pan pragnie jak najlepiej przygotować go do spotkania z przedstawicielem władz.

– Najgorsze, co by się mogło zdarzyć, to gdyby zażądał dwudziestu procent podatku od tych trzydziestu dwóch koron. Jak myślicie?

Kanapek nie skomentował ani słowem. Tylko poprosił o jeszcze jedną, którą pastor na wszelki wypadek doprawiła kolejnym miligramem substancji w języku chemii zapisywanej jako  $C_{16}H_{12}FN_3O_3$ .

Pastor i recepcjonista wynieśli się za pięć dziesiąta, przekazawszy tuż przedtem Andersowi Mordercy trzy segregatory, które wypełnili komiksami ponacinanymi dziurkaczem. Zależało im na tym, aby teczki miały odpowiedni ciężar (wzięli więc, co mieli pod ręką, czyli plik zeszytów z komiksami, które z niejasnej przyczyny leżały w garderobie zakrystii; nie mieli natomiast pod ręką żadnej dokumentacji dotyczącej czegokolwiek innego niż niedawno zmienione stosunki własnościowe). Następnie powiedzieli Andersowi Mordercy, aby do nich zadzwonił, gdyby potrzebował pomocy. Po czym poszli swoją drogą, wyłączając komórki.

– O ile wiem, taka ilość wódki i prochów powaliłaby konia – rzekł recepcjonista, gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości od

tego, od czego mieli się znaleźć.

– Owszem, tyle że my mamy do czynienia raczej z osłem. A ten osioł przeszedł niezłą szkołę w przeszłości. Chyba można się spodziewać, że spotkanie osła z poborcą podatkowym będzie dosyć smutną historią.

Przedstawiciel urzędu skarbowego przedstawił się duszpasterzowi Andersowi, który podał mu rękę mniej więcej w tej samej chwili, gdy zaczął czuć się dziwnie. W uścisku dłoni tego faceta była jakaś wyższość. A potem powiedział jeszcze „Miło mi!”.

Jakie miło? I ten krawat! Czy on myśli, że jest kimś lepszym?

Na dodatek gość pod krawatem zaczął zadawać prowokacyjne pytania o rejestry wpływów, numer identyfikacji podatkowej, rodzaj działalności, księgi rachunkowe i różne inne rzeczy, których pasterz nie rozumiał. Nie tylko dlatego, że był pijany.

– Co z tobą, do cholery? – rzucił Anders Morderca, gdy zaczęło w nim kipieć.

– Co ze mną? – spytał Olof Klarinder nieco wylękniony. – Nic specjalnego, jestem urzędnikiem państwowym próbującym wykonywać swoje obowiązki. Odpowiedzialność podatkowa to jeden z filarów demokratycznego społeczeństwa. Czy duszpasterz nie jest tego samego zdania?

Jedyne, z czym duszpasterz mógł się zgodzić, podczas gdy jego osobowość ulegała przemianie, było to, że urząd skarbowy może otrzymać dwadzieścia procent łącznych przychodów wynoszących trzydzieści dwie korony. Ile to dokładnie wynosi, nie potrafił powiedzieć, ale chyba więcej niż pięćdziesiąt nie powinno być, no nie?

Olof Klarinder czuł, że coś jest nie tak, mimo to nie potrafił się oprzeć pokusie i otworzył pierwszy oraz drugi z trzech segregatorów.

Miał szczęście, że przeżył atak przemocy, na jaki został wystawiony ze strony duszpasterza, który na nowo przeobraził



się w mordercę, gdy tylko urzędnik nie omieszkiał zauważyć, że siedemnaście egzemplarzy pisemka „The Phantom” z lat 1979–1980 w żaden sposób nie zastąpi informacji dotyczących działalności zboru poszukiwanych przez przedstawiciela urzędu skarbowego. Przeżył, ale został solidnie uszkodzony, ponieważ Anders Morderca usiłował wbić mu do głowy rachunki, których się domagał, za pomocą trzeciego, jeszcze nieprzekazanego segregatora.

Duszpasterz wprawdzie nie pamiętał potem, co się wydarzyło, ale znając siebie, przyznał się do winy i zgodnie z paragrafem trzecim, ustęp siódmy kodeksu karnego został skazany na szesnaście miesięcy więzienia. Dodatkowo dostał dziewięć miesięcy zgodnie z paragrafem czwartym kodeksu karnego skarbowego. Czyli w sumie dwadzieścia pięć miesięcy. To najkrótszy okres, jaki do tej pory odsiadywał, stwierdził z zadowoleniem. Wszystko więc zmierzało w jak najlepszym kierunku.

Bezpośrednio po procesie pozwolono mu na krótką rozmowę z pastorem i recepcjonistą. Poprosił ich szczerze o wybaczenie – sam nie rozumiał, co w niego wstąpiło. Pastor uściśniła go serdecznie i powiedziała, że nie powinien się zbyt mocno obwiniać.

– Wpadniemy cię odwiedzić – obiecała z uśmiechem.

– Naprawdę się do niego wybierzemy? – spytał recepcjonista, kiedy oddalili się już od przyszłego więźnia.

– Nie – odrzekła pastor.

\* \* \*

Po kolacji na cześć Jerry’ego z Nożem w podziękowaniu za wszystko na placu boju pozostali pastor, recepcjonista, ich apartament w Hiltonie i żółta walizka z niespełna siedmioma milionami koron (łącznie z tym, co podjęto z konta w banku). Kościół i kamper, zapisane ostatnio na Andersa Mordercę, zostały natychmiast zarekwirowane przez kolegów Olofa Klarindera z urzędu komorniczego, podczas gdy on sam ze

złamaniami tu i tam znalazł się pod opieką lekarzy w szpitalu Karolinska. Nie nudził się w nim zbytnio, ponieważ tak się złożyło, że wziął ze sobą z kościoła dwa z trzech segregatorów. Zawsze miał słabość do „The Phantom”.

## Część 3

# Trzecia nietypowa działalność gospodarcza

### Rozdział 59

Recepcjonista leżał pod puchową kołdrą obok swojej pastor i nie mógł zasnąć. Rozmyślał nad nimi obojgiem, a także nad sobą samym. Rozmyślał też nad swoim piekielnym dziadkiem, który przetracił wszystkie pieniądze rodziny i pośrednio doprowadził do tego, że wnuk został kierownikiem logistyki w burdelu.

A teraz: on i pastor mają całkiem sporo milionów w żółtej walizce. Są niemal tak bogaci jak kiedyś dziadek. Mieszkają w apartamencie luksusowego hotelu i regularnie zamawiają foie gras z szampanem. Nie dlatego, żeby to było szczególnie smaczne – Per Persson uparł się po prostu, że wszystko, co jedzą i piją, powinno być drogie.

Doczekał się zatem finansowego rewanzu. Ale miał dziwne poczucie pustki. A może to było poczucie braku... czegoś innego.

Skoro finansowa katastrofa dziadka po ponad pięćdziesięciu latach wreszcie została naprawiona, dlaczego satysfakcja nie była totalna? Albo przynajmniej znacząca?

Czy miał wyrzuty sumienia, że on i pastor postarali się, aby Anders Morderca wylądował w końcu tam, gdzie jego miejsce?

Nie, niby dlaczego?

Każdy dostał to, na co zasłużył. Może z wyjątkiem kościelnego, który ledwie zaczął rozumieć zbyt dużo, a już stał

się bardziej martwy, niż wymagała sytuacja. Pechowy zbieg okoliczności, bez dwóch zdań. Ale tak w ogóle zdarzenie kompletnie marginalne.

W tym miejscu wskazana jest być może niewielka dygresja w obronie recepcjonisty. Nazywanie zabójstwa będącego następstwem nieudanej próby morderstwa zdarzeniem kompletnie marginalnym należałoby pewnie uznać za niedoszacowanie. Ale wzięwszy pod uwagę genetyczne dziedzictwo Pera Perssona, da się znaleźć jeśli nie usprawiedliwienie, to przynajmniej wyjaśnienie takiego podejścia.

Odziedziczył on kompas moralny po ojcu pijaku (który porzucił go na rzecz butelki koniaku, kiedy chłopiec miał dwa lata) i dziadku handlarzu końmi, tym, który faszerował swoje żrebaki, począwszy od dnia ich narodzin, precyzyjnie odmierzoną ilością arszeniku, aby przyzwyczyli się do trucizny i były w najlepszej formie nie tylko w dniu sprzedaży, ale także w nieznacznie malejącym stopniu przez dni, tygodnie i miesiące później.

Ktoś, kto sprzedał zwierzę na sobotnim targu, a już w niedzielę został oskarżony o to, że zwierzę padło, szybko tracił opinię. Ale konie dziadka Pera Perssona stały mocno na czterech nogach przez całą noc i żwawo machały ogonem także następnego dnia. Zdychały nie wcześniej niż po kilku miesiącach z powodu chronicznej kolki, raka płuc czy innego organu, niewydolności wątroby lub nerek bądź innej dolegliwości, którą trudno byłoby powiązać z działaniami coraz bardziej majątnego i renomowanego sprzedawcy. Ponieważ on zawsze zachowywał umiar, jego konie nigdy nie dostawały zielonkawej sierści tuż przed zejściem. Normalnie była to konsekwencja przesadnie dużej dawki arszeniku podanej kilka godzin przed transakcją. Konie nie są przecież zielone z natury (w odróżnieniu od niektórych modeli traktorów). Konie użytkowe nie powinny zdychać, zanim zostaną użyte. Chłop, który kupił sobie w sobotnie popołudnie dziarską szkapę,

a potem aż do nocy opijał nowy nabytek i następnego dnia budził się z bólem głowy (w przeciwieństwie do swego konia, który już się nie budził), miał co najmniej dwa powody, aby darować sobie niedzielne nabożeństwo i z widłami w garści szukać sprzedawcy, który był już kilka ładnych gmin dalej.

Dziadek Pera Perssona był na to za sprytny, ale potem okazał się na tyle głupi, by nie zrozumieć, że wejście traktorów na rynek było o wiele gorsze, niż mogło być dźgnięcie widłami w tyłek.

Ponieważ jabłko pada niedaleko od jabłoni, nietrudno więc pojąć rozumowanie recepcjonisty w bieżącej sytuacji. Zmyślnie podtruły koń i kościelny, który przez przypadek się przekręcił – jaka to różnica?

Kiedy Per Persson już dość naszamotał się z własnymi myślami i ze sobą samym, poczuł, że potrzebuje pomocy tej, która leżała obok niego i oddychała równomiernie.

– Kochanie? Nie śpisz?

Żadnej odpowiedzi.

– Kochanie?

Pastor się poruszyła. Niezbyt energicznie, tylko trochę.

– Przecież widzisz, że śpię – odpowiedziała. – O co chodzi?

Recepcjonista zrezygnował. Wciągając ją w swoje rozmyślenia w środku nocy... Głupi pomysł. Bardzo głupi.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłem. Śpij, porozmawiamy jutro rano.

Ale pastor poprawiła poduszkę i usiadła.

– Powiedz, o co chodzi, bo inaczej nie zasnę przez całą noc i będę ci czytać na głos Biblię Gedeonitów.

Recepcjonista wiedział, że jest to groźba bez pokrycia. Bo Biblię Gedeonitów, która zalegała już niemal w każdym pokoju hotelowym w całym kraju, wyrzucił od razu pierwszego wieczoru przez okno. Mimo to zdawał sobie sprawę, że nie ucieknie przed rozmową. Nie wiedział natomiast, co ma dokładnie powiedzieć i w jaki sposób.

– No więc, kochanie... – spróbował. – Chyba mieliśmy sporo

szczęścia, nie uważasz?

– Masz na myśli to, że ci, którzy weszli nam w drogę, są martwi, totalnie martwi albo za kratkami, podczas gdy my popijamy sobie szampana?

Niezupełnie to miał na myśli, nie wprost, a przynajmniej nie ująłby tego tak bez ogródek. Powiedział więc, że udało im się całkiem nieźle zaprowadzić porządek wśród historycznych niesprawiedliwości losu. On katastrofę ekonomiczną własnego dziadka zamienił na luksusowy apartament, gęsie wątróbki i bąbelki. A pieniądze znalazły się dzięki temu, że on i Johanna wspólnymi siłami sprzeniewierzyli się Biblii, do której studiowania jej ojciec i przodkowie ją zmusili.

– Dlatego wydaje mi się, że chyba dotarliśmy do celu. I że byłoby... irytujące, gdyby ta poetka, jak ona się tam nazywała, no ta, która pisała, że to droga jest warta wysiłku... gdyby więc ona<sup>4</sup>...

– Droga? – spytała na wpół śpiąca pastor, czując, że ta rozmowa szybko się nie skończy.

– Tak, droga. Jeśli celem był luksusowy apartament z Biblią Gedeonitów wyrzuconą przez okno, to dlaczego teraz życie nie uśmiecha się do nas? A może twoim zdaniem jednak to robi?

– Co?

– Uśmiecha się?

– Kto?

– Życie.

– Która godzina?

– Dziesięć po pierwszej – odpowiedział recepcjonista.

---

<sup>4</sup> Chodzi o szwedzką poetkę Karin Boye (1900–1941) i jej wiersz *I rörelse* (W ruchu).

## Rozdział 60

Czy życie się uśmiechało?

Jedno w każdym razie wydawało się pewne: jeśli rzeczywiście tak było, oznaczało to dla Johanny Kjellander zupełnie coś nowego. Bo do tej pory życie zwykle się z niej naigrawało.

Świadczyła o tym historia z jej tatą. I z jego tatą. I z jego tatą. I z jego tatą. Oni wszyscy w swego rodzaju kolektywny sposób zdecydowali, że ona ma być „nim”, a „on” ma zostać pastorem.

W pierwszym przypadku ich wola się nie spełniła i Johanna przez całe dzieciństwo słyszała, że to jej wina, iż nie jest wystarczająco chłopięca, aby stać się mężczyzną. Ale pastorem została. I gdyby teraz miała się zastanowić zamiast zasnąć, powiedziałaby raczej, że chodzi nie tyle o to, że ona nie wierzy, lecz bardziej o samą pryncypialną postawę nakazującą nie wierzyć. Biblię można przecież czytać z bardzo wielu różnych punktów widzenia. Pastor wybrała własny i w ten sposób potwierdzała swoje rozgoryczenie wobec ojca, dziadka, pradziadka i tak dalej, aż gdzieś po Gustawa III (który, nawiasem mówiąc, miał pewne cechy wspólne z kościelnym, ale różniło ich to, że swego czasu króla trafiła kula w plecy, a nie w oko).

– Czyli jednak odrobinę wierzysz w tę książkę – powiedział recepcjonista.

– Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. Przecież, do jasnej cholery, Noe nie dożył dziewięciuset lat.

– Dziewięciuset pięćdziesięciu.

– Tym bardziej. Nie zapominaj, że właśnie się obudziłam.

– Mam wrażenie, że nigdy do tej pory nie słyszałem, żebyś przeklinała.

– Zdarzało mi się. Ale najczęściej dopiero po pierwszej w nocy.

Uśmiechnęli się do siebie. Co prawda nie widzieli tego

w ciemności, ale wyczuli.

Recepcjonista powiedział następnie, że pytanie, które zadał, może się wydawać absurdalne, ale tak czy owak pastor nie odpowiedziała na nie do tej pory.

Johanna Kjellander, ziewnąwszy, przyznała, że zapomniała, jak ono brzmiało.

– Ale możesz mi je powtórzyć. Noc i tak jest stracona.

Chodziło mu o cel i w ogóle o sens wszystkiego. Czy rzeczywiście jest im tak dobrze, jak powinno? Czy życie się do nich uśmiecha?

Pastor milczała przez chwilę, w końcu postanowiła potraktować rozmowę poważnie. Z przyjemnością jadła foie gras w Hiltonie wraz ze swoim recepcjonistą. Wolała to o wiele bardziej, niż sterczeć raz w tygodniu na ambonie i kłamać przed gromadą owieczek. Ale Per miał oczywiście rację – jeden dzień jest ludząco podobny do drugiego i wcale nie jest takie oczywiste, czy powinni zostać w swoim apartamencie, dopóki nie skończą im się pieniądze. A skończą się raczej dosyć szybko.

– Jeżeli nie będziemy przesadzać z foie gras i szampanem, zawartość walizki wystarczy nam mniej więcej na trzy i pół roku – powiedział recepcjonista, zastrzegając pewien margines na pomyłkę w liczeniu.

– A potem? – spytała pastor.

– No właśnie.

Pastor odnotowała flirt Pera Perssona z jednym z najbardziej znanych w kraju wierszy, który zaczynał się tak: „Dzień syty nigdy nie jest wielki. / Lepszy jest dzień niezaspokojonego pragnienia”<sup>5</sup>.

Tym, co kazało jej zastanowić się jeszcze raz nad kwestiami egzystencjalnymi, nie był sam wiersz, lecz fakt, że poetka popełniła samobójstwo kilka lat później. Nie na tym chyba

---

<sup>5</sup> Karin Boye, *I rörelse*.



polegał sens życia.

Kiedy Johanna cofnęła się nieco myślami, próbując określić, co tak naprawdę było dla niej najprzyjemniejsze, odkąd spotkała recepcjonistę (oprócz wspólnego obcowania w bezcennym czasie wolnym na materacu, w kamperze, za organami i gdzie się nadarzyła okazja), wymieniłaby te epizody, kiedy rozdawali pieniądze na prawo i lewo. Rozróżba w sklepie Czerwonego Krzyża w Växjö może nie była czymś nadzwyczajnym, ale wspomnienie osłupiałej żołnierki Armii Zbawienia wywoływało u niej uśmiech jeszcze dzisiaj. A potem kamper w poprzek ulicy przed siedzibą Save the Children. I odprawienie Andersa Mordercy przez ołowianego żołnierzyka, który nie chciał przyjąć rzekomej bomby dla swojej królowej...

Recepcjonista kiwał głową na wspomnienie tamtych wydarzeń, choć był trochę zaniepokojony. Czy pastor chce przez to powiedzieć, że powinni przeznaczyć zawartość żółtej walizki dla innych potrzebujących niż oni sami? Czy to jest ta droga?

– Wypluj te słowa, do cholery! – rzuciła pastor, jeszcze bardziej prostując się na łóżku.

– Znowu zakląłaś.

– To nie gadaj takich pieprzonych głupot!

W końcu zgodzili się co do tego, że życie uśmiechnęło się do nich na chwilę, ponieważ jedną ręką dawali, niczym się nie zdradzając, że dwa razy tyle zabierają drugą. Rzeczą bardziej błogosławioną jest brać, niż dawać, choć dawanie też ma swoje plusy.

Recepcjonista spróbował podsumować przeszłość i równocześnie spojrzeć w przyszłość.

– A może sensem naszego życia jest uszczęśliwianie innych, dopóki mamy finansowe podstawy, aby uszczęśliwiać samych siebie jeszcze bardziej. Coś w rodzaju projektu kościelnego, tyle że bez Boga, Jezusa i snajperów na wieży.

– I Noego – dodała pastor.

- Co?
- Bez Boga, Jezusa, snajperów na wieży kościelnej i Noego. Nie trawię go.

Recepcjonista obiecał wymyślić nowe równanie na temat: dobroć a potrzebujący, tak jednak ujęte, aby nikt nie musiał wiedzieć, że uważają siebie samych za najbardziej potrzebujących. Równanie – jakiegokolwiek by było – miało absolutnie wykluczać Noego i jego arkę.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym znowu zasnęła, a ty tymczasem dopracujesz szczegóły? – zapytała pastor, przygotowana na „tak”, którego miała prawo się spodziewać.

Recepcjonista stwierdził w duchu, że pastor jest wartościowym rozmówcą, nawet wyrwana ze snu. I mogłaby jeszcze przez chwilę nim pozostać. Przyszedł mu bowiem do głowy mikropomysł à propos tematu sens życia. Oznajmił zatem, że pastor może oczywiście zasnąć, o ile nie jest w stanie wyobrazić sobie tego, że recepcjonistę trochę nieoczekiwanie ogarnęło pożądanie bliźniego.

Per Persson posunął się dalej w swych spekulacjach.

– Jest już prawie wpół do drugiej – rzekła Johanna Kjellander.

Po czym wyszła mu naprzeciw.

## Rozdział 61

Trzeci z kolei i trzeci co do wielkości zjazd kryminalny Szwecji odbył się w tej samej piwnicy co spotkanie numer dwa. Przybyło piętnastu mężczyzn, bo dwaj od niedawna siedzieli po tym, jak w stanie zbyt dużego odurzenia narkotykami dokonali napadu na furgonetkę z pieniędzmi, która okazała się samochodem dostawczym miejscowej piekarni. I chociaż łupem nie padło nic poza opakowaniem dziesięciu bułeczek z Eskelunds Hembageri (jeden z napastników był głodny), przestępstwa dokonano z użyciem ostrej broni, toteż kara była adekwatna. Piekarnię z Eskelund wymieniono we wszystkich możliwych gazetach, co skłoniło jej szefa do wysłania dwóch pięknych pelargonii w doniczkach do aresztu, w którym złodzieje czekali na proces. Personel kryminału podejrzewał próbę przeszmurowania narkotyków, ponieważ nigdy dotąd się nie zdarzyło, aby aresztantom przysyłano kwiaty w podziękowaniu za nieudane przestępstwo. Dlatego też najpierw rozebrano pelargonie na części, zamierzając potem przekazać kwiaty adresatom, co wszakże nie nastąpiło, ponieważ już się kompletnie nie opłacało.

Jeśli chodzi o sytuację pozostałych, hrabia i hrabina odeszli po zażartej walce z dzielnymi braćmi Olofssonami, którzy nie chcieli opowiadać szczegółowo, jak tego dokonali. „Tajemnica zawodowa” – powiedział Olofsson, a jego brat skwapliwie przytaknął.

Poza tym Anders Morderca był za kratkami i jego przedziwny projekt związany z kościołem upadł.

Dla piętnastu mężczyzn otwarte pozostawało pytanie, co mają zrobić z dwójką kompanów Andersa Mordercy. Jak podpowiadała logika, musieli siedzieć na gorze pieniędzy.

Ponieważ morderca przebywał w niedostępnym miejscu odosobnienia, czyli był przy życiu, można przyjąć, że niezbyt przyjemna rozmowa z jego towarzyszami na temat wydania im wszystkich pieniędzy nie groziła żadnym niebezpieczeństwem. Na temat tego, jak ta kasa miałaby zostać podzielona między piętnastu oprychów, istniało piętnaście różnych koncepcji niewypowiedzianych jeszcze głośno.

Jeden z obecnych, zwany Bykiem, argumentował, że kumpli powinien spotkać taki sam los jak parę hrabiowską, na przykład można by ich zmusić do połknięcia granatu i znów mogliby się tym zająć bracia Olofssonowie, skoro tak dobrze im poszło.

Po krótkiej polemice przyjęto głosami czternaście do jednego, że nie da się połknąć granatu ręcznego, niezależnie od tego, jak bardzo starano by się wcisnąć go komuś do gardła (pomijając już wielkie ryzyko dla osoby, która miałaby go wciskać), oraz że dwójka wysadzonych w powietrze kompanów mogłaby sprowokować Andersa Mordercę do wyjawienia tego, czego nie powinien wyjawiać.

Czyli na razie koniec z zabijaniem. Nadal panowała zgodność co do tego, że informacje, kto co zamówił u Andersa Mordercy – czy zabójstwo, czy ogólne okaleczenie – nie powinny wyjść na jaw. Nawet teraz, gdy hrabia wraz z hrabiną pędzili swe dni w piekle (ta perspektywa czekała chyba ich wszystkich), nie było wskazane wywlekanie na światło dzienne, kto chciał kogo wyprawić na tamten świat. Darowanie pastor i temu drugiemu życia uznano za czysty odruch samoobrony.

Stosunkiem głosów trzynaście do dwóch postanowiono powierzyć zadanie odnalezienia tamtych dwojga Olofssonowi i Olofssonowi. Braciom udało się wyskomleć dla siebie wynagrodzenie w wysokości pięćdziesięciu tysięcy koron; o większej sumie nie mogło być mowy, skoro nie chodziło już o zgaszenie płomienia życia.

\* \* \*

Nieszczęśliwi bracia Olofssonowie nie mieli pojęcia, gdzie szukać pastor i tego drugiego. Najpierw przez kilka dni kręcili

się koło kościoła, a potem przez jeszcze kilka następnych. Ale jedyna różnica, jaką z czasem zauważyli, polegała na tym, że w alejce prowadzącej do wejścia zaczęły rosnąć chwasty. Poza tym żadnych innych oznak życia.

Po niecałym tygodniu jeden z braci wpadł na to, że mogliby nacisnąć klamkę w drzwiach, do których wiodła alejka, i sprawdzić, czy są otwarte. Były.

Wnętrze kościoła wyglądało nadal jak pole bitwy; nikt z urzędu komorniczego nie widział potrzeby zrobienia porządków w skonfiskowanym lokalu.

Lecz nie dało się odszukać żadnego, choćby najmniejszego tropu, który prowadziłyby do pastor i tego drugiego.

W zakrystii natomiast natknęli się na co najmniej tysiąc litrów wina w kartonach, którego warto było spróbować. Nie smakowało źle, ale tak czy inaczej spowodowało jedynie tyle, że nieprzyjemna rzeczywistość stała się odrobinę przyjemniejsza.

W szafie leżały stosy komiksów. Sądząc po datach, musiały tu zalegać od trzydziestu albo więcej lat.

– Komiksy w kościele? – zdziwił się Olofsson.

Jego brat nie odpowiedział. Usiadł i zabrał się do czytania *Agenta X9*.

Olofsson ruszył do kosza na śmieci stojącego obok jedyne go biurka w zakrystii. Zaczął w nim bobrować i sprawdzać pomięte świstki papieru. Wszystkie okazały się identyczne, były to mianowicie rachunki za opłacany gotówką pobyt w hotelu Hilton przy Slussen w Sztokholmie. Najpierw za jedną noc, potem za drugą i jeszcze kolejną... Czy te bydlaki mieszkają w Hiltonie za pieniądze Olofssonów i innych? Nie używają kart kredytowych. Płacą za każdą noc osobno. W każdej chwili gotowi się zmyć.

– Chodź no tutaj! – powiedział Olofsson, wyciągnąwszy właśnie najmądrzejszy wniosek w całym swoim życiu.

– Chwilę – rzucił Olofsson, który akurat był w samym środku historii Modesty Blaise.

## Rozdział 62

Pastor i – przede wszystkim – recepcjonista wciąż szukali pomysłu na sensowną egzystencję. Po sześciu dniach byli zgodni bardziej niż kiedykolwiek dotąd, że nie jest ona możliwa w apartamencie hotelu Hilton. Gdy jednak postanowili znaleźć jakieś miejsce do mieszkania, uświadomili sobie, że nie jest to wcale takie tanie. Na trzypokojowe lokum w centrum Sztokholmu poszłaby cała walizka, a czy można wieść fajne życie, nie rujnując się finansowo, jeżeli zaczną właśnie od tego – od kompletnego splukania się? Z kolei ustawienie się w kolejce, żeby zdobyć mieszkanie komunalne z rozsądnym czynszem, było raczej bezcelowe, jeśli człowiek nie zamierza dożyć dziewięciuset pięćdziesięciu lat, a jak wiadomo, coś takiego udało się dotychczas tylko raz.

Ani recepcjonista, ani pastor nie mieli żadnego rozeznania, jak funkcjonuje rynek mieszkaniowy. Per Persson przez całe dorosłe życie sypiał w recepcji albo w kamperze. Johanna Kjellander nie wiedziała na ten temat wiele więcej, ponieważ znała jedynie plebanię ojca, akademik w Uppsali i znowu plebanię ojca (po zdaniu egzaminu końcowego musiała krążyć między swoim pokojem panińskim a miejscem pracy dwadzieścia kilometrów dalej; na większą wolność tata jej nie pozwalał).

Teraz oboje już się trochę poduczyli i wspólnie zdecydowali, że są zbyt przywiązani do zawartości żółtej walizki, by zużyć ją jedynie na to, by gdzieś mieszkać.

Wyściami, które wyglądało na najbardziej ekonomiczne, okazała się chata rybacka na wyspie na środku Bałtyku. Odkryli

tę gotlandzką perłę i od pierwszej chwili byli oczarowani ceną (prawie za darmo) w połączeniu z odległością (dobre sto mil morskich) od sztokholmskich kryminalistów, którzy jeszcze nie powysadzali się nawzajem w powietrze.

Niska cena miała swoje uzasadnienie. Nie dało się mieszkać w chacie na stałe, nie wolno było zaizolować ścian i dachu, nie wolno było zainstalować toalety.

– Bez izolacji da się tu funkcjonować tylko wtedy, jeśli porządnie napalimy w kominku – stwierdziła pastor. – Ale wychodzenie za potrzebą w mróz i zamieć to taka sobie perspektywa.

– Myślę, że trzeba się mimo wszystko zdecydować, a potem pierwsze, co zrobimy z urzędowymi przepisami, to rozpalimy nimi w kominku. Później, w swojej niewiedzy, możemy ocieplić ściany i zbudować toaletę.

– A jeśli ktoś się tu pojawi?

Pastor po wielu latach pozostawania pod władzą ojca wciąż miała skazę osobowości polegającą na braku pewności siebie.

– Jeśli ktoś się tu pojawi? Kto na przykład? Specjalny kontroler kibli na region Gotlandii? Który jeździ od drzwi do drzwi, puka do każdego i sprawdza, czy ludzie srają tam, gdzie powinni?

Oprócz wymienionych zakazów nie wolno było wręcz w ogóle przebywać na zewnątrz, tak przynajmniej wynikało ze słów sprzedawcy chaty, który mówił przez telefon o ochronie plaży, ochronie wody, ochronie biotopu i całym szeregu innych ochron, o których pastor w pewnym momencie przestała słuchać.

Na koniec sprzedawca dotarł do sedna, to znaczy, że nie potrafił sobie wyobrazić, aby miał przekazać swój skarb kulturowy byle komu. Jednakże fakt, że jego dziedzictwo przejdzie w ręce służebnicy bożej, sprawił, że poczuł się nieco spokojniejszy.

– To dobrze – powiedziała pastor. – Wobec tego proszę niezwłocznie przesłać umowę sprzedaży. Jestem bardzo zapałona do tego dziedzictwa.

Właściciel wołał jednak, aby spotkali się osobiście, ponieważ

wtedy mogliby przypieczętować kontrakt talerzem zupy z wodorostów. Podsluchajacy rozmowe recepcjonista uznal w tym momencie, ze co za duzo, to niezdrowo. Wzial od pastor sluchawke, przedstawil sie jako asystent proboszcz Kjellander i oznajmil, ze pani proboszcz i on przebywaja obecnie na konferencji w hotelu Hilton w Sztokholmie, ale ze juz za dwa dni udaja sie do Sierra Leone w związku z akcja humanitarna przeciwko tradowi i ze bylyby najlepiej, gdyby wlasciciel podpisal umowe i przeslal ja do hotelu, w ktorym teraz mieszkaja. Zwrotna poczta otrzyma kontrasygnowany dokument.

– Ojej – odrzekl mezczyzna, ktory chcial ich zaprosic na zupe, po czym obiecal, ze niezwlocznie uczyni to, o co go poproszono.

Po zakonczeniu rozmowy pastor poinformowala swojego recepcjoniste, ze nie istnieje juz plaga tradu oraz ze choroby tego rodzaju daja sie wyleczyc antybiotykami skuteczniej niz przez przylozenie ręki bylych proboszczow.

– Ale tak w ogole to dobra robota – pochwalila go. – Swoja droga skad ci przyszlo do glowy to Sierra Leone?

– Nie wiem – odpowiedzial recepcjonista. – Nawet jezeli nie ma tam tradu, to na pewno jest cos innego.

\* \* \*

Przyszla pora na spakowanie walizki. Jednej. Wskutek cen obowiazujacych w hotelu Hilton ilosc pieniedzy stopniala wystarczajaco, by skapy dobytek obojga zmiescil sie razem z reszta milionow.

Para i zolta walizka wymeldowali sie po raz ostatni. Czerwona walizka zostala w pokoju, pusta. Plan byl taki, aby spacerem pojsc na dworzec glowny i stamtad pojechać autobusem do Nynäshamn, gdzie czekal prom na Gotlandie.

Nic z tego nie wyszlo.



## Rozdział 63

Można powiedzieć, że Olofsson i Olofsson mieli szczęście, kiedy spotkali hrabiego i hrabinę jakiś czas temu. I mieli też szczęście dzisiaj. Czas czekania w samochodzie przed wejściem do Hiltona nie przekroczył dziesięciu minut.

– A niech to szlag! – powiedział Olofsson do brata, który wciąż siedział z komiksem w ręce. – To przecież oni!

– Gdzie? – rzucił zdezorientowany Olofsson.

– Tam! Z żółtą walizką. Wymeldowali się i gdzieś się wybierają!

– No, do naszej piwnicy – odpowiedział z wściekłością brat i cisnął komiks za siebie. – Jedź za nimi, to zgarnę ich, jak tylko nadarzy się okazja.

Okazja nadarzyła się mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej, przy Södermalmstorg. Olofsson wyskoczył z samochodu i zmusił pastora i recepcjonistę do zajęcia miejsca na tylnym siedzeniu, używając w tym celu rewolweru dwa razy większego od tamtego, który jakiś czas temu zgubił po pijaku na dziedzińcu kościoła Andersa (uznał, że im większy gnat, tym trudniej go zapodziać). Widząc wymierzonego w siebie dwuipółkilogramowego smitha & wessona 500, pastor i recepcjonista nie wahali się ani chwili, aby posłuchać sugestii obcego mężczyzny.

Pozostawała kwestia walizki. Olofsson zastanawiał się, czy nie zostawić jej na ulicy, w końcu jednak zdecydował rzucić ją na kolana porwanych. Mogła przecież zawierać tropy prowadzące w takim czy innym kierunku, gdyby zatrzymane osoby okazały się na tyle głupie, by nie chciały powiedzieć, gdzie znajdują się wszystkie pieniądze.

Pastor, recepcjonista i żółta walizka stali rzędem w miejscu spotkań sztokholmskiego podziemnego świątka, w piwnicy pod jedną ze stołecznych knajp z listy tych najmniej skorych do płacenia podatków. Ku osłupieniu pastor nikt z piętnastoosobowej ekipy nie zwracał specjalnej uwagi na walizkę.

– Witamy u nas – powiedział nieoficjalny szef piętnastu oprychów. – Obiecujemy, że stąd wyjdziecie. W czarnym worku albo inaczej.

Naczelny oprych oznajmił ponadto, że pastor i ten drugi są winni zebranych co najmniej trzystaście milionów koron.

– Hm, to zależy, jak liczyć – odważnie odezwała się pastor. – Trzystaście to całkiem sporo. Od samego początku.

– Od początku? – powtórzył naczelny oprych.

– Per Persson – rzekł recepcjonista, który nie chciał być nazywany „tym drugim”.

– Gównu mnie obchodzi, jak się nazywasz – rzucił tamten i zwrócił się znowu do pastor. – Jakie „od początku” i jakie „to zależy, jak liczyć”?

Pastor sama nie miała pewności, gdzie i jak wszystko się zaczęło i jak w związku z tym należy liczyć, ale kamień zaczął się już toczyć. Teraz najważniejsze, żeby nie uciekać wzrokiem. Najpierw mówić, myśleć potem – to motyw przewodni w tego rodzaju sytuacjach.

– Pobieźnie szacując, moim zdaniem wystarczyłoby dziesięć – powiedziała, orientując się zaraz, że głupotą z jej strony było podanie sumy, która znacznie przekracza to, co posiadają, aby móc się wykupić.

Naczelny oprych odpowiedział pytaniem:

– A gdybyśmy ewentualnie zadowolili się szybkim szacunkiem pani pastor, to gdzie te dziesięć milionów można znaleźć?

Per Persson nie był na pewno mistrzem improwizacji w położeniu takim jak to. Podczas gdy gorączkowo szukał myśli, którą dałoby się ubrać w słowa, a te mogłyby obrócić stan spraw na ich korzyść, pastor już zdążyła zabrać głos.

– Przede wszystkim najpierw chciałabym przedyskutować sumę – rzekła.

– Jaką sumę? – rzucił naczelny oprych. – Przecież, kurwa, sama dopiero co powiedziałaś, że dziesięć milionów!

– Tylko spokojnie, i nie przeklinać – odpowiedziała pastor. – On tam w górze wszystko słyszy i widzi.

No, jest w swoim żywiole, z ulgą pomyślał recepcjonista.

– Powiedziałam, że szacując na szybko, dziesięć milionów byłoby według mnie kwotą więcej niż przyzwoitą. Ale choć nie chcę być zbyt niedyskretna, muszę wspomnieć, że co najmniej trzy z tych dziesięciu milionów to wynagrodzenie albo za prace zlecone nam przez hrabiego i hrabinę w celu usunięcia z drogi niektórych z was obecnych tu dzisiaj, albo za dyspozycje złożone przez niektórych z was obecnych tu dzisiaj w kierunku odwrotnym plus kilka innych drobiazgów.

W piwnicy rozległ się nerwowy pomruk. Ona nie zamierza chyba opowiedzieć ze szczegółami, kto co zamówił?

– Jeśli wolno mi kontynuować – mówiła dalej – pozwolę sobie zauważyć, że byłoby rzeczą niemoralną z waszej strony brać pieniądze od Andersa Mordercy za to, że nie zabił któregoś z was.

Recepcjonista z wielkim trudem nadązał za kalkulacją pastor. Nikt inny w lokalu nie miał na to szans. Już przy słowie „niemoralną” na pewno straciła większość słuchaczy.

– Ponadto uważam, że dodatkowy rabat byłby wskazany także ze względu na ostateczny rezultat w sprawie hrabiego i hrabiny. Gdyby nie to, że leżeli w zaroślach i celowali do tego, który otrzymał wynagrodzenie za ich zabicie, nie byłiby teraz martwi. Mam rację czy nie?

Znowu nerwowy pomruk.

– Do czego zmierzasz? – spytał ponuro naczelny oprych.

– Do tego, że mamy czerwoną walizkę – oznajmiła pastor, kładąc rękę na żółtej obok siebie.

– Czerwoną walizkę?

– Zawierającą dokładnie sześć milionów koron. To nasze łączne dochody. Przypuszczam, że przynajmniej niektórzy z was kiedyś przystąpili do confirmacji, inni być może wierzą

w to, że istnieje życie po życiu i że to niekoniecznie musi oznaczać ponowne spotkanie z hrabią i hrabiną. Czy sześć milionów nie byłoby całkiem przyzwoitą rekompensatą za odstąpienie od zabicia osoby duchownej takiej jak pastor?

– I niejakiego Pera Perssona – podpowiedział szybko recepcjonista.

– I oczywiście niejakiego Pera Perssona – dodała.

Naczelnny oprych powtórzył, że nie interesuje go, jak ten drugi się nazywa, podczas gdy wśród obecnych znowu zaczęło się poszeptywanie. Pastor usiłowała odczytać niuanse tonów; wyglądało na to, że zdania są podzielone. Uzupełniła zatem:

– Walizka jest ukryta w bezpiecznym miejscu. Tylko ja wiem, gdzie się znajduje, i pewnie chętnie bym to wam zdradziła, ale jedynie na torturach. Z kolei czy torturowanie osoby duchownej jest rzeczywiście najlepszym sposobem prześlęgania Pana? Należy także pamiętać, że Anders Morderca, o ile mi wiadomo, nie stracił mowy tylko dlatego, że siedzi za kratkami.

To ostatnie zdanie zawierało groźbę, która wielu z obecnych przyprawiła o dreszcze.

– Moja propozycja zatem brzmi następująco: ja i ten tutaj, którego nazwiska nie chcecie znać, jak najszybciej przekazemy wam sześć milionów koron, wy zaś zaręczycie na honor złodzieja, że wypuścicie nas żywych i całych.

– Albo trzy miliony – wtrącił recepcjonista, którego nieco przygnębiła myśl, że znowu będzie kompletnym gołodupcem. – Wtedy może wszyscy razem wylądujemy w niebie, gdy nadejdzie pora.

Per Persson po raz kolejny naraził się naczelnemu oprychowi.

– Gównu mnie obchodzi nie tylko, jak się nazywasz, ale i gdzie wylądujesz, jak cię rozpruję od pępka do brody – rzucił i sprawiał wrażenie, że chce kontynuować swoją tyradę, gdy nagle przerwała mu Johanna Kjellander.

– Albo, jak powiedziałam, sześć milionów – rzekła, zdążywszy dokonać analizy, z której wynikało, że nie uda im się wykićć mniejszym kosztem.

Jeszcze bardziej nerwowy pomruk. W końcu obecni uznali, że

sześć milionów to kwota do przyjęcia za odstąpienie od zabicia pieprzonej pastor i tego, który upierał się, że jakoś się nazywa. Jasne, że najprościej by było po prostu ich zlikwidować, ale mord to zawsze mord, a policja to policja. Plus przeboje z Andersem Mordercą i jego gadulstwem.

– Okej – powiedział naczelny oprych. – Wskażecie nam drogę do waszej czerwonej walizki z sześcioma milionami w środku, przeliczymy kasę tutaj, w piwnicy, i jeśli będzie się zgadzała, wypuścimy was i nigdy więcej nie tkniemy. Przystaniecie dla nas istnieć.

– Ale tylko dla was? – wołał doprecyzować recepcjonista.

– To już wasza sprawa, czy będziecie chcieli skoczyć z mostu, czy nie, w każdym razie na naszej liście już was nie będzie. Pod warunkiem że dostaniemy czerwoną walizkę i że będzie w niej co trzeba.

Pastor spuściła wzrok i powiedziała, że Pan zawsze miał wyrozumiałość dla kłamstw, dopóki były czyste jak śnieg.

– Co to znaczy?

– Czerwona walizka... jest właściwie żółta.

– To ta, na której się opierasz?

– Ekspresowa dostawa, prawda? – uśmiechnęła się pastor. – Czy ja i mój przyjaciel możemy przed wyjściem wziąć szczoteczki do zębów, trochę bielizny i parę innych drobiazgów zapakowanych z pieniędzmi?

Po czym otworzyła walizkę, aby pokazać całe bogactwo, zanim naczelny oprych i jego podoprychy wpadną na jakiś nowy pomysł.

## Rozdział 64

Podczas gdy wszyscy chciwie wtykali nosy i ręce do walizki pełnej pieniędzy, pastor chwyciła z niej majtki, szczoteczkę do zębów, jedną sukienkę, parę spodni i jakieś drobiazgi, po czym szepnęła do swego recepcjonisty, że najlepiej zrobią, jak wezmą nogi za pas.

Nawet naczelny oprych nie zauważył, że jego więźniowie zniknęli, ponieważ nie był ani trochę mniej chciwy od pozostałych. Po chwili rozdarł się na nich, że mają natychmiast przestać wyciągać pieniądze z walizki, bo podział musi zostać przeprowadzony w ustalonym porządku.

Jego wrzask spowodował, że większość banknotów znalazła się z powrotem w walizce, ale nie wszystkie. Oprych numer dwa widział wyraźnie, jak oprych numer cztery wcisnął sobie cały plik do lewej przedniej kieszeni spodni, i teraz numer drugi próbował to udowodnić. Ale oprych numer cztery nie należał do takich, którzy pozwoliliby się obmacywać, zwłaszcza w okolicy interesu, a już na pewno nie przy świadkach. Aby więc zachować swoją pozycję w hierarchii, walnął numer dwa zaciśniętą pięścią. Dwójka runął na ziemię i zanim tyłem głowy uderzył o beton, na szczęście stracił przytomność, dzięki czemu przedłużył sobie życie o cztery minuty.

Naczelnny oprych zdołał jakoś zaprowadzić porządek. Chodziło więc o podzielenie sześciu milionów koron między piętnaście osób, ewentualnie czternaście, w zależności od tego, czy ten na podłodze zamierzał się ocknąć, czy nie.

Ale jak podzielić sześć milionów na piętnaście? Już samo to było dla nich za trudne, a kiedy jeszcze podniosły się głosy, żeby braciom Olofssonom odliczyć pieniądze, które już dostali, oraz aby ich działkę potraktować jako jedną, a nie dwie, ponieważ tak samo się nazywają, wtedy wścieklejszy z braci zrobił się jeszcze bardziej wściekły. Rozsierdził się tak bardzo,

że nie wytrzymał i powiedział oprychowi numer siedem (znanemu jako Byk), że żałuje, iż Anders Morderca nie podciął mu gardła zgodnie z umową.

– To tak, ty skurczysynu? – wrzasnął Byk. – Dałeś na mnie zlecenie!

I wyciągnął nóż, aby zrobić z Olofssonem to samo, co Anders Morderca miał zrobić z Bykiem z woli Olofssona. To z kolei skłoniło drugiego Olofssona do wykonania panicznego manewru odwracającego uwagę. Jedyne, co na szybko przyszło mu do głowy, to oddanie strzału z bezpośredniej bliskości prosto do walizki z pieniędzmi ze swojego gigantycznego smitha & wessona 500, a że był to jeden z największych rewolwerów na świecie, który w razie potrzeby powaliłby nawet prawdziwego byka, nic dziwnego, że banknoty zajęły się ogniem.

Manewr ten wywołał zamierzony efekt o tyle, że Byk i wszyscy pozostali (poza tym z podłogi) najpierw na kilka sekund ogłuchli z powodu huk, a potem natychmiast zmienili obiekt swego zainteresowania. Tyle stóp, na ile tylko starczyło miejsca, deptało w walizce płonące pięćsetki, a gdy płomienie już dogasały, oprych numer osiem wpadł na pomysł, aby poświęcić jedną flaszkę dziewięćdziesięcioprocentowego samogonu na ugaszenie resztek żaru.

Zarówno Olofsson, jak i Olofsson, kierując się instynktem samozachowawczym, opuścili piwnicę dosłownie na sekundę, zanim zaczęło się palić na dobre. Pozostali musieli zaraz zrobić to samo (oprócz numeru dwa, który wciąż leżał na podłodze i umierał, o ile nie wyzionął już ducha, gdy uderzył głową o beton). Dziewięćdziesięcioprocentowy spirytus nie działa – i nigdy nie działał – tłumiąco na ogień.

Następnej nocy do domu Olofssona i Olofssona przyszło czterech mężczyzn w odwiedziny. Nie zadzwonili do drzwi, nawet w nie nie zapukali. Przebili się przez nie siekierą i dopiero gdy zostały z nich drzazgi, weszli do środka. Ale choć bardzo szukali, nie znaleźli ani Olofssona, ani Olofssona. Zastali jedynie wystraszonego chomika noszącego imię Clark na pamiątkę słynnego rabusia sprzed lat napadającego na

banki. Olofsson przekonał brata, że muszą zostawić Clarka w mieszkaniu, do którego już nigdy nie będą mogli wrócić. Po porażce w piwnicy wsiedli do pociągu do Malmö, oddalonego sześćset mil od najbardziej chyba rozeźlonych gości na świecie.

Malmö było przyjemnym miastem, jednym z najbardziej obciążonych przestępczością w Szwecji. Jeszcze jedno naruszenie prawa czy dwa w tygodniu nie zostaną nawet zauważone w statystykach, filozofował Olofsson, gdy tytułem łagodnego wstępu okradli najpierw kasę na stacji benzynowej i podprowadzili cztery wafle czekoladowe, a następnie przywłaszczyli sobie samochód kierownika stacji.



## Rozdział 65

Recepcjonista nie rozumiał tylko jednego. Jak to możliwe, że w walizce było dokładnie sześć milionów koron? Czy nie powinno być co najmniej o sześćset tysięcy więcej?

Owszem, ale pastor poupychała po kieszeniach trochę gotówki, kiedy się pakowali. Szczoteczki do zębów, bieliznę i podobne rzeczy można było schować, ale zupełnie zbędne wydawało się otwieranie walizki za każdym razem, kiedy musieli na przykład zapłacić za głupi bilet autobusowy.

– Albo za głupią chatę rybacką na Gotlandii? – dodał recepcjonista.

– No właśnie.

Czyli życie mogłoby być gorsze. Po uregulowaniu rachunku za chatę mieli dokładnie sześćset czterdzieści sześć tysięcy koron. I niecałe sześćset, kiedy już się w niej urządzili, naruszając przy tym niewiadomą liczbę przepisów urzędowych, których wykaz zgodnie z wcześniejszym planem spalili. Na wszelki wypadek nie zadzwonili nigdzie, by spytać, czy to w porządku, by z pomocą dostępnego w handlu klorinu, czyli roztworu chloranu sodu, uśmiercić irytującą kolonię żyjących w piasku i będących pod ochroną wardzanek.

– Żeby zaprowadzić porządek wśród pierwszych lepszych ludzi, trzeba by co najmniej z pół miliona – stwierdziła pastor.

Recepcjonista przyznał jej rację, po czym zakręcił butelkę klorinu i zwrócił uwagę, że najważniejsze, aby pierwszy nie dostał ani öre więcej ponad to, co lepszy od razu zwróci.

## Rozdział 66

Średniowieczne miasto Visby i jego sklepy przygotowywały się do nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. Stopa procentowa w bankach była bliska zera przecinek zero, co zachęcało ludzi do pożyczania pieniędzy, których nie mieli, dzięki czemu przedświąteczne obroty w sklepach również w tym roku były wszelkie rekordy. W konsekwencji większość mogła zachować swoje posady, co z kolei powodowało, że była też w stanie spłacić świeżo zaciągnięte kredyty. Ekonomia to dopiero nauka.

Recepcjonista już od kilku miesięcy zastanawiał się, jak zasadę mówiącą, że rzeczą bardziej błogosławioną jest brać, niż dawać (lecz by wyglądało, że jest odwrotnie), można by przełożyć na praktykę. Na razie nie doszedł do niczego poza różnymi formami samego dawania. Łatwo było podarować komuś parę setek. I nawet przyjemnie. Ale też wyjątkowo niedorzecznie, jeśli co najmniej tyle samo setek nie wróciło.

Raz to zadziało pod postacią hojnego byłego mordercy z jednej strony i niezliczonych wiaderek z datkami od wiernych z drugiej. Teraz jednak nie ma pod ręką ani mordercy, ani wiaderka, ani zboru. Jedyne, co dałoby się ewentualnie odtworzyć, to chyba wiaderka, tylko jaki byłby z nich pożytek?

Podczas przechadzki Hästgatsbacken pastor i recepcjonista natrafili na ubranego w czerwony strój dziadka ze sztuczną białą brodą, prawdopodobnie wynajętego przez urząd miasta. Chodził tam i z powrotem po ulicy i mówił wszystkim przechodniom „Wesołych świąt!”, a dzieciom dawał pierniczki. Dostarczał radości i dorosłym, i ich pociechom. Może skłoni ich w ten sposób do większych zakupów w okolicznych sklepach? Było to raczej wątpliwe.

Pastor powiedziała w każdym razie, że być może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby podchwyciła pomysł Andersa

Mordercy o Świętym Mikołaju zamiast Jezusa.

Recepcjonista uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie Andersa Mordercę odwołującego się z ambony do wszechmogącego Mikołaja. Glögg i pierniczki zamiast wina i sera.

– Starkvinsglögg<sup>6</sup> – zastanawiała się głośno pastor. – Detale są ważne.

Słyszając to, recepcjonista uśmiechnął się jeszcze szerzej, lecz po chwili spowaźniał. Różnica między Panem Bogiem w niebie a Świętym Mikołajem (gdziekolwiek teraz mieszkał) nie była właściwie wcale taka duża.

– Czy w pierwszej chwili myślisz o nieistnieniu ich obu czy o brodzie? – spytała pastor.

– Ani o tym, ani o tym. Oni dwaj są znani głównie z tego, że są dobrzy, prawda? Może to jest załączek jakiegoś pomysłu.

Nazwanie Boga dobrym przy pastor nie mogło pozostać bez reakcji. Odpowiedziała od razu, że jest w stanie znaleźć setki przykładów na to, że Pan według wszystkich opowieści zawartych w Biblii miał swego rodzaju wizję. Jak rzecz wyglądała z Mikołajem, nie wiedziała, lecz zajmowanie się głównie wskakiwaniem do komina i wyskakiwaniem z niego nie wydawało się szczególnie poważne.

Recepcjonista odparł, że oni sami nie są najlepszymi dziećmi ani Świętego Mikołaja, ani Pana Boga. Już powierzchowna analiza pokazywała jak na dłoni, że regularnie łamali dziewięć z dziesięciu przykazań. Nie zdążyli tylko naruszyć przykazania o zdradzie małżeńskiej.

– Å propos – wtrąciła pastor. – Czy nie powinniśmy się wziąć i pobrać, skoro już żyjemy ze sobą? Oczywiście mam na myśli ślub cywilny, no i ty musiałbyś kupić obrączki.

Recepcjonista natychmiast przyjął oświadczyzny, obiecał obrączki ze złota, ale co się tyczy dziesięciorga przykazań, chciał zgłosić pewną korektę. W rzeczywistości bowiem nie zamordowali nikogo własnymi rękami.

To prawda, czyli stosunek przykazań złamanych do niezłamanych miał się nie jak dziewięć do jednego, tylko jak osiem do dwóch. Tak czy inaczej nadal nie był to imponujący

---

<sup>6</sup> Gatunek glögg, czyli rodzaju grzanego wina.

wynik.

Per Persson nic na to nie odpowiedział, bo i po co. Chciał się jednak upewnić, czy według przykazań Bożych można przynajmniej pożądać własnej przyszłej żony? Oraz stosu ich wspólnych pięćsetek?

Pastor odrzekła, że to kwestia interpretacji oraz że pragnęłyby, aby raz na zawsze zostawili Biblię w spokoju. Brama do raju nie istnieje, a gdyby istniała, i tak nie byłoby sensu, żeby ustawili się do niej w kolejce. Pastor nie mogła znieść myśli, że miałyby zostać odprawiona przez Boga na progu jego królestwa. Była za to ciekawa, czy Święty Mikołaj stał się głównym tropem w rozważaniach recepcjonisty na temat hojności.

Per Persson odpowiedział szczerze, że nie doszedł jeszcze do żadnego głównego tropu, o ile pastor – podobnie jak on sam – nadal nie zadowala się tym, żeby dawać i zrezygnować z brania.

– Ale raczej nie widzę powodu, by tak sądzić – dodał.

– I słusznie – odpowiedziała pastor. – A co zrobimy, kiedy skończą się pieniądze?

– Pobierzemy się.

– To już postanowiliśmy. Tyle że od tego raczej się nie wzbogacimy?

– Nie mów tak. Jest zasilek na dzieci. Z szóstką czy siódmką dałoby się chyba związać koniec z końcem.

– Wariat – rzuciła pastor z uśmiechem.

W tej samej chwili zwróciła uwagę na sklep jubilerski.

– Wobec tego wejdźmy do środka i zaręczmy się.

## Rozdział 67

Zima przeszła w wiosnę, a po wiosnie zawitało lato. W końcu miał nastąpić koniec grzeszenia, przynajmniej pod jednym względem. Nadeszła pora, aby pastor i recepcjonista stali się małżeństwem.

Najbardziej świecką osobą, jaką mogli znaleźć w tym celu, była gubernator Gotlandii, która zgodziła się udzielić im ślubu przed chatą rybacką, tuż nad wodą.

– Mieszkacie tam? – spytała od niechcenia.

– Ależ skąd – zaprzeczyła pastor.

– Wobec tego gdzie mieszkacie?

– Gdzie indziej – odpowiedział recepcjonista. – Czy możemy ustalić szczegóły?

Młoda para wybrała wariant, w którym po czterdziestu pięciu sekundach było po wszystkim, podczas gdy urzędniczka przekonywała ich do opcji trzyminutowej. Przecież to dla niej spory kawałek drogi – ma jechać tylko po to, aby szybko odklepać dwa razy „Czy bierzesz sobie...”, a potem wrócić do rezydencji? Poza tym miała przygotowanych kilka ładnych zdań o tym, że powinniśmy dbać o siebie nawzajem tak samo jak o kruchą przyrodę wyspy.

Gdy po krótkich negocjacjach przez telefon recepcjonista zorientował się, że uczestnictwo gubernator jest bezpłatne niezależnie od długości ceremonii, wyraził zgodę, aby przedstawicielka wysokiego urzędu połączyła miłość z bogactwem i różnorodnością natury, skoro tak bardzo jej na tym zależy. Następnie podziękował za rozmowę, odłożył słuchawkę i zadbał o to, aby pochować wszystkie butelki klorinu, bo nie chciał ryzykować, by mistrzyni ceremonii straciła humor. Na wszelki wypadek następnego dnia kupił dziesięć odświeżaczy powietrza Wunder-Baum i powtykał je w wodorosty, aby przyroda pachniała tym, czym nie była, czyli życiem.

\* \* \*

Przedłożyli pani gubernator odpowiednie papiery, włącznie z zaświadczeniem o braku przeszkód do zawarcia związku, za co otrzymali pochwałę.

– A gdzie są świadkowie? – spytała.

– Świadkowie? – powtórzył recepcjonista.

– A niech to szlag – rzuciła pastor, która udzieliła dość ślubów, by natychmiast zrozumieć, że o czymś zapomnieli. – Chwileczkę – dodała, po czym podbiegła do starszej pary idącej nabrzeżną promenadą kawalek dalej.

Podczas gdy gubernator odnotowała w duchu, że za chwilę ma udzielić ślubu cywilnego pannie młodej, którą jest przeklinająca pastor, wspomniana pastor przekonywała dwoje turystów, Japończyków, jak się okazało, niemówiących ani po szwedzku, ani po angielsku, niemiecku, francusku czy w jakimkolwiek innym języku kierującym się logiką. Oboje pojęli jedynie tyle, że mają iść za nią, a jako posłuszni Japończycy, którymi byli, zrobili to, o co ich poproszono.

– Czy państwo są świadkami młodej pary? – spytała gubernator przybyszów z dalekiej Japonii, którzy patrzyli na nią i nadal nic nie rozumieli.

– Powiedzcie „hai” – zwrócił się do nich recepcjonista (tylko tyle umiał po japońsku).

– はい – rzekł mężczyzna, nie mając odwagi zrobić nic innego.

– はい – rzekła jego żona, z tego samego powodu.

– Znamy się od dawna – wyjaśniła pastor.

Uznanie tego małżeństwa za ważne wymagało od gubernator dodatkowych zabiegów administracyjnych i niejakiej kreatywności. Należała ona jednak do ludzi, którzy raczej rozwiązują problemy, niż je tworzą, toteż po pewnym czasie pastor i recepcjonista mogli otrzymać potwierdzenie na piśmie, że stanowią jedno.

Lato minęło, nastąpiła jesień. Pastor była w czwartym miesiącu ciąży.

– Pierwszy zasilek na dziecko w drodze! – zakrzyknął recepcjonista, gdy się dowiedział. – Jeszcze cztery albo pięć i będzie z tego dobry interes. Przy zachowaniu odpowiednich odstępów czasu wystarczy tylko jeden zestaw ubrań dla wszystkich. Drugie dziecko będzie nosić po pierwszym, trzecie po drugim, czwarte po trzecim...

– Czy moglibyśmy, kochanie, zacząć na razie od jednego? – spytała pastor. – Potem pomyślimy o drugim. A o reszcie jeszcze później, po kolei.

Następnie pastor zmieniła temat.

Wiedli spokojne życie w rybackiej chacie na dziewiętnastu metrach kwadratowych włącznie ze stryszkiem, na którym nie mieli prawa mieszkać. Koszty utrzymania były minimalne. Makaron i woda z kranu nie dorównywały gęsim wątróbkom i szampanowi sprzed jakiegoś czasu, ale za to teraz mieli widok na morze i siebie nawzajem. Poza tym dzięki pomocy klorinu już dawno uwolnili się nie tylko od wardzanek, ale także od mrówek, komarów, pająków, much i całego mnóstwa innych stworzeń, których zadaniem było zapewnienie biologicznej różnorodności.

Z milionów w walizce nie pozostała nawet walizka. Jak zatem wyglądały koncepcje recepcjonisty dotyczące dawania i dostawania nieco więcej w zamian? Pastor miała wątpliwości. Czy w tej sytuacji i przy obecnej koniunkturze lepszym punktem wyjścia nie byłaby jednak zasada „brać i brać”?

Recepcjonista nie krył, że dosyć niemrawo posuwa się do przodu w swych rozważaniach. W jego myślach wciąż pojawiał się Święty Mikołaj, nic to jednak nie dawało.

Pastor, która zaczynała już być zmęczona tym, że życie nie niesie wiele więcej poza rosnącym brzuchem i nadciągającą gotlandzką zimą, zasugerowała, że powinni zastanowić się nad powrotem na ląd.

– A co my tam mamy do roboty? – spytał recepcjonista. – Poza tym, że pewnie od razu natkniemy się na jakiegoś

bandziora, który za nami nie przepada. Albo na dwóch.

Pastor też nie była do końca przekonana. Pewnym wyjściem jednak mogłoby być na przykład miłe spędzanie czasu w miejscach, w których z dużą dozą pewności nie musieliby się obawiać pojawienia żadnego oprycha. Choćby w Bibliotece Królewskiej, Muzeum Morskim...

Sama słyszała, że brzmi to całkiem nieźle.

– Albo spróbujemy robić coś dobrego, dopóki nie będzie to nas nic kosztować – ciągnęła. – Jeśli nam się nie spodoba, to znaczy, że być może wybraliśmy źle. To mógłby być ważny element w twojej wiecznej układance pod tytułem „przyszłość”.

– Pozwolisz, że cię poprawię: *naszej* układance pod tytułem „przyszłość” – wtrącił recepcjonista. – Coś dobrego? Pomagać starszkom przechodzić przez ulicę?

– Dlaczego by nie? Albo odwiedzić mordercę grzybiarza, którego w tak elegancki sposób udało się nam odesłać z powrotem do więzienia. O ile dobrze pamiętam, chyba w pośpiechu coś takiego nawet mu obiecałam.

– Ale nie mówiłaś tego poważnie.

– Wiem. Czytałam gdzieś jednak, że nie powinno się mówić fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu – odpowiedziała pastor z uśmiechem.

Krótką wizyta u Andersa Mordercy zmieniłaby wynik rozgrywki z przykazaniami Bożymi na siedem do trzech w meczu, którego i tak nigdy nie wygrają.

Recepcjonista popatrzył sceptycznie na pastor, ona zaś przyznała, że cały pomysł z odwiedzinami u człowieka, którego w końcu udało im się pozbyć, mógł mieć sporo wspólnego z burzą hormonów. Czytała o ciężarnych odżywiających się wyłącznie tuńczykiem w oleju albo jedzących dwadzieścia pomarańczy dziennie, albo ogryzających kredki. Pewnie coś w tym jest. Ale tak czy inaczej ich życie zamarło obecnie podobnie jak wszelka aktywność w wodorostach wyrzuconych na brzeg. Nie było już nawet wardzanek, na które mogłyby się irtować. Czy krótka wycieczka promem plus jeszcze krótsza wizyta u osadzonego mogą stanowić jakąkolwiek różnicę? Na dodatek przy znikomym koszcie?



Recepcjonista coraz bardziej upewniał się w przekonaniu, że ma to związek z ciążą. Jego ukochanej pastor najwyraźniej brakowało zarówno mordercy, jak i wardzanek. Pora się zatem sprawdzić jako przyszły ojciec. I bynajmniej nie wystarczy popędzić do sklepu i kupić karton pomarańczy.

– Proponuję, żebyśmy pojechali na początku przyszłego tygodnia – rzekł. – Jeśli sprawdzisz w więzieniu, w jakich godzinach są odwiedziny, zarezerwuję bilety na prom.

Johanna Kjellander skinęła głową uradowana, podczas gdy Per Persson z niemałym wysiłkiem robił dobrą minę do złej gry. Trudno uznać ponowne spotkanie z Andersem Mordercą za sens życia. Ale skoro małżonka przeżywa burzę hormonów, nic nie da się na to poradzić. Poza tym ani Biblioteka Królewska, ani Muzeum Morskie nie wydawały się bardziej nęcące.

– Na dobre i na złe – wymamrotał pod nosem. – To chyba jest na konto tego złego.

## Rozdział 68

Drodzy przyjaciele! Niech Bóg ma was w opiece, alleluja i hosanna! – zaczął Anders Morderca w sali widzeń zakładu karnego.

Ledwie go rozpoznali. Wyglądał zdrowo i rześko, niemal całą twarz miał zarośniętą. Tę ostatnią zmianę w swoim wyglądzie tłumaczył tym, co usłyszał kiedyś od pastor: zgodnie ze Starym Testamentem nie powinno się golić. Nie pamięta dokładnie, jak brzmiały tamte słowa, i chociaż ich szukał, nie znalazł, ale ufał swojej drogiej przyjaciółce.

– Trzecia Księga Mojżeszowa 19 – powiedziała pastor, wciąż doskonale zorientowana. – „Nie będziecie jeść niczego z krwią. Nie będziecie uprawiać wróżbiarstwa. Nie będziecie uprawiać czarów. Nie będziecie obcinać w kółko włosów na głowie. Nie będziesz golił włosów po bokach brody. Nie będziecie nacinać ciała na znak żałoby po zmarłym. Nie będziecie się tatuować. Ja jestem Pan!”

– No właśnie, mówiłem – rzekł były duszpasterz, drapiąc się w brodę. – Z tatuażami ciężko coś zrobić, ale obgadaliśmy to już z Jezusem i machnęliśmy na nie ręką.

Anders Morderca czuł się jak ryba w wodzie. Studiował Biblię trzy razy w tygodniu, złowił w swoją sieć co najmniej czterech uczniów plus mniej więcej tyle samo wahających się. Niebezpiecznie zrobiło się tylko raz, kiedy próbował wprowadzić modlitwę przed jedzeniem, na co skazany na dożywocie kucharz wpadł w szal i wszczął burdę. Najbliżej niego w kolejce po jedzenie stał akurat nieduży obcokrajowiec, nazywany przez wszystkich „gadulą”, bo nigdy nic nie mówił (głównie dlatego, że nie miał nic do powiedzenia w innym języku niż własny, który rozumiał tylko on i nikt poza nim). Kucharz wbił stłuczoną butelkę prosto w szyję gaduły, na co ten wykrztusił „Aj!” po szwedzku, i było to jego ostatnie słowo

w życiu.

– A ten od flaszki dostał za to na dokładkę jeszcze jedno dożywocie. I został zdegradowany do pomywacza.

Jedno czy dwa dożywocia to według Andersa Mordercy aż nadto (bo stać i zmywać przez całe dwa życia z rzędu to chyba dużo gorszy los od śmierci). Z zapalem opowiedział natomiast o tym, że w czasie odsiadki odzwyczaił się od komunii, ale jego kontakty z Jezusem wcale się przez to nie pogorszyły. Niech pastor i recepcjonista nie biorą mu tego za złe, ale studiując Biblię, odkrył, że oni dwoje musieli chyba trochę źle zrozumieć to i owo. Bo żeby być posłusznym Jezusowi, nie trzeba wcale tankować paru sikaczy dziennie. Jeśli tylko chcą, może im to teraz wyjaśnić trochę dokładniej.

– Nie, dzięki – powiedziała pastor. – Mam wrażenie, że mniej więcej orientuję się w tym temacie.

Okej, ale zawsze mogą przyjść do niego jeszcze raz kiedy indziej. A wracając do tamtej historii: kucharz z kuchni, który teraz miał dzień w dzień zmywać talerze, póki nie umrze dwa razy z rzędu, podawał zgodnie z wewnętrznymi przepisami tylko mleko i napój żurawinowy. Ponieważ żaden z osadzonych nie ruszał ani mleka, ani napoju żurawinowego, w dużych ilościach szmuglowano do więzienia to, czego Anders Morderca nie tknął już od wielu lat i do czego nie miał zamiaru nigdy wracać.

– Czyli co? – spytała pastor.

– Rohypnol i inne świństwa – odpowiedział. – Od niczego nie dostają takiej białej gorączki jak od rohypnolu z odrobiną alkoholu. Dziękuję Panu, że już dawno mam to za sobą.

Jedyną chmurką na jego poza tym nieskazitelnie błękitnym niebie było to, że dyrekcja więzienia uznała go za wzorcowy okaz więźnia i za jego plecami uknuła plan, by wypuścić go na wolność przed terminem.

– Przed terminem? – powtórzył recepcjonista.

– Za dwa miesiące – wyjaśnił Anders Morderca. – Co będzie z moimi wszystkimi studentami? Kto będzie z nimi studiował Biblię? I co ze mną? Strasznie się denerwuję.

– Ale to jest przecież wspaniała wiadomość – powiedział

recepjonista z takim entuzjazmem, że pastor aż zdębiała. – Przyjedziemy po ciebie w dzień twojego zwolnienia. Coś mi się zdaje, że będę miał dla ciebie robotę – dodał ku jeszcze większemu osłupieniu pastor.

– Niech Bóg będzie z wami! – rzekł Anders Morderca.

Pastor milczała. Odjęło jej mowę.

\* \* \*

Per Persson podczas spotkania wpadł na coś, o czym pastor w ogóle nie pomyślała. Anders Morderca dzięki Trzeciej Księdze Mojżeszowej 19, 27–28 przeobraził się w wierną kopię Świętego Mikołaja. Wystarczyło tylko zrobić porządek z kołtunem na głowie i włożyć mu na nos odpowiednie okulary. Broda była prawdziwa i idealnie siwa.

Recepjonista uznał to za znak od... kogoś tam i już w następnej sekundzie przyszedł mu do głowy koncept ze Świętym Mikołajem, zupełnie jakby włączyła się w to wszystko jakaś wyższa siła, chociaż nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że żadna siła, niezależnie od tego, jak wysoka, nie kiwnęłaby palcem, aby pomóc recepcjoniście czy jego ukochanej pastor.

## Rozdział 69

Gdy tylko recepcjonista znalazł się znowu sam na sam z pastorem, wyjaśnił, co mu przyszło do głowy w sali widzeń. A gdy potem w domu zasiedli oboje do przeglądania starych egzemplarzy „Gotlands Allehanda”, niemal od razu znaleźli przykład na to, że jego koncepcja ma pewien potencjał. Natknęli się mianowicie na artykuł o mężczyźnie, który nie mógł mieszkać w wynajmowanym przez siebie mieszkaniu, ponieważ w ścianach było pełno pluskw. Właściciel domu uważał, że to nie jest jego problem, lokator natomiast nie miał gdzie mieszkać, a jednocześnie był zmuszony nadal płacić czynsz. „Żyję jedynie ze skromnej emerytury”, wyznał starszy człowiek gazecie, pełen współczucia dla samego siebie.

Tragiczna sytuacja staruszka w istocie niewiele obchodziła recepcjonistę czy pastora, był on bowiem zbyt pomarszczony i zgarbiony, by mieć jakąkolwiek wartość komercyjną. Tak więc on i jego pluskwy musieli poradzić sobie sami, chociaż trzeba przyznać, że przez ułamek sekundy Per Persson nawet się zastanawiał, czy nie zadzwonić do gościa i nie poradzić mu klorinu, który zdawał się zabójczy po prostu dla wszystkiego. Jednak fakt, że dziadek wypłakiwał się w lokalnej gazecie, a jakiś inny nieszczęśnik zrobił to samo w konkurencyjnej „Gotlands Tidningar” zaledwie kilka wydań później, stanowił dla pastora i recepcjonisty potwierdzenie, którego potrzebowali.

Liczba tego rodzaju niewesołych historii we wszystkich dziennikach w kraju mogła być nieskończona. Nawet pomijając dziadków z pluskwami, milionerów skarżących się na inwazję śliników luzytańskich w swoich ogrodach i postrzelone z wiatrówki szcury w pojemniku na śmieci ciśnięte tam przez niezrównoważonego emocjonalnie nastolatka, liczba ta pozostawała niemal tak samo nieskończona.

Recepcjonista wyjął jeden z dwóch tabletek, które kupił wcześniej za pieniądze z tacy, i przystąpił do działania.

\* \* \*

– Jak ci idzie? – spytała pastor, głaszcząc się po brzuchu i patrząc na swojego męża, który siedział z nosem utkwionym w iPadzie i z notesem tuż obok.

– Dziękuję, w porządku – odpowiedział recepcjonista, po czym wyjaśnił, że właśnie zamówił elektroniczne wydanie ostatniej ze szwedzkich gazet codziennych.

– „LjUSDalsposten” – dodał. – Za sto dziewięćdziesiąt dziewięć koron miesięcznie.

Pewnie, dlaczego by nie? – pomyślała pastor. Prawdopodobnie i w LjUSDal są ludzie godni współczucia, mimo że to taka ładna okolica. A potem popełniła błąd i spytała, do jakich wydań internetowych mają jeszcze dostęp (odpowiedź bowiem była niemal niewyczerpana).

– Mam je tutaj zapisane na kartce – rzekł recepcjonista. – Zobacz: „Östersunds-Posten”, „Dala-Demokraten”, „Gefle Dagblad”, „Uppsala Nya Tidning”, „Nerikes Allehanda”, „Sydsvenskan”, „Svenska Dagbla”...

– Dość, wystarczy – przerwała mu pastor.

– Nie, nie wystarczy, jeśli chcemy mieć dostatecznie dużo materiału, potrzebna jest jak najszersza reprezentacja, z każdej dziury i zakątka kraju. To jeszcze niecała lista, na odwrocie kartki jest tyle samo. W sumie jakieś pięćdziesiąt tytułów. Nie są niestety gratis, chociaż niektóre mają ofertę promocyjną dla nowych czytelników. Na marginesie: uznanie dla „Blekinge Läns Tidning”. Tylko jedna korona za abonament przez pierwszy miesiąc.

– Czyli moglibyśmy sobie pozwolić nawet na dwa egzemplarze – wtrąciła pastor. – Tyle że w obu byłoby raczej to samo.

Recepcjonista uśmiechnął się i otworzył arkusz w Excelu. Według wstępnych wyliczeń budżet na prenumeratę powinien wynosić około stu dwudziestu tysięcy koron na cały rok, ale rabaty dla nowych czytelników, abonamenty krótkoterminowe

i promocje redukowały tę inwestycję do poziomu odpowiadającego dostępnym im aktualnie środkom. Cała operacja powinna zatem skończyć się szczęśliwie zarówno dla ofiarodawców, jak i (przede wszystkim) odbiorcy. Ponieważ hojność ludzi była na ogół nieco większa niż szczodroblivość ich obojga, w efekcie zapewniało to wynik dodatni. Może nie od razu, ale w wystarczająco nieodległym czasie, by móc to uznać za powodzenie.

– Oprócz tego, że moim zdaniem hojność ludzi jest na ogół *znacznie* większa niż nasza, zgadzam się z tobą w całej rozciągłości, mój drogi – rzekła pastor.

Największe zagrożenie dla projektu upatrywała w samym Świętym Mikołaju. Anders Morderca był i nadal pozostał elementem ryzyka. Ale jeżeli nawet z takiego czy innego powodu miałyby się wszystko schrzanić, trzeba spróbować. Pomysł recepcjonisty wydawał się zbyt nęcący, by nie przetestować go od razu na wielką skalę.

– „Nie troszczcie się więc zbytnio o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie. Dostyc ma dzień swojej biedy”. Mateusz 6,34.

– Z własnej nieprzymuszonej woli zacytowałaś Biblię? – zdziwił się recepcjonista.

– Tak, całkiem możliwe.

\* \* \*

Ludzkość, ogólnie rzecz biorąc, jest trochę taka i trochę taka. Na przykład skąpa, samolubna, zawistna, ograniczona, naiwna i strachliwa. Ale też sympatyczna, mądra, przyjazna, miłosierna, rozważna – i hojna. Wszystkie te cechy nie mieszczą się w każdej duszy, o czym pastor i recepcjonista dobrze wiedzieli również z własnego doświadczenia. Ewentualne usprawiedliwienie tezy filozofa Immanuela Kanta, jakoby każdy człowiek nosił w sobie moralny kompas, stanowiła okoliczność, że nigdy nie było mu dane poznać ani pastor, ani recepcjonisty.

Nowa koncepcja brania i (częściowo) dawania, mająca mgliste źródło w postaci komercyjnego podrabianego Mikołaja

z centrum Visby rozdającego dzieciom jako jedyny prezent pierniczki, była właśnie cyzelowana, wygładzana, dopieszczana.

Najpierw recepcjonista zarządził badanie, kierowane i przeprowadzone przez niego samego. Chodziło o ustalenie, jak wygląda sytuacja na rynku oraz stan konkurencji.

Należało wziąć pod uwagę wiele elementów. Okazało się na przykład, że szwedzka poczta co roku otrzymuje ponad sto tysięcy listów kierowanych do Świętego Mikołaja na adres: „Mikołaj, 17300, Tomteboda, Szwecja”. Przedstawiciel poczty z dumą powiedział recepcjoniście przez telefon, że każdy z nadawców otrzymywał odpowiedź – oraz drobny upominek.

Per Persson podziękował za informacje, odłożył słuchawkę i wymamrotał pod nosem, że wartość tego „upominku” na pewno była niższa niż koszt znaczka. Innymi słowy była to kombinacja dobroci ograniczonej do minimum z ograniczoną do minimum opłacalnością. W gruncie rzeczy pomysł nie do końca zły, ale dalece niezadowolający. Po uwzględnieniu kosztów administracyjnych prawdopodobnie w najlepszym razie wychodzono na zero. A dla pastor i recepcjonisty gorsze od zera mogły być jedynie liczby poprzedzone minusem.

Oprócz poczty był jeszcze Tomteland w Dalarna. Recepcjonista, przeczytawszy ofertę w internecie, rozumiał, że chodzi o park rozrywki, gdzie osoba, która zapłaciła za wstęp, zjadła i napiła się za kilkaset koron i przenocowała za kilka tysięcy, mogła zostawić listę ze swoimi życzeniami do podrabianego Mikołaja, który wieczorem palił sobie tymi listami w kominku.

Sama koncepcja nie była taka zła, ale miała wyraźny przechył w stronę brania, a nie dawania. A w tej kwestii niezwykle ważna jest równowaga!

W Rovaniemi w Finlandii mieszkał oczywiście inny Święty Mikołaj, z brodą z poliestrowego włókna. Fiński projekt zdawał się przypominać szwedzki. I miał te same braki i wady.

Tymczasem według Duńczyków Mikołaj mieszka na Grenlandii, według Amerykanów – na biegunie północnym,



według Turków – w Turcji, a według Rosjan – w Rosji. Spośród nich wszystkich jedynie Amerykanie uczynili ze swego Mikołaja podstawę solidnej działalności gospodarczej. Częściowo dzięki temu, że zdawał się woleć coca-colę od wszelkich innych napojów, a częściowo dzięki co najmniej jednemu nowemu filmowi o tematyce świątecznej rocznic, w którym Mikołaj najpierw wszystko przygotowywał, a potem w ostatniej chwili uszczęśliwiał dzieci na całym świecie. Albo przynajmniej jedno z nich. Na niby. Za dwanaście dolarów za bilet.

No i był jeszcze jego kuzyn, prawdziwy Święty Mikołaj, który, jak ustalił recepcjonista, był biskupem i cały swój majątek rozdał biednym. Zmarł szóstego grudnia i dlatego w wielu krajach dzieci dostają prezenty już w mikołajki, czyli w rocznicę jego śmierci. I właśnie z tego powodu się nie liczył.

– To zależy, na ile globalnie będziemy działać – zauważyła pastor.

– Po jednym kraju po kolei – powiedział recepcjonista. – Weźmy choćby takie Niemcy: mają dziesięć razy więcej mieszkańców niż my. A to by wymagało dziesięciu Mikołajów w typie Andersa Mordercy, i to będących w stanie powiedzieć bezbłędnie przynajmniej „*Frohe Weihnachten*”<sup>7</sup>.

Dwa słowa po zagranicznym. To dla Andersa Mordercy o dwa za dużo, z czego zdawali sobie sprawę zarówno pastor, jak i recepcjonista (skoro nie chodziło o nazwy grzybów po łacinie). Oprócz tego istniało ryzyko, że „hosanna” po niemiecku też brzmi „hosanna”.

\* \* \*

Tak więc konkurencja dla Mikołaja, który naprawdę obdarowywał, nie oczekując najpierw zapłaty, była ograniczona albo wręcz nie istniała.

Sukces biznesu zależał od tego, jak dużo przejmujących opowieści da się znaleźć w gazetach. Najlepiej o samotnych matkach, chorych dzieciach albo porzuconych zwierzętach wszelkiej maści. Brzydkie dziadki w zapluskwionych mieszkaniach raczej nie rozpałyby wystarczającej liczby serc,

---

7 *Frohe Weihnachten* (niem.) – Wesołych świąt.

podobnie jak postrzelone szczury w pojemniku na śmieci. Jeśli chodzi o milionera ze ślinikami luzytańskimi w ogrodzie, zgodnie ze szwedzką tradycją uznano by raczej, że dobrze mu tak.

Genialność pomysłu, aby oprzeć się na starannie wybranych z gazet lokalnych historiach, polegała na tym, że dany delikwent już raz rozmawiał z mediami i dlatego będzie skłonny zrobić to powtórnie po zaskakującym spotkaniu ze Świętym Mikołajem.

A to z kolei wygeneruje ruch w sieci na stronie, gdzie da się znaleźć Mikołaja, takiego z brodą, za którą można nawet pociągnąć.

Jeżeli zaś Bóg jest wystarczająco dobry (powiedział recepcjonista), powinno to doprowadzić do kolejnej darowizny albo nawet dwóch. Może stu. Albo dlaczego nie tysiąca?

Pozostawało tylko jedno, aby plan można było przekuć w rzeczywistość: dyrekcja więzienia musiała zrealizować swój równie szalony co znakomity pomysł i wypuścić Andersa Mordercę na wolność.

## Rozdział 70

Prażródłem projektu Święty Mikołaj było przekonanie, że jedyną rzeczą przyjemniejszą od dawania jest branie. Ten, komu się uda i jedno, i drugie, będzie miał – z punktu widzenia pastor i recepcjonisty – wszelkie przesłanki, by żyć długo i szczęśliwie. Bo przecież nie chodziło wyłącznie o to, aby oni i ich jeszcze nienarodzone dziecko nie umarły z głodu. Nawet Anders Morderca nie zasługiwał na coś takiego.

Mając to na uwadze, recepcjonista stworzył specjalną stronę na Facebooku o nazwie „Prawdziwy Święty Mikołaj – szerzy radość przez cały rok”.

Strona pełna była przesłań miłości w różnej tonacji (żadne nie miało charakteru religijnego). Znajdowało się ich tyle, że ledwie starczyło miejsca na informację, iż każdy może otworzyć swe serce (czyli portfel), aby pomóc Mikołajowi w jego działalności. Można w tym celu skorzystać z karty kredytowej, bezpośredniego przelewu na konto, z telefonu komórkowego i kilku innych sposobów. Niezależnie od metody pieniądze i tak trafią na konto w Handelsbanken w Visby. Należało ono do szwedzkiej spółki akcyjnej Prawdziwy Święty Mikołaj SA, której jedynym właścicielem z kolei była anonimowa fundacja szwajcarska. Pod żadnym pozorem nigdy nie mogło wyjść na jaw, kto tyłu ludziom rozjaśniał ich smutną egzystencję – Anders Morderca jako znak firmowy był całkowicie spalony, podczas gdy renoma Świętego Mikołaja od niepamiętnych czasów utrzymywała się niezmiennie na tym samym poziomie co symboliczna wartość Nelsona Mandeli, Matki Teresy i tego, którego imienia nie wymieniano bez potrzeby.

O tyle zatem koncepcja była jedyna w swoim rodzaju, podobnie jak poprzednia strona Andersa Mordercy, na której zbierano pieniądze. (Nawiasem mówiąc, roilo się na niej teraz od komentarzy ludzi, którzy domagali się ich zwrotu).

Na wszelki wypadek recepcjonista zamówił także kalendarz podatkowy, wszystkie dwadzieścia trzy szwedzkie edycje za dwieście siedemdziesiąt jeden koron za sztukę. Ich koszt wyniósł w sumie ponad sześć tysięcy dwieście koron, ale był to opłacalny wydatek. Dzięki niemu Per Persson uzyskał dostęp do nazwisk, adresów i opodatkowanych przychodów z usług oraz przychodów z kapitału wszystkich podatników w kraju. Tak to właśnie działało w Szwecji. Nic nie było tajemnicą. Poza tożsamością Mikołaja. Przecież nie uchodziło, aby podarowali pieniądze komuś, nad kim litowano się w gazecie, a potem nagle by się okazało, że ten ktoś zarabia dwa miliony koron rocznie i mieszka sobie w żółtej willi z dwunastoma pokojami i kuchnią z przełomu poprzednich wieków w Djursholm. Ze ślinikami luzytańskimi w ogrodzie lub bez nich.

Pierwsza operacja Świętego Mikołaja miała dotyczyć młodej kobiety, której adres wskazywał na to, że mieszka w bloku. Z dalszego dochodzenia wynikało, że jest to lokal czynszowy, a jej roczny przychód wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy brutto.

## Rozdział 71

Trzydziestodwuletnia Maria Johansson zajmowała ciasne dwupokojowe mieszkanie w Ystad – najdalej na południu Szwecji, jak tylko można się znaleźć – razem ze swoją pięcioletnią córeczką Giselą. Taty nie było, i to już od dobrego roku. Mama Maria nie miała pracy, a zgodnie z relacją w „Ystads Allehanda” ktoś wrzucił przez okno kamień do jej sypialni. Doszło do sporu z firmą ubezpieczeniową, według której zostało udowodnione, że kamień cisnął do środka pewnej sobotniej nocy tatuś Giseli. Tak zwany dowód opierał się głównie na zeznaniu tatusia, który podczas przesłuchania przez policję potwierdził, że po wizycie w knajpie udał się do swej dawnej przyjaciółki, zaczął krzyczeć do niej przez drzwi i oskarżać ją, że jest prostytutką, a kiedy nie chciała mu otworzyć, żeby mógł się z nią przespać za pieniądze, zakończył wizytę, rzucając kamieniem w okno.

Firma ubezpieczeniowa argumentowała, że tatuś Giseli był zameldowany pod tamtym adresem, a nikt, kto świadomie i z premedytacją dokonuje szkód we własnym domu, nie może się spodziewać rekompensaty z ubezpieczenia. Dlatego Maria i mała Gisela będą zmuszone spędzić święta Bożego Narodzenia za płytą pilśniową zamiast szyby w sypialni, chyba że kobieta wysupła swoje ostatnie oszczędności na nowe okno i w ten sposób uratuje święta córeczki. Ponieważ zima była mroźna nawet na najdalej wysuniętym na południe krańcu Szwecji, Gisela nie będzie miała w tym roku ani prezentów, ani choinki. Tak przedstawiała się sytuacja, gdy ktoś zapukał do drzwi mieszkania Marii i jej dziecka. Mama Maria otworzyła ostrożnie, bo to przecież mógł być...

Ale nie był. W progu stał Święty Mikołaj. Wyglądało na to, że prawdziwy. Ukłonił się i dał Giseli interaktywną lalkę, taką, z którą dziewczynka będzie mogła rozmawiać! Lalka dostała na

imię Nanne i stała się najukochańszą towarzyszką Giseli. Mimo że była dosyć kiepsko zaprogramowana. „Kocham cię, Nanne”, mówiła na przykład Gisela. „Nie wiem, nie znam się na zegarku”, odpowiadała Nanne.

Wraz z lalką Mikołaj przekazał mamie Giseli kopertę z dwudziestoma tysiącami koron. I powiedział „Wesołych świąt”, bo tak mówi Święty Mikołaj. A potem zdążył jeszcze dodać „Hosanna!”, wbrew instrukcjom, które otrzymał, ponieważ brakowało mu jednej kleпки.

Zniknął równie szybko, jak się pojawił; odjechał taksówką, której kierowca nazywany był Taxi-Torstenem. Na tylnym siedzeniu czekały dwa bożonarodzeniowe krasnale, tyle że żaden z nich nie miał stroju krasnala, a jeden był w ósmym miesiącu ciąży.

Tak więc projekt Święty Mikołaj rozpoczął się w Ystad. Potem trasa wiodła na północ. Następny przystanek – Sjöbo. Później Hörby, Höör i Hässleholm i dalej przez cały kraj. Przez cztery tygodnie rozdawano dzień w dzień średnio po jednym darze o wartości od dziesięciu do trzydziestu tysięcy koron. Czasami w formie pieniędzy, czasami pod postacią prezentów świątecznych, czasami jedno i drugie.

Samotne matki były dobre. Samotne dzieci uchodźców jeszcze lepsze, najchętniej dziewczynki – im mniejsze, tym większy miały finansowy potencjał. Dzieci chore i kalekie też działały. A uroczy chłopcy i słodkie dziewczynki chorzy na raka to po prostu prawdziwy strzał w dziesiątkę.

Swoją drogą w Hässleholm Święty Mikołaj już kiedyś był. Taxi-Torsten zawiózł go pod konkretny adres; Mikołaj wszedł na klatkę schodową i zadzwonił do starszej żołnierki Armii Zbawienia, której jakiś czas temu podarował pieniądze.

Kobieta otworzyła, wzięła od niego grubą kopertę zawierającą sto tysięcy koron, zajrzała do niej, zobaczyła, co zobaczyła, i powiedziała:

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece. Ale czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy?

Słyszając to, Mikołaj prysnął do taksówki, zanim przedstawicielka Armii Zbawienia zdążyła zaprosić go na ziemniaki z marchewką i buraczkami.

Zgodnie z zaplanowanym budżetem w pierwszym miesiącu koszty powinny wynosić dokładnie pięćset tysięcy koron, jakimi jeszcze dysponowali. Tym samym koniec przygody i pieniędzy mógł nastąpić w lutym – jeśli nic się nie zwróci.

W okresie od dwudziestego grudnia do dwudziestego stycznia łączne wydatki zamknęły się jednak w kwocie czterystu sześćdziesięciu tysięcy, mimo pozaplanowego ubytku w Hässleholm i mimo że praca trwała przez wszystkie cztery pierwsze tygodnie. Pierwotnie ustalono, że będą w drodze po kraju przez trzy tygodnie w miesiącu, czwarty tydzień zaś przeznaczą na odpoczynek i relaks w domu na Gotlandii. Przy założeniu – jak już wspomniano – że nie splajtują. Wtedy nie pozostawałoby nic innego, jak tylko produkować dzieci w możliwie najszybszym tempie.

– Skup się na budżecie! – powiedziała pastor i tak się napięła, że aż odeszły jej wody. – Ojej! Musimy jechać do szpitala – dodała.

– Poczekaj, jeszcze nie jestem gotowy – odparł recepcjonista.

– Hosanna! – rzucił Święty Mikołaj.

– Podjadę samochodem – oświadczył Taxi-Torsten.

\* \* \*

Urodziła się dziewczynka – dwa kilogramy dziewięćset osiemdziesiąt gramów.

– No widzisz – recepcjonista zwrócił się do swojej wycieńczonej pastor. – I mamy pierwszy zasilek na dziecko! Jak myślisz, kiedy będziesz gotowa do produkcji numeru dwa?

– Nie dzisiaj, dzięki – odpowiedziała, podczas gdy położyła zszywała ją tam, gdzie musiała być zszyta.

Kilka godzin później, kiedy najedzone i zadowolone maleństwo leżało na brzuchu mamy i spało, pastor była już w stanie spytać o to, czego recepcjonista nie zdążył powiedzieć do końca, kiedy ich uwagę zajęło co innego. Gdy bóle zaczęły się na dobre, recepcjonista zupełnie o tym zapomniał. Ale teraz była pora do tego wrócić.

– Chyba skończyłem na tym, że koszty wyniosły czterysta sześćdziesiąt tysięcy, czyli nie tak źle. Ale trochę pieniędzy wpłynęło także dzięki naszej kampanii internetowej.

– Faktycznie – powiedziała mama pastor. – A ile?

– W pierwszym miesiącu?

– W pierwszym miesiącu.

– W przybliżeniu?

– W przybliżeniu.

– No więc przy zastrzeżeniu, że mogę pamiętać nieco błędnie, bo nie zdążyłem zapisać dokładnej kwoty, i przyjmując, że mogła wpaść jeszcze jakaś dodatkowa korona, kiedy rodziliśmy... biorąc to wszystko pod uwagę...

– Czy mógłbyś wreszcie przejść do rzeczy? – przerwała mu pastor, myśląc jednocześnie, że to jednak bardziej ona niż on urodziła ich dziewczynkę.

– Przepraszam. Uwzględniając zatem to wszystko, powiedziałbym: dwa miliony trzysta czterdzieści pięć tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt koron.

Gdyby to było fizycznie możliwe, pastor znowu odeszłyby wody.



## Rozdział 72

Im więcej wizyt Święty Mikołaj zdążył odbyć jednego dnia, im więcej radości szerzył dookoła, tym lepiej zdawały się układać interesy. Codziennie wpływały tysiące drobnych darowizn, ze Szwecji i z całego świata. Samotne matki płakały ze szczęścia, słodkie dziewczynki robiły to samo, szczeniaczki popiskiwały z wdzięczności. Codzienne gazety donosiły o tym na bieżąco, tygodniki robiły całe rozkładowki, radio i telewizja też nadawały relacje. Święty Mikołaj obdarowywał szczęściem i radością w okresie Bożego Narodzenia, ale także gdy po zimie nastawa wiosna, a po wiośnie przyszło lato. Nie było widać końca.

W parkach Świętego Mikołaja w Mora i Rovaniemi zaczęto się zastanawiać nad zmianą koncepcji. Nie wystarczał już dziadek ze sztuczną brodą, który wyrozumiale kiwał głową, gdy mała Lisa chciała dostać kucyka. Były dwa wyjścia: albo poliestrowy Mikołaj da dziewczynce to, o czym marzyła (ale wtedy budżet się nie zepnie), albo wyjaśni jej z pedagogicznym podejściem, że może jej zaproponować nieduże pudełko lego we współpracy z The Lego Group, Billund, Dania. Żadnego kucyka. Ani nawet chomika. Ograniczone wydatki na upominki świąteczne (które nie zadowalały małej Lisy) były kompensowane nieco wyższymi opłatami za wstęp.

Dziennikarze śledczy usiłowali dojść, kim jest Święty Mikołaj i ile może dostawać w postaci donacji. Żaden jednak nie dotarł dalej niż do Handelsbanken w Visby, gdzie nie widziano powodu, aby informować, jakiej wysokości kwoty transferowano w zgodzie z prawem Królestwa Szwecji do anonimowej fundacji w Szwajcarii. A ponieważ każdy darczyńca dawał bardzo niewiele (bo dopiero liczba

darczyńców składała się na te wszystkie miliony), ani jeden z dziennikarzy nie mógł podważyć szczerej dobroci nieznanego Świętego Mikołaja.

Sporadycznie ten i ów zdołał zrobić mu zdjęcie, ale długa broda i całe przebranie zmieniły go do tego stopnia, że nikt nie skojarzył jego postaci z dawnym mordercą ani z duszpasterzem z Kościoła Andersa. Taxi-Torsten na wszelki wypadek ukradł kilka nowych tablic rejestracyjnych podczas wyprawy do Sztokholmu. Poza tym za pomocą niewielkiej ilości farby zmienił F na E, dzięki czemu na pierwszy rzut oka jego taksówka nie należała teraz do nikogo, a na drugi rzut oka – ewentualnie do jakiegoś elektryka w Hässelby.

Nie ustawały spekulacje, krążyły plotki. Może to król jeździ po kraju i obdarza swój lud szczęściem? Królowa była przecież znana z wyjątkowej troski o dzieci i słabszych. Koncepcja znajdowała potwierdzenie w wielu tropach wymienianych w internecie, dopóki nie złożyło się tak, że Jego Wysokość ustrzelił w sörmlandzkim lesie okazałego łosia dokładnie wtedy, gdy Święty Mikołaj uszczęśliwił osieroconą dwunastoletnią córkę uchodźców w Härnösandzie.

Pastor, recepcjonista, Święty Mikołaj i Taxi-Torsten dzielili się solidarnie ośmioprocentową nadwyżką, co pozwalało im wszystkim zarówno żyć, jak i czuć się dobrze na wyspie na Bałtyku, która stała się ich domem. Resztę inwestowano w błogosławione dawanie. Oprócz tego recepcjonista pracował nad pierwotnym pomysłem pastor przewidującym rozszerzenie działalności na Niemcy. Obywatele tego kraju bowiem mieli i pieniądze, i serce. I dobrze grali w piłkę nożną. Poza tym było ich tak dużo, że wręcz nie dawało się wyliczyć, ile można by zarobić na rozdawaniu pieniędzy właśnie tam. Problem polegał tylko na znalezieniu dziesięciu niemieckich Mikołajów, zrozumieniu, co mówią, i nauczaniu ich, co *mają* mówić. Plus przekonanie ich, że mają trzymać gęby na kłódkę i nie rozpowiadać, w czym uczestniczą.

\* \* \*

No i znowu się okazało, że wyroki Pana... i tak dalej. Bo mniej więcej w tym samym czasie mama recepcjonisty – która niewiele brakowało, a zostałaby nauczycielką niemieckiego – miała już dość wybuchów swojego męża i wulkanu na Islandii. Podczas jednej z rzadkich wizyt w jakimś w miarę cywilizowanym miejscu w celu zaopatrzenia się w prowiant zadzwoniła na policję i poinformowała, gdzie znajduje się jej małżonek defraudant, i w ten oto sposób się od niego uwolniła. Następnie skontaktowała się przez Facebooka z synem i wkrótce miała własną chatę rybacką na Gotlandii, niedaleko od syna i jego rodziny, oraz pracę jako osoba odpowiedzialna za wprowadzenie firmy na rynek niemiecki. Tymczasem islandzki sąd postanowił, że jej mąż ma odsiedzieć sześć lat i cztery miesiące w celu finansowej i moralnej rehabilitacji.

Anders Morderca z kolei poznał Stinę, do której od razu się wprowadził. Zakochała się w nim, kiedy odkryła, że wie, jak nazywa się siedziun sosnowy po łacinie (wyjaśnienie jego niezwyklej wiedzy w tym zakresie było następujące: zanim został mordercą, kupił sobie książkę i chciał się z niej nauczyć, jak wydobyć z grzybów magiczne właściwości zbliżone do działania narkotyków, tyle że po przeczytaniu jej od deski do deski po raz dwunasty doszedł do wniosku, że zna nazwy wszystkich istniejących grzybów, ale nadal nie ma pojęcia, jak zrobić z nich coś bardziej rozrywkowego).

Gdy nie udało im się odnieść sukcesu w znajdowaniu trufli czarnozarodnikowej (*Tuber melanosporum*) z pomocą własnej oswojonej, ale lekko zwariowanej, świni przerwali się na uprawę szparagów, osiągając ten sam poziom powodzenia (między innymi dlatego, że świnia złośliwie ryła ziemię w ogrodzie).

Stina nie była specjalnie lotna i dlatego nigdy nie zrozumiała dokładnie, co robi jej ukochany, gdy przez trzy tygodnie z rzędu przebywa poza wyspą. Najważniejsze, że wracał do domu, kiedy trzeba, i za każdym razem z coraz konkretniejszą kopertą. Poza tym chodzili razem do kościoła w co czwartą niedzielę i dziękowali Panu za wszystko z wyjątkiem historii z trufkami i szparagami.

Taxi-Torsten, kiedy nie był prywatnym szoferem Świętego Mikołaja, jeździł jako taksówkarz po całej wyspie. Nie dlatego żeby potrzebował pieniędzy – po prostu lubił prowadzić samochód. Ale nigdy nie pracował więcej niż od dwunastej do szesnastej, od poniedziałku do czwartku w czwartym tygodniu miesiąca. Pozostały czas spędzał w knajpie albo się wysypiał. Miał stały pokój w hotelu w samym centrum Visby, rzut beretem od kilku lokali, w których zawsze dało się ugasić pragnienie.

Pastor i recepcjonista zdecydowali się dalej mieszkać w rybackiej chacie nad morzem, z babcią w pobliżu jako opiekunką maleństwa w razie potrzeby.

Nie potrzebowali już czwórki czy piątki kolejnych dzieci, żeby dzięki zachłannie pobieranym zasiłkom uzbierać na chleb. Ale dla jeszcze jednego czy nawet dwojga znalazłoby się miejsce. Z czystej miłości. A równolegle można było wciąż nie lubić świata. Albo dać sobie z tym spokój, jak wyrwało się recepcjoniście któregoś wieczoru.

– Dać sobie spokój? – spytała pastor. – A to czemu?

Ach, tak tylko mu się wypsnęło. Prawdopodobnie dlatego, że lista z wyjątkami zaczynała być uciążliwie długa. Po pierwsze córeczka oczywiście. I może morderca. W gruncie rzeczy był całkiem sympatyczny, gdyby tylko miał trochę więcej rozumu. No i gubernator – jak to ona się nazywała? – która udzieliła im ślubu, chociaż na pewno się domyśliła, że ich świadkowie nie mieli pojęcia, czego są świadkami.

Pastor pokiwała głową. Można by dodać do tej listy jeszcze tego i owego. Babcię ich dziecka, nową przyjaciółkę mordercy i jeśli nie samego Taxi-Torstena, to przynajmniej jego taksówkę.

– Nawiasem mówiąc, widziałem dzisiaj wardzanę w sitowiu. Klorin już się skończył. Albo kupimy nową butelkę, albo dodamy wardzanki do mordercy, gubernator i pozostałych.

– Zróbmy tak. Dodajmy i wardzanki. Trochę się nam tego uzbierało. Ale kto ma przyjaciół, ten nie zginie. To co, zamykamy listę? I dalej nie znosimy całej reszty?

To był dobry kompromis.

– Ale może nie dzisiaj wieczorem, chyba jestem zbyt zmęczona, żeby nienawidzić. To był długi dzień. Dobry, jednak długi. Dobranoc, mój drogi były recepcjonisto – powiedziała była proboszcz i zasnęła.

## Epilog

Pastor stała pewnego pięknego wieczoru przed rybacką chatą i patrzyła na morze. Było gładkie niemal jak lustro.

W oddali prom bezszelestnie sunął w kierunku Oskarshamn. Samotny ostrygojad brodził między wyrzuconymi na brzeg wodorostami. Ku swojemu zaskoczeniu znalazł jakiegoś robaka, którego mógł połknąć – już dawno na nic takiego tu nie trafił.

Poza tym panował spokój; słońce schodziło coraz niżej i zmieniało barwę z żółtej na pomarańczową.

Nagle coś zakłóciło ciszę.

„Nie jesteś wcale złym człowiekiem, Johanno. Chciałbym, żebyś to wiedziała. Nikt nie jest zły do szpiku kości”.

Ktoś tu jest?

Nie. Ten głos dochodził z jej wnętrza.

– Kto to mówi? – odezwała się w końcu.

„Przecież wiesz, kim jestem, i wiesz, że nasz Ojciec zawsze jest gotów wybaczyć”.

Pastor osłupiała. Czy to *on*? Po tylu latach? Myśl o jego istnieniu przyprawiła ją o zawrót głowy. I oburzyła. Jeżeli *on* wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu istnieje, to czy nie mógł postawić swojej stopy na Ziemi wcześniej, nie mógł powstrzymać rodzinnego terroru Kjellanderów, póki był na to czas?

– *Mój* ojciec niczego nie wybaczał, a ja nie zamierzam wybaczyć jemu. I nie próbuj mi teraz wyjeżdżać z nadstawianiem drugiego policzka.

„Dlaczego nie?” – spytał Jezus.

– Dlatego że to nie ty i nawet nie Mateusz powiedzieliście to jako pierwsi. Ludzie przez stulecia wkładali ci różne rzeczy w usta.

„Poczekaj, poczekaj – odparł Jezus na tyle gniewnie, na ile

pozwalała mu na to jego osoba. – To prawda, że ludzie wymyślają, co tylko się da, w moim imieniu, ale co ty możesz wiedzieć o...”.

I tu przerwał, ponieważ właśnie pojawił się recepcjonista z małą Hosanną na rękach.

– Mówisz do siebie? – zdziwił się.

Pastor milczała.

Nie odzywała się jeszcze przez chwilę. A potem powiedziała:

– Tak. Chyba tak. Chociaż cholera wie.

## Podziękowania

Pragnę podziękować całej rodzinie Piratförlaget z wydawczynią Sofią i redaktorką Anną na czele. Szczególnie gorąco dziękuję tym razem Annie za fantastyczną akcję w końcowych minutach.

Dziękuję także swoim wujom, Hansowi i Rixonowi, za pełne otuchy komentarze do wstępnej wersji maszynopisu. Również bracia Lars i Stefan z Laxå byli dla mnie inspiracją i dodawali wiary w siebie na ważnych etapach pracy.

Nie mogę nie wspomnieć także mojej agentki Cariny Brandt, która jest wyjątkowym fachowcem i wspaniałym przyjacielem. A mówiąc o przyjaciółach: każdemu życzę takich jak Anders Abenius, Patrik Brissman i Maria Magnusson. Wszyscy razem czynicie moje życie pisarza łatwiejszym.

Oczywiście jest was znacznie więcej, i dobrze wiecie, kogo mam na myśli!

Spośród pozostałych, dla których nie starczyło miejsca, chcę wymienić Boga. Z pewnością zasługuje na podziękowanie za to, że mogłem go sobie wypożyczyć do swojej opowieści. Ale jednocześnie uważam, że powinien mocniej popracować nad tym, aby jego najbardziej żarliwi wyznawcy nie brali go tak strasznie na serio. Żebyśmy stali się trochę miłsi dla siebie nawzajem i mieli okazje częściej się śmiać, niż płakać.

Czy to zbyt wygórowane życzenia? RSVP

Jonas Jonasson



Przekład: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Redakcja: Maria Wirchanowska

Korekta: Katarzyna Skwark, Anna Sidorek

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3275-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa  
Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

**virtualo**